



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231566

4983 Alloway

34/124





T R  
BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW  
NOBLA  
KAROL  
SPITTELER  
KONRAD  
PORUCZNIK  
GUSTAW









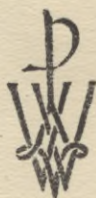


*BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJA  
DRA STANISŁAWA LAMA*

*TOM 33*

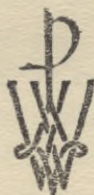
*KAROL SPITTELER  
KONRAD PORUCZNIK  
GUSTAW*



*LWÓW—POZNAŃ 1925  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

KAROL SPITTELER  
KONRAD PORUCZNIK  
OBRAZ  
—  
GUSTAW  
SIELANKA

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY  
BRONISŁAWY NEUFELDÓWNY



LWÓW—POZNAŃ 1925  
NAKLADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

I 29.554



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

---

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM  
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1855/58

## *Kilka słów wstępnych od autora.*

„Obrazem“\*) nazywam pewien odrębny rodzaj opowiadania prozą, który ma specjalny cel i cel ten osiąga zapomocą swoistych środków stylistycznych. A owym celem jest możliwie najwewnętrzniejsze przeżywanie akcji, środkami zaś: jedność osoby, jedność perspektywy i ciągłość akcji w czasie. Te to właśnie prawa są pierwiastkami rzeczywistości.

Dla wyjaśnienia: Bohater obrazu, wprowadzony odrazu w pierwszym zdaniu, nie schodzi już z widowni. Opowiada się nadto tylko to, co wchodzi w zakres jego spostrzeżeń, i tylko w tej formie, w jakiej te spostrzeżenia dochodzą do jego świadomości. Następnie autor śledzi bieg zdarzeń krok za krokiem, godzina za godziną, dając taki dokładny obraz życia, że nie pozwala sobie pominąć nawet rzekomo mniej ważnego

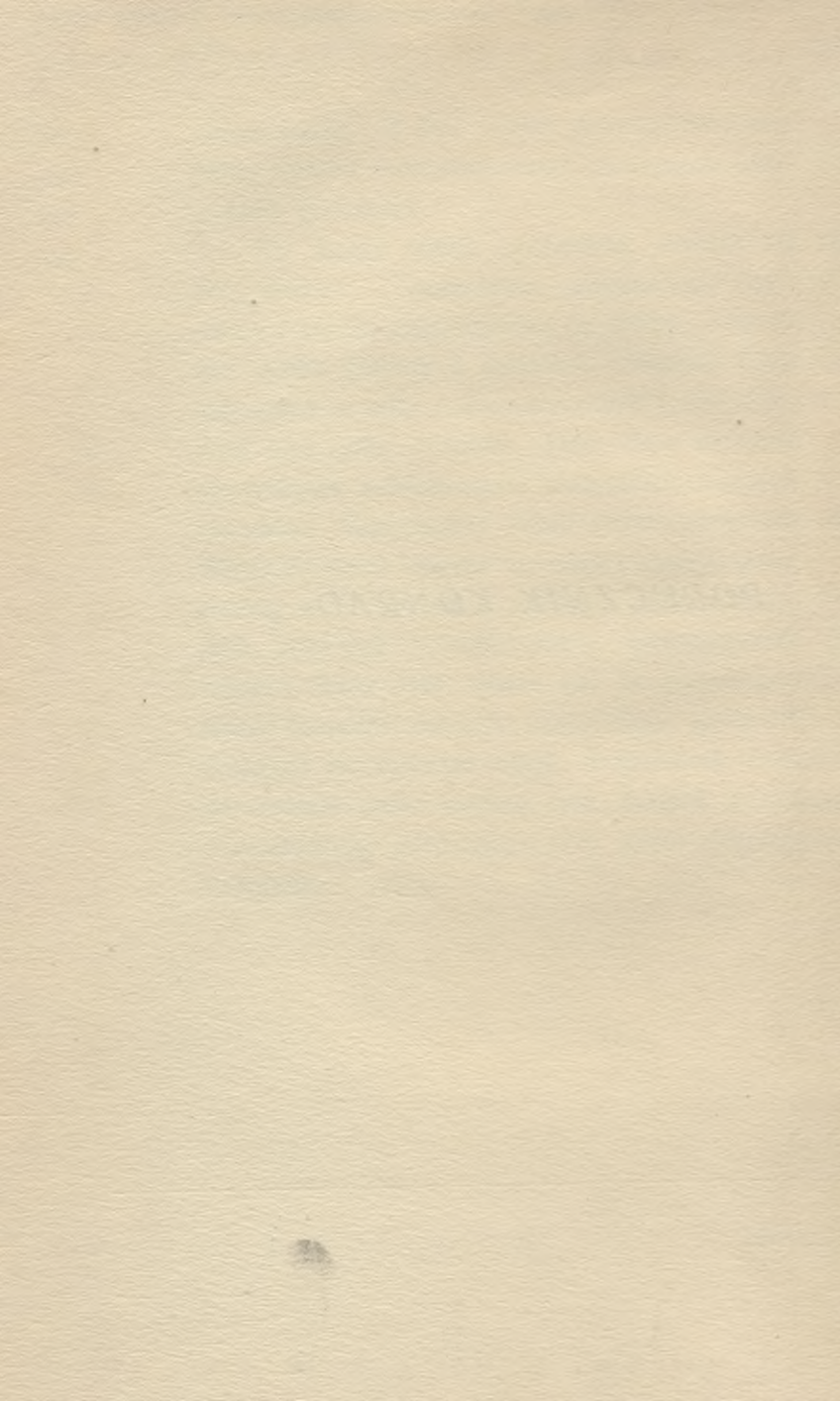
---

\*) Termin, jakiego autor użył na określenie swej opowieści, opiewa w oryginale „Darstellung“, co odpowiada polskiemu „obrazowi“.

okresu czasu. Z tego prawa bezwzględnej ciągłości wynika znów konieczność zamknięcia akcji w kilku godzinach.

Nie każdy temat, oczywiście, nadaje się do „obrazu” — przeciwnie, pominięszy fragmenty i błędne zastosowanie tej formy, może tu być mowa jedynie o tematach zwartych i zamkniętych w sobie („dramatycznych”), zaś z pośród nich tylko o takich, które dają możliwość swobodnego zobrazowania wszystkich ważnych motywów bezpośrednio przed rozstrzygnięciem. Wtedy to autor chwytą nić akcji i snuje ją dalej, według woli i wskazań prawdy. Gdy w tematach ponurych („tragicznych”), wymagających wielkiej liczby osób, okaże się, po śmierci głównego bohatera, potrzeba uzupełnienia celem całkowitego wyczerpania akcji, uzupełnienie takie opracowuje autor według tych samych zasad, z perspektywy pozostałego przy życiu drugiego bohatera.

*PORUCZNIK KONRAD*





---

**M**łody Konrad Reber z „Pod pawia” w Herrlisdorfie, porucznik, przesuwał się w stajni poza kołmi, które za jego wejściem wyciągały szyje i nastawiały się z hałasem, tylko kasztanowata Lissi w rogu obejrzała się poufale i podniosła ogon.

— No, co Lissi? — odezwał się porucznik. — Powiedz, chciałabyś się pożalić? Ręczę, że i ty wolałabyś galopować na placu ćwiczeń Frauenfeld od piątej rano, przy odgłosie trąb, i paradować przed oknami w niedzielę przed południem, a wieczorem podsuwać łeb pięknym panienkom, które głaszczą twoją grzywę i rzucają tobie cukier, a mnie całuska, niż w domu wozić gnój na zagony i przez cały boży dzień słuchać klótni i patrzeć na kwaśne miny! Gdzie się obrócisz, w prawo, czy w lewo, co zrobisz, tak czy ował, zawsze ci nawymyślają. A jak się skończy wymyślanie, zaczyna się wzdychanie. I cóż ty na to, Lissi? czy nie jesteś zdania, że co zanadto, to niezdrowo, a co trwa za długo, to się musi skończyć? Tak

albo tak, koniec być musi, po dobroci, czy w złości.

To mówiąc, klepał konia dłonią po grzbiecie, że kasztanek aż rżał z uciechy.

A ponieważ właśnie srokacz i gniadosz, w przystępie zazdrości o strawę, szczyrzyły na siebie wzajemnie zęby, przeto porucznik schwycił z okna bat i zdzielił je parokrotnie po brzuchu, że rzuciły się, jak pstrągi podczas burzy.

— Spokojnie, do stu tysięcy djabłów! — krzyknął. — Czy w tym swarliwym domu nawet czworonożne bydle musi się klócić?

A sypnąwszy im jeszcze kilka cięć batem po kolanach na zapas, stał z wyciągniętą ręką, dopóki wzburzenie nie minęło i we wszystkich żłobach nie rozległo się jednostajne, chrupiące młaskanie. Poczem, niedosłyszalnymi krokami, wsunął się we framugę okienną i powiesił bat na gwoździu, zatrzymując wszakże trzonek w dłoni, którą dopiero po dłuższej chwili cofnął ukradkiem. I stał bez ruchu, oparty o gzyms.

Biała smuga światła zadrgała połamaną linią przez drzwi stajenne, płosząc dwie jaskółki, które odfrunęły, jak strzała; czyjaś dłoń poruszyła łańcuszek, założony u zamka.

— Konradzie, czy to ty? — spytał poufale głos kobiety z zewnątrz. Poczem prosił nagłaco:

— Otwórz, Konradzie, to ja, Anna, siostra.

— Drzwi stajenne pozostaną zamknięte, — odparł stanowczo. — Natomiast otwarta jest furtka stodoły. — W kilka sekund później weszła poomacku, oślepią mrokiem stajennym, siostra, idąc ostrożnie między ścianą a ściekiem, i podnosząc spódnice.

— Dzień dobry, Anno, — powitał ją, by jej wskazać drogę.

— Czemu się tak ukrywasz przez całe przedpołudnie, że cię nikt znaleźć nie może? — zrzędziła przyjaznym tonem.

— Przecież jestem wszędzie zawadą.

— Mniejsza o to. W niedzielę majową, kiedy każdy pociąg kolejowy może przywieźć z pół setki gości, gospodarz powinien być w domu, a nie w stajni.

— Kto? Gospodarz? Ja gospodarz? Jak-gdyby od piwnicy do strychu istniała żywa dusza, która miałaby mniej do powiedzenia niż ja! Kozłem ofiarnym jestem, nie gospodarzem; ofiarą byle czyjego złego humoru! Gospodarz! Ja gospodarz!

Oparła się o niego i łagodnym tonem prosiła:

— Powinienbyś mieć więcej cierpliwości w postępowaniu z ojcem, Konradzie.

Ale on wybuchnął: — Gdybym nie miał cierpliwości, dużo cierpliwości, bardzo, bardzo dużo cierpliwości, czy myślisz, że jużbym dawno nie pokłócił się na dobre? I jak jeszcze! Zresztą tu nie chodzi wcale o cierpliwość, czy niecierpliwość. Skończyłem lat dwadzieścia cztery, mam już zatem prawo głosu na wyborach, jestem wojskowym, nawet oficerem, a nadto komendantem straży ogniowej. Koledzy moi mają pełną swobodę, żyją według własnej woli, są samodzielni, a niektórzy piastują urzędy i stworzyli sobie rodzinę. Ja natomiast jestem przez mego starego traktowany jak smarkacz. A kto nic nie znaczy we własnym domu, ten i w gminie nie ma żadnej powagi. To właśnie mnie gryzie, tego nie mogę przeboleć.

Anna milczała przez chwilę, spuściwszy oczy i bawiła się z roztargnieniem dzwoneczkami uprząży. Wkońcu, po długim wahaniu, rzuciła półgłosem:

— Kto wie, jak długo wogóle będzie jeszcze żył.

Konrad podniósł wylękły wzrok, jak wówczas, gdy w szkole rekrutów usłyszał po raz pierwszy piekielny syk rakiety pikrynowej. Poczem zmarszczył czoło: — Słuchaj, Anno, jakkolwiek nie umiem jak ty łagodzić kłótni, jednakże na taką bezbożną myśl nie pozwoliłbym sobie nigdy, nawet we śnie.

Pochyliła głowę i skierowała wzrok przez okratowane okienko ponad czerwone dachy wiejskie, tam, gdzie na niewidzialnej wyżynie leśnej odzywała się kukulka, tak głośno i serdecznie, jak gdyby chciała wyczarować jeszcze cudowniejszy błękit na niebie; — poczem nagle z rozpaczliwym łkaniem rzuciła się Anna na zakurzony gzyms, ukrywając głowę między rękami, na które spływały łzy, zadawnione, dojrzałe łzy, wezbrane w ciągu cichych nocy i w zboląłem sercu poczęte.

A Konrad zdziwił się ponownie i ogarnęło go współczucie i wydało mu się, że, idąc po przykrytym otworze studni, widzi poprzez szpary w deskach, jak w głębi, w ciemnej toni, porusza się coś żywego. Pochylił się i gładził tkliwie jej włosy. — Anno, — uspakajał pocieszającym tonem.

— Niech ci się nie zdaje, że ty jeden masz ciężkie życie, — wybuchnęła.

— Co się stało? Nie chcą ci dać twego doktora?

— Ojciec się zgadza, ale matka znów nie chce.

— Ja mam ojca, a ty masz matkę, — orzekł ponuro.

Ale Anna, ponieważ na dworze odezwały się głosy, wyprostowała się śpiesznie i otrząsnęła się ze smutku. — Czy co poznać po mnie? — spytała

żywo, ocierając oczy i poprawiając suknię. Poczem namawiała rozważnie: — A teraz pójdź, czas na obiad; jemy dzisiaj o godzinę wcześniej. — I poufnie szepnęła: — Ojciec je osobno, nakryłam mu w świetlicy. Matka także nie zejdzie prawdopodobnie na obiad.

— Dlaczego? — spytał zaniepokojony, — przecież chyba nie chora?

— Nie, ma tylko migrenę. Z irytacji i ze strachu.

— Ze strachu?

— A no, tak. Przedewszystkiem ze strachu przed tem, co mogłoby być dzisiaj do roboty. Wiesz przecież.

Z piersi jego uleciało westchnienie ulgi. — Tak więc będzie można raz przynajmniej wyjątkowo zjeść obiad w spokoju.

— Zapewne... To jest... wprawdzie przyjechała kuzynka do pomocy.

— Która? — badał podejrzliwie.

Zawahała się z odpowiedzią. — Obie, — wyznała nieśmiało. — Słodka i Wiedźma.

— Szkoda, że odrazu nie cały kurnik! — drwił.

— Tylko na pół dnia, — tłumaczyła. — Przybyły przed godziną, a odjadą wieczorem. Myślę, że tak długo będzie można wytrzymać! — I żeby lepiej strawił ten kęs niesmaczny, dodała mądrze

trzy kropelki humoru: — Chciałabym, żebyś mógł być je widzieć, jak przymaszerowały razem, pod rękę, osłonięte przedpotopowym parasolem, chwiałe się, jak stare meble, a figlarne, jak roczne żółtaczki. W przystępie swawoli pociągnęły ojca za nos, wyobraź sobie! Teraz kłócą się nazabój w kuchni. W najlepszej myśli, oczywiście.

I rzeczywiście doprowadziła go do uśmiechu. Nie dlatego, że obraz był humorystyczny, gdyż jako człowiek silnej woli niebardzo humor odczuwał, ale dlatego, że mu był miły. Albowiem ze zmarszczek tych kuzynek przemawiało doń siedem lat dziecinnych. — Gdybyż tylko kuzynka Wiedźma nie miała takiego obrzydliwego języka, — wtrącił nawpół udobruchany. — Gdy ją słyszę mówiącą, wydaje mi się, że zebrała z gościńca wszystkie plugawe wyrazy.

— Przecież ona ma najlepsze chęci i jest z gruntu poczciwa... A gotuje... pierwsza klasa!

— Nie przeczę. Ale należałby jej się kaganiec, na mocy postanowienia rady rządowej, powziętego na uroczystem posiedzeniu.

Siostra, uważając dalsze wywody za zbyteczne, rzekła się sprzeciwu, uniosła spódnice i wyszła ostrożnie na palcach. — A zatem, przychodzisz teraz na obiad — zakończyła stanowczo, nie oglądając się na brata i zostawiła furtkę od stodoły otwartą.

Czy ma iść istotnie? Czy musi koniecznie? Opuścić bezpieczne schronienie i wejść w atmosferę nienawiści i waśni? Otwarta furtka upominała go wszakże nieustannie głosem siostry, a, szczerze mówiąc, i apetyt zaczynał się domagać swoich praw. Niechętnie, z wahaniem wyszedł.

„Być raz jeden panem i władcą!” mruczał przez zaciśnięte zęby, „móc rozkazywać, karać i nagradzać, cieszyć się szacunkiem, mieć spokój, nie być zmuszonym znosić niesprawiedliwych wyrzutów — choćby tylko przez jedną godzinę — albo nawet przez pół!”

\* \* \*

Na obszernym rynku w jaskrawym blasku słońca przedpołudniowego, rozmawiały gromadki wieśniaków w stroju świątecznym, trzymając w ręku książki do nabożeństwa.

— Wspaniała dzisiaj pogoda, — zawołał wesoło Konrad przechodząc.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Odpowiedzi nie otrzymał. Zmarszczył czoło.

„Wdaj się z nimi, bądź uprzejmy, przystępny, a każą ci zaraz za to odpokutować.”

Na rogu domu „Pod pawiem,” przed tarasem, mocowali się wśród ryczącego śmiechu portjer



i woźnica, Benedykt. Portjer, w czapce zsuniętej na bakier na tył głowy, podstawił nogę Benedyktowi, którą ten usiłował pochwycić. Na widok młodego gospodarza woźnica złożył ukłon i usunął się w bok, portjer natomiast, sięgnąwszy najpierw mimowoli do czapki, namyślił się, nie zdjął jej i powrócił do brutalnej zabawy.

Porucznik rzucił mu surowe spojrzenie, poczem przez boczną furtkę obok kuchni wszedł do domu.

Przed progiem zatrzymał się z okrzykiem oburzenia. Dokoła leżały pióra gołębie i kilka kropel krwi widniało na najwyższym stopniu.

„I znów biedny niewinny gołąbek musiał oddać swoje młode życie, żeby polechtać jałowe podniebienie ladażakiego wybrednego smakosza!”

Zanim wszedł, powiódł wzrokiem dokoła i głębokim oddechem zaczerpnął powietrza. „Odwagi” szepnął, wstrząśnięty dreszczem wstrętu.

Poczem wszedł cicho przez próg do sieni, gdzie wyteżył podejrzliwie słuch, jakgdyby stanął na nieprzyjacielskim gruncie. Nic groźnego w pobliżu; pustka dokoła, a w pokojach cisza. A zatem zło spało gdzieś w odległym zakątku pod wiązką słomy. Od kuchni tylko dolatywała jego uszu klótnia kuzynek.

Ale jeżeli takim tonem prowadzona jest klótnia

w „najlepszej myśli”, jak brzmi wówczas kłótnia w „złej myśli” wszczęta?

Rozweselony, jak karcony chłopiec, gdy surowi wychowawcy się pokłóca, rozkoszował się Konrad koncertem. „Zobaczmy, kto też weźmie górę? Wiedźma czy Słodka?” i, podniósłszy dłonie, uderzał w palce wskazujące, jak uderzają o siebie krokodyl i djabeł w teatrze marionetek.

Wtem rozwarły się z trzaskiem drzwi kuchenne, a ucieczka i pościg wtargnęły do korytarza. Tekst objaśniający objął wrzeszczący głos Wiedźmy:

— Wynos się! Precz stąd! hopla! marsz!

— Poczekaj tylko! — zabrzmiało groźnie w odpowiedzi, płaczkliwym tonem kamienowanego proroka, — poczekajno, aż Konrad będzie tu gospodarzem. Wypędzi on cię z domu tak, jak ty mnie dzisiaj z domu wypędzasz.

„Amen, niech się tak stanie!” modlił się w duchu Konrad i wszedł do jadalni.

Była jeszcze zupełnie pusta. Mieszanina powiewu chłodnej wiosny i ciepłego prądu promieni słonecznych — „mrożone lato,” pomyślał — nappełniała jasny, miły pokój. Dokoła ujmująca czystość. Na nakrytych stołach błyszczwały szklanki i karafki jak odbicie słońca. Mały stół dla rodziny, a długi, nieco oddalony, dla gromady

usługujących. Oba przybrane w bukiety bzu, a nakrycie starannie porozkładane, jakby całąwką odmierzone.

Na ten widok wezbrała w nim fala radości życia i zaczął gwizdać wesołego marsza. Mijając wszakże świetlicę, drgnął, umilkł i przeszedł chyłkiem do najbliższego okna. Przez szeroką szparę niedomkniętych drzwi ujrzał postać ojca, siedzącego w fotelu. Popatrzył przez krótką chwilę i, jakby go kto obuchem ugodził w głowę. Zniebawidzony obraz, spotęgowany przez wyobraźnię, stanął przed nim w potwornych zarysach, wyolbrzymiony, ponury. Przytem coś się w nim zламаło i wypłynęły na powierzchnię wrogie uczucia; z bijącą skronią, przyciskając czoło do szyby, utkwiał wzrok w tarasie.

Stał tak w bezcelowej zadumie i niepostrzeżenie wyłoniły się z myśli jego zuchwale słowa siostry: „Kto wie, jak długo wogóle będzie jeszcze żył!” Jakkolwiek odpędzał je usilnie, niemniej dźwięczały mu ustawicznie w uszach. Nie jako życzenie albo nadzieja — broń Boże! — tylko po prostu jako pytanie. I ostatecznie dlaczego, w gruncie rzeczy, nie miałby na nie odpowiedzieć? Rozbudziła się w nim niepokonana ciekawość, tak, że przesunął się powoli w bok wzdłuż okna, dopóki wzrok jego przez szparę nie spoczął na ojcu,

obejmując prawą stronę postaci, a w miarę, jak ojciec się poruszał, i głowę.

Z zapartym oddechem zaczął mu się teraz przypatrywać tak, jak mu się jeszcze nigdy nie przyglądał, czatującym wzrokiem szpiega, usiłując odnaleźć słabe strony wroga. Badał go szczegółowo, od głowy do stóp, i z tego badania wkońcu wynikło: Straszna twarz, wygolona, pocentkowana ohydnie brunatnemi plamami, okropne, krwią nabiegłe oczy, wzdęty brzuch, skutkiem ciężkiego oddechu falujący po bokach, jak łono kobiece, nogi bezkształtne, bryłowate, tkwiące, mimo letniego ciepła, w futrzanych butach. I obliczył skrycie jego wiek: sześćdziesiąt cztery lata na jesieni. Ilekroć wzrok jego przypadkiem skrzyżował się ze wzrokiem ojca, cofał, blednąc, swoje oczy, ojciec zaś spluwał, chrząkając hałaśliwie.

— Chłopcze, o czem tak dumasz? — szepnęła mu siostra do ucha.

Drgnął, wylękniony, jak anemiczna dziewczyna, i serce zamarło mu w piersi.

Anna zaś przesunęła po jego czole swoje wymowne dłonie, jakgdyby chciała coś zatrzeć, podobnie jak sztukmistrz, gdy z jego rąk ma coś zniknąć.

— *Infernalis*, — szepnęła. Poczem podniosła, grożąc, palec wskazujący: — Chłopcze,

bądź grzeczny, — przestrzegala. — Jak będziesz grzeczny, ale bardzo, bardzo grzeczny, to ci pokażę coś ładnego.

Powiedziała to takim tonem, jakgdyby ukrywała za plecami podarunek.

— A co? — spytał z roztargnieniem, jeszcze nie oprzytomniawszy z przestrachu.

Wskazała figlarnie krajobraz, dotykając palcem jego nosa.

— Naprzykład pęki różowego w czerwone centki kwiatu jabłoni tam w dole, na łące, czy to nie śliczne?

Poczem zbliżyła się wesoło do stołu, nieopstrzeżenie zamykając po drodze drzwi od świetlicy i zabrała się do nakrycia, poprawiała, przesuwała, dodała jeszcze nożyki do ciasta, zarówno dla służby jak i dla państwa. Konrad stał w dalszym ciągu w posepnej zadumie przy oknie, ona zaś, krzątając się, śpiewała za jego plecami piosenkę, to zcicha nucać, to głośniej, z naciskiem, stosownie do treści lub upodobania:

Wiosną kukulka wróży po lesie,  
Nie wie człek żaden, co lato mu niesie.  
Śpi jeszcze lato za siedmiu górami,  
Coś przyjdzie innego i los nas omami.  
Powróci może czas dobry i miły,  
Gdyś już nadzieję złożył do mogiły.

Miesiąc styczeń i luty:  
Da Bóg nowy rok.  
Przyjdzie w marcu i kwietniu  
Wiosny pierwszy krok.  
A gdy w maju śnieg prószy,  
Jabłoń pełna jest skarg.  
W lipcu za to i w sierpniu  
Z dolą skończy się targ.  
Jesienią rośnie noc,  
Aż zimy chwyci moc.  
Wiatr w kominie dmie,  
Źle jest kwiatkom — źle.

Poginę kwiatki od mrozu ostrego,  
Ustrzeż mi dolo chłopca jedynego. \*)

Wszakże zamiast „chłopca jedynego” wsta-  
wiła „Konrada mojego,” przyczem objęła brata  
tkliwem, głębokiem spojrzeniem, nie troszcząc  
się, czy je zauważył.

\* \* \*

Naraz rozkołysał się dzwonek obiadowy i, po  
upływie nakazanej przez przyzwoitość krótkiej  
chwili, kelnerki zaczęły wchodzić do pokoju po-  
jedyńczo i gromadkami. Każda powitała mło-  
dego gospodarza serdecznem „dzień dobry”, nie-  
tyle z szacunkiem ile raczej po koleżeńsku i po-

---

\*) Tłum. J. Stycz.

ufale, za co dziękował donośnym głosem, nie odwracając się jednak od okna.

Za nim unosił się miły szmer szepczących, śpiewnych głosów dziewczęcych. I co chwila wsuwała się do jego skrzyżowanych na plecach dłoni łodyga kwiecista. Że zaś pokój odbijał się w szybie otwartego okna jak w zwierciadle, przeto Konrad poznawał ofiarodawczynię.

— Józefina, — orzekł, — zaraz poznać po głupim figlu.

Potem przesunęła mu się dłoń po twarzy.

— Taką przedpotopową łapę ma na świecie tylko Brygida, — oświadczył.

— Oszustwo! — Oznajmił okrzyk oburzenia. — Widzi nas w oknie.

I gromada rozproszyła się niezwłocznie. Natomiast stanęła teraz obok niego siostra.

— No, a co teraz o tem powiesz? — badała.

— O czym?

— Otwórzże nareszcie oczy, głuptasie!

Odwrócił się niedbale, a wodząc okiem po gromadzie dziewcząt, barwnej i wesołej jak poranek czerwcowy w ogrodzie, wykrył wśród kelnerek postać nową: wysoka, rosła, prosta, jak strzała, w bogatym stroju berneńskim z aksamitu, jedwabiu i czystego srebra, w sztywnym półkoszulku, w gorseciku jak pancerz, w haftowanych

mitynkach — wszystko dokładnie, jak na obrazku dla cudzoziemców w wystawie sklepowej w Interlaken.

— Z jakiego pudełka zabawek wydobylaś tę dziewczynę? — zauważył przychylnie, chociaż obojętnie.

— A co? — roześmiała się. — Czyż nie przyrzekłam, że pokażę ci coś ładnego?... Ale tu niema mowy o pudełku zabawek, rozpustniku! Do kroćset, to nie do zabawy, słyszysz? Tylko do oglądania. I trzeba się z tem obchodzić ostrożnie, zapamiętaj, bo to cenna córka prezydenta, cnotliwa i dumna. Zresztą nie boję się o nią, bo ma kolczasty język, jak szczupak... tem bardziej dla ciebie... biada twemu sercu! biedny Konradzie!

To rzekłszy, odbiegła z triumfującą miną, śpiwając radosnemi oktavami.

On zaś miał Bernenkę na oku i, ogarnięty nagle zarozumiałą pewnością siebie, manewrował zręcznie, by do niej dotrzeć.

— A więc prawdopodobnie „Bäbeli” albo „Marianelli,” — odezwał się nagle w nastroju zaczepnym, stając niespodziewanie przed nią tak blisko, że czołem niemal dotykał jej czoła, by ją zmusić do cofnięcia się.

Ona jednak nie ustąpiła — stała hardo, ze zmarszczonemi brwiami.



— Ani Babeli ani Marianelli, tylko Cathri, — odparła szorstko i nie odsunęła się ani na cal.

— Z Langnau, czy z Signau? — badał dalej.

— Na waszem miejscu, — uniosła się, — gdybym nie umiała lepiej zgadywać, tobym się w zgadywanie nie bawiła. Jestem z Melchdorfu.

— Melchdorf? Z Melchdorfu? A gdzież jest ten Melchdorf? Zresztą skąd w Melchdorfie? Z tartaku, czy z młyna? Bo Melchdorf mianowicie, trzeba wam wiedzieć, jest duży.

— A teraz powiedzieliście głupstwo; bo Melchdorf jest mały. Nie ma też wogóle ani tartaku, ani młyna. Zresztą skoro jesteście tacy strasznie ciekawi, możecie się dowiedzieć, to nie tajemnica: mój dom rodzinny jest w Gołębim Dworze.

— W Gołębim Dworze? Ach tak, w Gołębim Dworze. A więc w Gołębim Dworze. Nie można powiedzieć, żeby gołąbki w Gołębim Dworze były nieudane. — I mierząc ją spojrzeniem od głowy do stóp: — Czy ojciec wasz ma w swoim gołębniku jeszcze więcej takich schludnych, białych ptasząt, tej samej wysokości?

Radosna дума rozjaśniła jej oblicze.

— Jest nas z rodzeństwa sześcioro, a jedno słuszniejsze od drugiego. Kto wie, czy nasz najstarszy, Hans, nie jest jeszcze o pół głowy wyższy od was.

Konrad z powątpiewaniem zmrużył oko.

— Wolno mrugać każdemu, kto ma głupie oczy, — zauważyła gniewnie, — a ja mówię to, co wiem i co jest faktem. Nasz Hans przewyższa mnie prawie o głowę, więc możecie sobie sami obliczyć, jeżeliście się liczyć nauczyli.

— Albo odmierzyć? — spytał.

— Mnie tam wszystko jedno.

I oboje wspięli się wyzywająco na palce, na pół żartem, na pół serjo.

— Nie tak — wtrąciła Józefina, — tylko uczciwie, plecy do pleców, jak jest w zwyczaju. — I śmiałą ręką obróciła oboje, popchnęła ich do ściany i zesunęła plecami. — Dawać tu podnózek, linję i ołówek, — rozkazała. — Prędko!

Ale Anna przerwała zabawę:

— Zupa podana, — oznajmiła śpiewnym głosem, posyłając łaskawe macierzyńskie spojrzenie dorodnej parze.

— Zupa podana, — powtórzyły wesoło dziewczęta, naśladując z przesadą przeciągły ton. I zaroił się od młodzieży stół służbowy. Zasiadła z nimi i Cathri, czemu dziwił się niemało Konrad, jakby czemuś niestosownemu.

Zastanowił się. Miałżeby odważyć się samowolnie posadzić ją przy stole rodzinnym?

Ona zaś rozłożyła już z całą powagą serwetę

na kolanach i śmiała się do niego zdaleka, ubawiona jego zdumieniem.

— Siedzę tu doskonale, — zapewniła.

Gdy z wahaniem zmierzał do swego miejsca, dostał w bok kulakiem i to bardzo kościstym.

— A mnie, — odezwał się szczekliwy, dychawiczny głos, — mnie, to się już nie wita, naturalnie, co? mnie to się już pomija? Oczywiście, ja nie mogę cię uraczyć gładką buzią, ja to jestem tylko stara Urszula, albo „Wiedźma”, jak mnie przed laty ochrzciłeś, pamiętasz? Bo ci się zdawało, że jak ja tylko przyjdę, to potem zawsze zdarzy się nieszczęście. Dlatego, że *per se* za każdym razem zrobiłeś jakieś głupstwo i później dostawałeś za to różgi; raz wdrapałeś się na dach i obtłukiwałeś cegły, innym razem umazałeś sobie twarz, trzeci raz wpuściłeś konie do ogrodu Heinisa i tak dalej, czy ja pamiętam! Ale tacy są już ludzie. Gdy kto głupstwo zrobi i musi później wypić co narzył...

— Dzień dobry, kuzynko, — powstrzymał wylew. — Zresztą miałem już dzisiaj przyjemność, jakkolwiek tylko zdaleka. Dzielna jesteś, trzeba ci przyznać, odważna, jak prawdziwy św. Jerzy. Tak, ni stąd ni zawąd, raz, dwa, trzy, wypędziłaś ją z domu? biedną Słodką? co?

Posłała w powietrze złe spojrzenie kuzynce

Słodkiej i zamknęła szczęki, jak jamnik po połknięciu szczura.

— Jedna tylko może rządzić w domu, nie dwie, — huknęła.

Złożył etykietalny ukłon.

— Najniższe posłuszeństwo samowładnej pani w domu.

Poczem podał jej rękę na powitanie.

Ona jednak, drożąc się, cofnęła rękę i skoczyła w tył.

— Nie fatyguj się, jeżeli nie chcesz. Zmuszać cię nie zamierzam.

— I ja ciebie również, — odparł i usiadł. — Anno, czy matka właściwie przyjdzie na obiad?

— Zdaje mi się, że przyjdzie; ale później. Ubiera się właśnie.

— A ty? nie jesz z nami?

— Nie, obsługuję ojca.

— Ojoj! — jęknął.

\* \* \*

Dymiąca zupa przypadła wszystkim do smaku i pobudziła ochotę do rozmowy.

— Skąd są te wszystkie przepyszne wiązanki bzu? — spytał Konrad kuzynki, wydymając gałązkę i wdychając jej woń.

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Kapitalna zupa, — orzekł po chwili. —  
Cześć temu, kto ją przyrządził.

Kuzynka spojrzała nań złośliwie zukosa i zachichotała zcicha. Wkońcu odparła:

— Gdybyś był wiedział, że to ja ją przyrządziłam, nie smakowałaby ci z pewnością, nieprawda?

Przeczekał chwilę, poczem spróbował po raz trzeci.

— Wspaniała pogoda, ani jednej chmurki na niebie.

— Tak, pogoda to już dobra — gderała kuzynka, — żeby tylko ludzie byli tacy.

Teraz miał dosyć, zadał sobie gwałt i stłumił chęć do rozmowy, odwracając umyślnie oczy od skwaszonej kuzynki, przyczem wzrok jego padł przypadkiem na kelnerki.

A przedstawiały widok wprost rozkoszny. Nie, doprawdy, serjo mówiąc, wyglądały piekielnie ładnie w nowych, lekkich, letnich spódniczkach, których barwy wyprawiały nieprawdopodobne harce, nie klóćąc się wzajemnie. Nie wiadomo było istotnie, której dać pierwszeństwo, czy Bercie o jedwabistych, falujących, kasztanowatych włosach, przystrojonej w szatkę w paski białe i blade zielone — czyż nie słusznie miał upodobanie do bladezielonego koloru? — albo pło-

wej, jak jęczmień, Helenie, o przezroczystej cerze, w białej sukni, upstrzonej różowemi kokardami, jak baranek z obrazka, prowadzony na wstążce przez anioła — albo Józefinie w czerwonej kryzie — tak, czyżto nosi się czarną suknię latem? — ale Józefina musi o tem lepiej wiedzieć niż on, a było jej w tym stroju niesłychanie do twarzy.

Tylko Brygida, ten leniwy mamut, ubrała się naturalnie w ciężką, brunatną suknię roboczą. A między niemi paradowała Cathri, sztywna, wyprostowana, w twardym białoczarnym stroju narodowym, — omal nie powiedział „mundurze.” Dać jej tylko zamiast noża i widelca tarczę i lancę, a byłaby najdoskonalszą Helwecją, jak na srebrnej pięciofrankówce, albo skrzydlatą postacią alegoryczną na afiszu, reklamującym wystawę krajową, rolnictwo i pracę ludu, czy coś podobnego. Czy człowiek, widząc ją, nie spodziewał się, mimowoli, że ujrzy też i żagwienie Alp?

Taką rozrywkę miał Konrad dla swego wzroku. Dziewczęta ze swej strony spoglądały ku niemu, rozwinęła się zatem wesola gra oczu, które iskrzyły się i mrugały. Więc język go świerzbiał, a wesola swawola podniecała.

— Na zdrowie, Brygido, — zaczął, podnosząc szklanekę, — próbowaliście też już wina bez nikotyny?

Brygida zastrzegła się oburzona.

— Ajaj, — mruknęła pogardliwie i otarła z odrazą usta, — wino bez nikotyny, to jak miód bez cukru.

Przytem powiodła dokoła triumfującym spojrzeniem, czy też wszyscy odczuli dowcip jej odpowiedzi.

A teraz powstał dokoła niej drwiący śmiech i opadły ją ze wszystkich stron przestrogi i nauki.

Kuzyńka, która ustawicznie różnemi hałaśliwymi oznakami ujawniała swoje niezadowolenie — mruzczała, chrząkała, szurała nogami, przesuwiała krzesło, ciskała łyżki i talerze, — teraz straciła cierpliwość:

— Od kiedy to portjer nie siedzi już przy stole? — huknęła szorstko na siedzącego naprzeciwko Konrada głosem grzmiącym, jakby z pękniętego garnka. — Rozumiem, pewnie nie jest już dosyć dystyngowany dla pana porucznika.

— Tu nie chodzi o to, czy jest dystyngowany, czy nie — odparł Konrad spokojnie, — ale o to, że portjer jest zuchwały gbur, któremu rzeknę niebawem parę słów.

— Nie wiem, co się z tobą stało, — ciągnęła dalej, wzdychając, — ale od czasu tej przeklętej służby wojskowej jesteś jak wywrócona ręka-wiczka.

— Byłby to czysty zysk, — odparł, — bo przecież rękawiczka nigdy nie miała szczęścia cieszyć się twojem uznaniem.

— Wogóle, mamrotała — poco to wojsko? Jeżeli narody chcą utrzymać pokój, jeżeli monarchowie Europy w swej nigdy niezaspokojonej, chciwej ambicji...

Konrad przerwał tę przemowę.

— Baczność narody i monarchowie Europy, zaciśnijcie zęby, jej dostojność kuzynka Urszula z Hutzlisbühl prawi wam morały.

Śmiech przy stole kelnerek poparł odprawę.

W milczeniu i chmurnym nastroju ciągnął się teraz dalej obiad, wśród gwałtownego łykania, i przewlekłych, nieznośnych przerw. Ale na łące ptak śpiewał nieustannie takim radosnym tonem tui, tui, tui, jakgdyby nie mógł dosyć naopowiadać się o szczęściu majowem.

Kucharka, stara wierna Lisabeth, podała jarzynę, poczem stanęła przy kuzynce, szepcząc i posyłając nienawistne spojrzenie Bernence.

Kuzynka wydeła usta.

— Co się komu podoba, — wrzasnęła, zezując na Cathri: — Są podobno goście, którzy to lubią.

— Co? — spytał Konrad groźnie.

— A no, — brzmiała odpowiedź, — jak się kelnerka wystroi jak owca do wygrania w kręgielni



i paraduje z golemi łapami, że aż się robi ckliwo, i gapi się wielkimi oczami, jak taka byle co.

Konrad szukał w myśli ciętej a karcącej odpowiedzi. Ale Cathri już zerwała się wzburzona i zawołała ostrym głosem:

— Strój, jaki mam na sobie, jest czcigodnym strojem narodowym. A na gołe ręce może się conajwyżej oburzyć bezwstydnym, przeżyty rozpustnik, albo zawistna stara wiedźma. A jeżeli otwieram wielkie oczy, to dlatego, że nie wiem, dlaczego i przed kim miałabym je spuszczać. Zresztą, jeżeli tu komu zawadzam, to niech się tylko zgłosi. Nie narzucałam się, jestem tu jedynie dlatego, że panna Anna Reber odwiedziła mnie osobiście w zdrojowisku i zamówiła do pomocy.

— Cathri, — mówił teraz Konrad z naciskiem, — jeżeli jesteście zamówieni przez moją siostrę, to znaczy zupełnie tyle samo, jakgdybyście byli zamówieni przez ojca i matkę. Proszę was zatem w ich imieniu, żebyście zostali i nie zwracali uwagi na impertynencje osób niepowołanych.

Wobec tych słów usiadła spokojnie.

— Jeżeli tak się rzeczy mają, — rzekła, — to dobrze. Wy jesteście tutaj gospodarzem i wasze słowo ma dla mnie znaczenie. Co inni zaś mówią, to dla mnie warte mniej, niż klekotanie młyna.

Kuzynka wszakże nie mogła przeboleć porażki. Zabelkotała coś niewyraźnie i z pasją zwróciła się do Konrada.

— Widać, że i ty należysz do tych wielu, co to wystarczą im ceglaste liczka, żeby wywracać zakochanemi oczyma jak kura do chrząszcza. O wartość wewnętrzną, o cnotę, żaden nie pyta naturalnie.

Teraz wybuchnął Konrad.

— A ty, — odparł, — należysz do tych wielu, co mniemają, że cnota kobiety objawia się wolem. \*)

Niepohamowana salwa śmiechu, jaka teraz nastąpiła i wilgotne oczy kuzynki wskazały mu, że trafił celniej, niż mierzył i chętnie byłby cofnął okrutne słowa. Rzeczywiście nie pomyślał, że kuzynka ma sama wydętą szyję, żałował więc szczerze swej złośliwości i szukał skwapliwie środka, żeby ją naprawić. Ona zaś wydobyła tymczasem z kieszeni chustkę do nosa i, ocierając oczy, wybąkała:

— Milcz no, milcz, Konradzie. Były czasy, kiedy nie byłam ci za brzydka razem z moim wolem.

— Te czasy wcale jeszcze nie minęły, — zapewniał serdecznie, — i teraz nie jesteś mi bynajmniej za brzydka.

---

\*) Wól — nadmiernie wydęta szyja, choroba częsta u górali. (Przyp. tłum.)

Nie skręcając na ten most zgody, kuzynka mówiła dalej żalonym tonem ofiary:

— Piękne to były czasy, kiedyś był jeszcze maleńkim chłopczyką.

— Najukochańsza, najlepsza kuzynko, com ja temu winien, że nie jestem już maleńkim chłopczyką? Zresztą, pod tym względem zachowujesz się zupełnie, jak moja matka. Wyrzucacie mi ciągle, jak zdradę, że czasem zostałem mężczyzną. Do diabła, nie mogę przecież, żeby się wam przypodobać, wędrować całe życie ze smoczkiem; czego wy właściwie żądacie ode mnie?

Jakgdyby się wcale nie odezwał, snuła dalej swoją szarą nić z oskarżającym wzdychaniem.

— Miły Boże, ileż to razy siedziałeś mi na kolanach.

Ten niepowstrzymany potok głupoty i niesprawiedliwości podrażnił go na nowo.

— O ile tylko o to chodzi, — odparł gniewnie, — można temu zaradzić, to jest o ile rzeczywiście pragniesz na serjo, żebym ci usiadł na kolanach.

Tym razem wszakże nie roześmiały się dziewczęta, lecz, poważne i zmieszane, spuściły oczy, a gdy Konrad, zdziwiony, szukał wzrokiem przyuczyny, ujrzał matkę siedzącą obok przy stole; blada była jak chusta i osłabiona, a głowę miała otuloną chustkami.

Pobladł, poczem opanował się.

— Dzień dobry, matko, jakże się miewasz?  
— spytał ze współczuciem nieśmiałym głosem.

Bolesne drganie dokoła bladych ust i oskarżające spojrzenie było odpowiedzią.

— Pytałem cię, jak się miewasz? — powtórzył urażony.

Głosem, zaledwie dosłyszalnym, odwracając głowę, odpowiedziała:

— Tak, jak się mieć można.

— Można się mieć różnie, — odparł. — Ale jak miewasz się obecnie, radbym chętnie się dowiedzieć.

Głos jego drżał, albowiem buntowało się w nim coś, co z trudnością poskramiał.

I znów zaciążyło milczenie nad biesiadnikami, ale tym razem nie było to milczenie, wywołane rozdrażnieniem złego humoru, lecz niepokojem. Tylko matka i kuzynka dzieliły się od czasu do czasu uwagami, nie zwracając się wcale do reszty obecnych, jakgdyby jadły same.

— Jak świerszcze hałasują, — szepnęła matka, marszcząc boleśnie czoło i blademi, cienkimi palcami nasuwając trwożliwie chustkę na uszy.

A kuzynka dodała, jakby na potwierdzenie:

— W Hutzlisbühl, to kosy już o czwartej rano hulały.

Konrad zagryzł usta i spojrzał wielkimi oczyma w sufit.

— Kosy hulały, — powtórzył bezwiednie, — kozy, które hulały. „Kosy”... i hulać.

Nagle porwał go niepohamowany śmiech i zatrzęsł całą postacią.

Kuzynka zaś chwyciła znów chustkę, a matka zmierzyła syna przeciągłym spojrzeniem smutku i rozpaczki.

Spojrzenie to zdławiło śmiech, natomiast w sercu jego wznieciło posępną złość.

Przez dłuższą chwilę jeszcze panował nad sobą, wkońcu jednak, gdy ani przy tym, ani przy tamtym stole nikt nie śmiał się odezwać, nie wytrzymał.

— Możliwy pomyśleć, że jesteśmy na stypie pogrzebowej, — rzekł zgryźliwie, rzucając nóż i widelec.

— Nie każdy jest stale do śmiechu i żartów usposobiony, jak ty, — zauważyła matka karzącym tonem.

Ten wyrzut przyprawił go o zupełną utratę panowania nad sobą.

Donośnym głosem, jak pastor w kościele, wołał:

— A ze swojej strony utrzymuję, że niesłusznie jest, że niewolno, że to lekkomyślność nie

do przebaczenia, gdy nieszczęście dom omija, gdy niema poważnego powodu do skarg, gdy wszyscy żyją i są jako tako zdrowi, i nie mają trosk, a jedzenia jest pod dostatkiem, zachowywać się jakgdyby spadła na dom śmierć. To niesłusznie, to niewdzięczność, to znaczy, że się nie zasługuje na taką łaskawość losu!

Naraz Anna, która znalazła się za jego krzesłem, sam nie wiedział jak, szarpnęła go gwałtownie za ramię.

— Konradzie, — strofowała przyciszonym głosem, — czyś ty oszalał?

— Nie, nie oszalałem, — wołał jeszcze głośniej, — tylko mówię rozsądną, poważną prawdę i powtarzam ją jeszcze raz. Posiadać szczęście i nakładać maskę nieszczęścia jedynie z nałogu do biadania i utyskiwania, to występki, to zu-chwalstwo, to wprost wyzywanie nieszczęścia.

Teraz matka się podniosła, opierając ręce na stole i wyszła chwiejnym krokiem.

Kuzyńska wszakże, w mniemaniu, że musi objąć po niej spadek i martwić się w dalszym ciągu, zabijała zgryźliwym spojrzeniem każdy weselszy odruch. A ponieważ dziewczęta, otrząsając się stopniowo z onieśmienia, zaczęły cicho rozmawiać:

— Stulić pysk! — wrzasnęła. Później zaś,

gdy Lisabeth zanosła na stół słuźbowy wielką pieczeń, kuzynka zaczęła z przerażeniem wymachiwać rękami: — Mój ty miły Boże! co za niesłychana pieczeń cielęca! Za moich czasów słuźba była uszczęśliwiona, jak dostała chudy kawałek mięsa rosółowego.

Jak gdyby wpadła bomba, zerwały się z krzesel dziewczęta, poczerwieniałe, jak piwonje, ze złości, i odsuwały talerze, sapiąc w uniesieniu.

— Jeżeli wam żal, — skrzeczała Brygida, — jeżeli nam żałujecie, żryjcie sami, my tego nie ruszymy!

Na ten widok żółć zalała kuzynkę.

— Siadać, — wrzasnęła. I potwierdziła rozkaz dobitnie, podnosząc tułów z krzesła i opuszczając go energicznie. Jednocześnie stukwała trzonkiem noża, jak młotkiem, w stół.

Dziewczęta, mimowoli, usłuchały, jakkolwiek z wahaniem i sarkając. Pieczeni wszakże nie tknęły i wsunęły na znak buntu ręce pod fartuch.

Wtem kuzynka przydreptała ku nim, schwyła półmisek i posunęła ze złością.

— Żreć! — huknęła, — skoro już raz jest! za nim wystygnie.

Z rozplómięionych twarzy padły na nią złe spojrzenia. Józefina klęła; Brygida zgrzytała

zębami; Helena i Berta płakały ze złości. Żadna jednak nie sięgnęła do półmiska. Oprócz Cathri, która wogóle nie ruszyła się z miejsca.

— Ja tam sobie spokojnie zjem, — oświadczyła suchym tonem.

Kuzynka straciła rezon. Rozumiała dobrze, iż bić nie może silnych, dorosłych dziewcząt, nie przywykła też bić żywej istoty. A jednak wydało jej się, że był to jedyny właściwy środek. Innego znaleźć nie mogła. Stała bezsilna, bezradna, a złośliwie migocące oczy przesłaniał smutek jak oczy unieszkodliwionej żmiji, która po raz pierwszy widzi, że jej jad pozostaje bezskuteczny. Jaki to ona dawniej rygor utrzymywała „Pod pawiem”! Gdy trzeba było wymusztrować posługaczkę, gdy kucharka nie chciała słuchać, gdy przewidywano niesfornych gości, wzywano co prędzej kuzynkę Urszulę z Hutzlisbühl. — A teraz te smarkate podniosły jawny bunt i ona musi to znosić! Ułomności starego wieku znała oddawna i pokonywała je po bohatersku, teraz wszakże odczuła po raz pierwszy niedolę starości.

Gdy wkońcu podreptała z powrotem na swoje miejsce, był to odwrót po przegranej rozstrzygającej bitwie. Czowała, że rządy jej skończone. A ponieważ nie mogła się z tym faktem pogodzić, przeto zapragnęła oddalić się, pojechać do domu,



im prędeż tem lepiej, do trzech kotów, do kawy z cykorją, do potulnej sieroty.

Konrad wystosował do niej dobrze obmyśloną naganę, nie za ostrą i nie za łagodną; chłodno, z umiarem mówił:

— Słuchaj, kuzynko, cały szacunek dla naszego kuzynostwa i cała należna wdzięczność za twoją bezinteresowną pomoc... ale, żebyś ty nam najlepsze, najbardziej wypróbowane kelnerki tak sobie, ni stąd ni zowąd, bez najmniejszego powodu zwymyślała, tego chyba moi rodzice od ciebie nie wymagają!

— Idźże! idź, no idź! — krzyczała, — idź, idź, obejmij je za szyję i obśliń je, te twoje drogie, kochane kelnerki. Idź! na co czekasz? Ja ci nie przeszkodzę. Ustępuję. Przecież i tak już oddawna jestem zbyteczna, od czasu jak pan porucznik, o ile się zdaje, rozkazuje tu w domu.

— Nie żądam bynajmniej, żebyś ustępowała, — oświadczył, — przeciwnie, jesteśmy ci wdzięczni, że nam swoim doświadczeniem przychodzisz w pomoc i umiemy ocenić to twoje poparcie. Nie widzę tylko potrzeby, żebyś ty dlatego miała obrażać nasze kelnerki.

Ale ona upierała się krnąbrnie przy powziętym zamiarze.

— Odjeżdżam przecież, odjeżdżam. Nie unos



zynka, gdy ciężkim krokiem słonia wtargnęła straszna, olbrzymia postać starego gospodarza, ale nie ze świetlicy, tylko zprzeciwka, z tarasu. Mierzając groźnym wzrokiem kelnerki, ryknął:

— Żreć, chlać, klócić się, romansować umieją. Ale żadna nie pomyśli o tem, żeby gości obsłużyć.

Jak spłoszone przez psa kury rozleciały się dziewczęta od stołu ku najbliższym drzwiom.

Ale stary zastąpił im drogę. Przyczem chciał dla silniejszego zaznaczenia swojej woli tupać z przyzwyczajenia nogami, ale dokonał tego tylko w połowie, albowiem noga bolała go przy mocniejszym stąpieniu.

— Tym razem usłużyć już sam, — rzekł, hamując ból, — skoro przyjąłem obstalunek. A pilnujcie się, żeby mi zawsze być na posterunku.

Rozeszły się, pokorne i nachmurzone, tymczasem za ich plecami przymaszerował na opuszczony stół smakowity placek.

Cathri zrazu zerwała się wraz z innemi, rozmyśliła się jednak, powróciła i bocianiem krokami przechadzała się po pokoju.

Stary napadł na nią.

— A wy, — mruknął, — uważacie widocznie, że kto ma takie wypieszczone paluszki i takie bogate łańcuszki, jest wielką damą.

Wskazała oknem.

— Dziewięć kelnerek na jednego wątłego, obdartego chłopka, to więcej niż dosyć.

A gdy rzucił jej straszliwe spojrzenie, roześmiała się i mignęła mu dłońmi przed oczyma.

— Panie Reber, chociaż jesteście straszylem, ja się was nie zleknię. Mam ja bowiem w domu ojca, wobec którego wy jesteście jak niewinne dziecko.

Popatrzył na nią przez chwilę, coraz bardziej udobruchany, mruczał różne niezrozumiałe wyrazy, chrząknął wkońcu laskawie i odszedł ciężkim krokiem na taras, niosąc między palcami butelkę wina i szklankę.

Konrad siedział jeszcze na miejscu. Z boku, w pewnem oddaleniu, usiadła Cathri w oknie i zaczęła bębnić palcami po gzymsie.

Przyłączyła się do nich Anna. Cicho, smutnym tonem, strofowała brata.

— Konradzie, — mówiła żałośnie, — ty niedobry, niedobry, niedobry człowieku, cóżeś ty znów narobił! I na domiar wszystkiego kuzynka siedzi u matki i buntuje ją i chce gwałtem jechać do domu. Mówi, żeś ją wypędził.

— Mówi nieprawdę, — zauważył Konrad.

— Kłamie, — potwierdziła Cathri.

— A ten biedny gołąbek, — ubolewała Anna, — którego matka kazała przyrzadzić specjalnie dla ciebie.

— Co za gołąbek? Dla mnie? Matka? Gdzie?  
Wskazała półmisek, stojący przed nim.

— Tak, teraz już za późno, teraz jest zimny.

— Miałem podczas obiadu inne zajęcie, nie mogłem zwracać uwagi na jedzenie, — odparł ze smutkiem. Poczem przysunął sobie gołąbka i, by się przypodobać matce, zaczął sumiennie zjadać, nie wiedząc nawet, jaki smak ma to, co połyka.

Tymczasem Anna i Cathri chodziły po pokoju, trzymając się po koleżeńsku za ręce, objawszy się wzajemnie w pół, jak dzieci, gdy się bawią, marszerując oficerskim krokiem. Ilekroć mijaly Konrada, zamieniały ukradkiem spojrzenie, szeptały i chichotały. Wkońcu przystały i zamieniły pocałunek.

— Chciałbyś także, nieprawda? — drażniła go Anna, oblizując filuternie usta. Poczem podeszła do niego, oparła mu się na ramieniu i szepnęła do ucha: — Czujesz? Boli? Nie szkodzi, dobrze ci tak. I ty także często sprawiasz innym ból... Ale, ma się rozumieć, ona nie do małżeństwa!

— Nikomu nie śni się o tem — odparł głośno.  
— Zresztą, gdyby nawet, dlaczego nie?

Zamknęła mu dłonią usta, przechyliła się przez drugie ramię i szepnęła mu w ucho: — Ona jest bez serca. — Poczem wybiegła.

We drzwiach odwróciła się i zawołała:

— Teraz powinnam być w kuchni, w piwnicy, ojcu pomóc, kuzynkę udobruchać, matkę uspokoić, a mam tylko dwie nogi, dwoje oczu i jedno usta. Gdyby kto chociaż powiedział matce dobre słowo!

Konrad i Cathri zostali tedy znów sami. Tym razem milczeli zmieszani, nie wiedząc, co ze sobą począć. Ale tylko przez krótką chwilę. Niebawem powrócił stary z pustą butelką i postawił ją na słupku między oknami. Poczem odwrócił się i popatrzył na syna.

— Zdaje mi się, żeś ty dzisiaj przyrósł do stołu. Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś pomógł wyprzątnąć salę do tańca, zamiast siedzieć przy jedzeniu jak przygwożdżony.

— Wyprzątnąć salę do tańca? Skądże mogę wiedzieć, że dzisiaj będą tańce, skoro nikt nie raczył mnie o tem zawiadomić?

— Może należałoby uprzednio prosić o pozwolenie wielmożnego pana porucznika? Ma się rozumieć, że będą dzisiaj tańce, jak co rok. A może masz co przeciw temu?

— Nie odważyłbym się nigdy.

Ojciec przysunął się bliżej. — Nie odważyłbyś się nigdy? Odważ się tylko, nikt cię nie połknie.

Cathri niepostrzeżenie wyszła z pokoju.

— Powiedźże, — nalegał stary, — powiedz tylko, jeżeli masz co rozsądnego do powiedzenia.

— Trzeba wiedzieć co się chce. Albo chce się mieć chłopską karczmę, albo oberżę.

Teraz ojciec zaczął o ton wyżej i silniej:

— Dotychczas dom zawsze tak był prowadzony i nie zamierzam przez wzgląd na ciebie prowadzić go inaczej. Później, gdy legnę już pod ziemią, a moja karczma chłopska nie będzie ci dosyć elegancka, poprowadzisz ją jak zechcesz. Tymczasem ja jeszcze jestem tutaj panem i gospodarzem.

Stary mniemał, że temi słowy sprawę załatwił. Ale Konrad, rzuciwszy przelotne spojrzenie na niebo, zauważył:

— Kto wogóle będzie chciał tańczyć przy takiej pięknej pogodzie!?

— To już załatwione. Nie robimy z siebie wprawdzie takich hec jak dzisiejsi młodzi zarozumialcy, ale jednak umiemy prowadzić własny interes. Wiedz-że, iż Waggińczycy przyrzekli być, i to na piśmie. I to jedni i drudzy, ci z górnego Waggingu i ci z dolnego.

Konrad podniósł głowę, robiąc wielkie oczy:

— Ci z górnego i ci z dolnego razem? Tego samego dnia? W tej samej sali tańca? W tydzień po wyborach? — spytał z zaniepokojeniem, suwając nożem po stole.

— Niema bynajmniej powodu robić takiej przemądrzałej miny, — zauważył gospodarz. — I my jesteśmy tacy mądrzy, i wiemy, że ci z górnego i z dolnego nie pasują do siebie, że jedni są konserwatywni, a drudzy liberalni. I że nikomu nie wpadło do głowy, zapraszać ich jednocześnie; mogłeś śmiało przypuszczać, że mam jeszcze tyle oleju w głowie, jakkolwiek nie jestem porucznikiem, tylko wachmistrzem. Najpierw zapytano naturalnie Waggińczyków z górnego, odmówili; potem zgłosili się Waggińczycy dolni, a wczoraj znów górni. Tak się to stało.

Konrad nic nie odpowiedział, tylko, z utkwionym w suficie wzrokiem, bawił się nożem.

— Zdaje się, że to trudne zadanie dla twego rozumu, nie możesz widać tego pojąć, skoro nie wiesz, co na to powiedzieć.

— O nie, — odparł Konrad, — pojmuję aż nadto dobrze: będzie bijatyka na zabój.

— Łbów sobie nie poodgryzają!

— Bitwa to bitwa, wszystko jedno, czy szablami i bagnetami, czy też pałkami i pięściami. Czem jednak bitwa się skończy, tego nikt przepowiedzieć nie może. Bo nienawiść się nie zastanawia, a broń nie ma sumienia... Zresztą, pominąwszy już to, czy bijatyka chłopska w sali tańca będzie po myśli twoich gości, zwłaszcza



gości z miasta, z kobietami i dziećmi, pozwolę sobie bardzo wątpić.

— Przecież i ja jeszcze tu istnieję, — zawołał stary niecierpliwie. — Jeżeli umiałem dotychczas utrzymywać porządek, to potrafię jeszcze chyba i dzisiaj. A może masz mnie już za zupełnego inwalidę? Tymczasem nie jestem jeszcze, Bogu dzięki, kaleką i będę umiał bronić swojej powagi, zarówno wewnątrz, jak i nazewnątrz.

— Dopóki czego nie oberwiesz.

— Dałem sobie radę już z większymi siłaczami, niż oni.

— Przypuśćmy. Ale oni są gorsi, niż siłacze, mianowicie tchórze, to znaczy podstępni.

Teraz stary stracił cierpliwość.

— Czy ja stoję właściwie przed prokuratorem, — pieniał się, — że mnie przesłuchujesz, jak oskarżonego? Słowem, postanowiłem, że tańce mają być i dlatego ludzie będą tańczyli, bez względu na to, czy zezwolisz, czy nie. To jest proste. A może jeszcze nie zrozumiałeś?

— Zrozumiałem najzupełniej.

— No, to milcz i stul pysk!

— Nie masz potrzeby odzywać się do mnie w taki brutalny sposób, skoro sam żądałeś, żebym mówił.

— Będę prawdopodobnie musiał zaopatrzyć

się w książkę z komplementami, żeby móc rozmawiać z panem porucznikiem. Skończyłeś nareszcie, czy może chcesz jeszcze zwrócić mi na co uwagę?

Teraz i w nim zawrzał gniew.

— Owszem, — odparł, — skoro już o tem mówimy. Tak, chciałbym jeszcze zwrócić ci na coś uwagę. Chcę ci mianowicie powiedzieć, że byłoby mi przyjemniej, gdybyś przy obcych grzeczniej ze mną mówił. Na to chciałem ci zwrócić uwagę.

— Przy obcych? Czy to może moja wina, że człowiek ma szczęście oglądania twego błogosławionego oblicza zawsze tylko tam, gdzie jest w pobliżu jakikolwiek fartuch?

— Ojcze, — wybuchnął groźnym głosem: — Ojcze! strzeż się! Lżyć się nie pozwolę!

— Lżyć? Czy to nie szczerą prawdą? Czy nie zastałem cię przed chwilą sam na sam z Berneńką w pokoju?

— Głodnemu chleb na myśli — wymknęło się Konradowi półgłosem.

— Co to było? co to znaczy? Powiedz głośno, jeżeli się odważysz! Nie odważysz się, co?

— Owszem, odważę się. „Sam na sam w pokoju,” to jeszcze zależy, jak i kiedy, gdzie i z kim.  
— To mówiąc, patrzył ojcu w oczy znaczącym spojrzeniem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — wyjąkał stary zdławionym głosem, a twarz jego sponsowała.

— Chcę przez to powiedzieć, — odparł młody, — że ze *mną* każda młoda dziewczyna może bez obawy przebywać sam na sam w pokoju.

Teraz stary gospodarz podszedł ciężkim krokiem, że aż zachwiała się podłoga, do stołu, który ich dzielił.

— Ale z kim nie może? — nalegał. — Mów wyraźniej.

— Mówiąc wyraźniej: możebyś ty wolał zostać sam na sam z Cathri w pokoju.

Ojciec zaczerpnął głęboko tchu, poczem wybuchnął grzmiącym głosem, tocząc groźnie oczami:

— Jest w Thun uliczka... rozumiesz... z oknami na Aare... rozumiesz? a w tej uliczce stoi domek... rozumiesz? a do tego domku prowadzą trzy stopnie... Wiesz? czy może mam ci określić dokładniej?

Konrad zerwał się z krzesła:

— A w Bernie jest mostek, rozumiesz? a za mostkiem wysepka, rozumiesz? A na tej wysepce przy jednym oknie, wyrżnięta jest nożem data, a obok daty nazwisko pewnego wachmistrza dragonów, rozumiesz? A nazwisko to zaczyna się od R i kończy się na r. Czy to wystarcza? A może chcesz więcej szczegółów?

Rzucili sobie to wzajemnie w twarz, pochyleni nad stołem, drżąc z wściekłości. Ziejące nienawiścią spojrzenia dopełniały wrogiej mowy. Ale, gdy w korytarzu rozległo się głośne klaskanie i przytłumione kobiece okrzyki uznania dla zwycięstwa Konrada, stary w złowrogiem milczeniu, nie kończąc rozmowy nową groźbą, skrzył niepostrzeżenie do świetlicy.

Konrad zaś, oprzytomniał niezwłocznie i zdjął go lęk. Co on zrobił! On, który, jak sięgnął pamięcią, nie śmiał nigdy przeczyć ojcu, a tem bardziej stawiać oporu jego woli, teraz mu się sprzeciwił. Stał z nim oko w oko, jak mężczyzna przeciw mężczyźnie i wróg przeciw wrogowi i z odrazą, która mu się w duszy nagromadziła, zdradził się przed nim takim tonem i wzrokiem, jakiego się nigdy nie przebacza. Nie uczynił tego z powziętym z góry zamiarem, tylko mu się tak wymknęło w gniewnem oburzeniu.

Ale stało się. I z niepokojem w duszy widział toczącą się straszliwą falę niedoli, wobec której stan dotychczasowy, taki dlań okropny, wydawał się niby piękne dawne czasy, tak, że nie śmiał wcale wskrzeszać ich w wyobraźni. W tej ciężkiej opresji przerzucił się rozpaczliwie myślą w przyszłość. Ujrzał ojca, powalonego na łożo śmiertelne atakiem apoplektycznym, z piersi jego wydoby-

wało się głuche rzeźenie, a on stał poruszony do głębi, pełen smutku i przebaczenia. A ta zjawia nie budziła już w nim odrazy, przeciwnie, gorąco pragnął jej urzeczywistnienia, nie przez nienawiść, lecz w beznadziejnej nadziei serca, jak pragnie się nadejścia opiekuńczego ducha pocieszyciela w obronie przeciw męce gorszej

\*

\*

\*

— Czy nie lepiej wyjść trochę na powietrze, panie Reber, niż siedzieć w dusznym pokoju? — upominała Cathri, ukazując się w progu.

— Owszem, mogę, — odparł z roztargnieniem i szedł za nią. W drodze wszakże zmienił zamiar. — Idźcie naprzód, — zawołał, — przyjdę później, — i zawrócił, idąc w przeciwnym kierunku, na wyższe piętro do sypialni matki. Pomny przestrogi siostry zamierzał uprosić ją, żeby się uspokoiła.

Do sieni wychodził właśnie przypadkiem ojciec ze świetlicy. Odskoczyli od siebie, jak dwa niedźwiedzie, które niespodzianie spotkają się w klatce. Ojciec wpadł napowrót do pokoju, syn poszedł dalej na schody.

W sypialni matki panował zupełny mrok, bo okna były przysłonięte ciemnymi firankami.

— Patrzcie, oto jest, we własnej osobie, — po-

wital go śród mroku zręczący głos kuzynki. A słowom tym towarzyszył przykry, szyderyczy śmiech.

Idąc poomacku, z wyciągniętymi przed siebie rękami w stronę łóżka, potknął się i padł na krzesło, które stało na drodze. Padając zaś, uderzył się dotkliwie o poręcz łóżka, i coś glinianego rozbilo się na ziemi z głośnym, przeciągłym hałasem.

— Zawsze coś zbroi i narobi jakiejś biedy, ten nieudany syn — jęknął głos matki.

Konrad odwrócił się porywczo i wyszedł z pokoju, a schodząc ze schodów mówił do siebie, zgrzytając zębami:

„Na to nie zasłużyłem! „Nieudany,” człowiek nie jest „nieudany”, jeżeli pracuje pilnie i jest uczciwy! Może mieć swoje błędy, jak każdy inny.” A słówko „nieudany” bolało go, jakby mu kto gwóźdź wbił w ciało. „Kto ma medal ratunkowy, schowany w szufladzie, kto przez swego pulkownika stawiany był przed frontem jako wzór oficera, ten nie jest nieudany. „Nieudani” siedzą w knajpie, albo, stosownie do okoliczności, w więzieniu.”

Zszedłszy ze schodów, zatrzymał się za krzakiem granatu i spojrział przez okno. Na tarasie służba uprzątała salę do tańca; obok, Cathri z miną obojętną, jakby mówiącą „wszystko mi

jedno", siedziała na stole, w cieniu oleandra i bujała nogami. Ale myśli Konrada nie szły za jego oczami; zaprzątnięte były gniewem, tak, że coraz zaciskał pięść. „Kto jest porucznikiem artylerji, tego nie można jeszcze nazwać nieudanym”, szemrał posępnie. A po chwili: „Kto wie, niejedna matka byłaby szczęśliwa, żeby jej syn był tem, czem ja i taki jak ja.” Zamyśliwszy się nad tem, zatrzymał się przy oknie, nie dlatego, że tu chciał zostać, lecz dlatego, że przecież gdzieś być musiał, tak dobrze tu, jak gdzieindziej.

Tymczasem kuzynka w kapeluszu i szalu zesła wielkimi krokami ze schodów, niosąc w ręku torbę skórzaną.

— A więc jadę, — zaskrzeczała, spostrzegłszy go. — Jesteś zadowolony?

Zapanował nad sobą.

— Nie, nie jestem zadowolony. Przeciwnie, ucieszyłbym się, gdybyś została. Nie chciałem ci sprawić przykrości.

— Ech, koszalki opałki — warknęła. — Nie udawaj, dziś nie zapusty. Przecież widziałeś już tylko tę swoją lafiryndę.

— Lafiryndę? Co to znaczy?

— Ja nie umiem wyrażać się tak delikatnie jak pan porucznik; zresztą dla takiej błaźnicy i to określenie będzie dosyć przyzwoite.

— Kogoż to nazywasz blaźnicą?

— No a kogóżby? Tę, poza którą już nic dla ciebie nie istnieje na świecie, w którą się wpatrujesz nieustannie, słowem, wyniosłą, wystrojoną Bernenkę. Widzisz, jak promieniejesz, jak się uśmiechasz, skoro tylko o niej wspomnieć. Nie wytrzeszczaj na mnie oczu, jakgdybyś mnie chciał połknąć jak wilk Czerwony Kapturek. Tylko spokojnie, idę przecież, lecę, skaczę, boję się. Bez obrazy, przepraszam, że ośmieliłam się wypowiedzieć jej dostojne imię memi staremi, bezzębnymi ustami. Bywaj zdrów. Będziesz daleko swobodniej umizgał się do niej, jak mnie tu nie stanie. Nie bądźże taki okrutny, nie każ jej tak długo na siebie czekać. Przecież ona tam dygoce z niecierpliwości. A więc bywaj mi zdrów! bywaj zdrów! bez obrazy. Spodziewam się, że tym razem nie zdarzy się tu żadne nieszczęście, pomimo wizyty Wiedźmy. Chociaż, co prawda, zasłużyłbyś na nie. A więc bywajże zdrów, widzisz mnie prawdopodobnie ostatni raz w życiu.

Nie zatrzymywał jej.

Ale po kilku krokach odwróciła się.

— Właściwie przywiozłam ci gościniec, leży u matki, niech ci da jutro, jak będziesz grzeczniejszy... Zresztą możesz mi dokuczać ile chcesz, ja jednak pozostanę zawsze twoją starą, brzydką



kuzynką, Wiedźmą, która cię przed laty huśtała na kolanach, pamiętasz? Bywaj zdrów, Konradzie. Mimo wszystko, bywaj zdrów!

I podreptała dalej.

On zaś udał się do Cathri na taras.

\* \* \*

— A więc i wy macie również złego ojca?

— Wasz ojciec jest z drzewa, mój z kamienia.

— Nie pojmuję tylko, — zauważył, — jak ktoś może odczuwać potrzebę zatruwania życia bliźniemu.

Wzruszył ramionami.

— Kto wie, jak my będziemy kiedyś postępowali, gdy się zestarzejemy. Wy na przykład nie należycie również do najłagodniejszych.

— Jakto? sądzicie więc, że to ma związek z wiekiem?

— Głupie pytanie. Z wiekiem, czy z ułomnością, wychodzi na jedno. Albo może myślicie, że wasz ojciec był taki przez całe życie? że nigdy nie wtykał kwiatka w kapelusz i nie folgował wesołości? Wiecie, ja to sobie tak w głowie ułożyłam, że starzy to chyba mają robaka na wątrobie, który ją toczy i toczy, a żółć się ulewa i ulewa, i nie mogą już nikomu dać dobrego słowa, choćby nawet chętnie chcieli.

Konrad zadumał się.

— Szczególne, nigdy mi to nie wpadło do głowy. Wogóle wydaje mi się, że gdybyście stale byli przy mnie, zniósłbym lżej niejedno. — A ponieważ zarumieniła się zlekka na te słowa, sprostował skwapliwie: — Wybaczcie, nie to miałem na myśli. — Tymczasem zaczerwienił się silniej, niż ona.

— A ja też wcale tak tego nie zrozumiałam, — uspokoiła.

Poczem urwała się rozmowa.

Nadeszła Anna.

— Benedykt chce klucze od stajni, — rzekła obojętnie, wyciągając rękę. Wzięła klucze, i rzuciła mimochodem uwagę: — Lepiej byłoby, gdybyście nie stali tu tak długo razem. Mogłoby zwrócić uwagę.

— A gdyby? — odparł Konrad. — To jest, o ile to Cathri nie sprawia przykrości.

— Mnie? — roześmiała się pogardliwie. — O ile nie robię nic złego, nie obchodzi mnie nawet tyle, co brudu za paznokciem, co ludzie o tem plotą.

— Ach, tak? — rzekła Anna uszczypliwie, — jużście się tak dalece porozumieli? W takim razie, oczywiście, nie poważę się wtrącać.

I oddaliła się urażona, jakgdyby stała jej się jaka krzywda.

Konrad próbował nawiązać znów rozmowę.

— Spodziewam się, że nie wzięliście sobie do serca impertynencyj kuzynki? — zaczął na chybił trafił.

Cathri roześmiała się.

— Jeszcze czego! Takie bzdurstwa spływają po mnie, jak woda. Miły Boże, nałykałam ja się już innych rzeczy, od ojca. Wogóle, ból sprawiają tylko swoi. Cała łyżka trucizny od obcych pali mniej niż jedna kropla w domu, u swoich. Dlatego też zabrałam się i poszłam w świat. I teraz mi dobrze, choć ludzie nie same róże sypią pod nogi, gdy trzeba zarabiać franczek po franczku, a u siebie we wsi nazywało się bogatą Cathri i było się pierwszą i córką prezydenta.

Powiedziała to raczej dla siebie, ale Konrad odczuł jej słowa i milczał w skupieniu, gdy skończyła. Wzamian i ona okazała mu nieco współczucia i po raz pierwszy głos jej nie brzmiał lodowatym tonem, lecz niemal życzliwie, gdy teraz zwróciła się do niego:

— Powinniście wyrwać się stąd, panie Reber, — radziła łaskawie. — Choćby na dzień, choćby na pół dnia. Takie ciągle sterczenie w domu nie jest naturalne u młodego mężczyzny, to was rozdrażnia i dlatego unosicie się i jesteście

brutalni. Kapelusz na głowę, laska w rękę i dalej, na świeże powietrze wiosenne.

Konrad chciwym wzrokiem patrzył w dal.

— Naprzykład z oficerami na Hochburg? pociągiem o drugiej dwadzieścia? — wyrwało mu się z głębokiem westchnieniem. To mówiąc, wyjął zegarek i przez długą chwilę patrzył w zadumie na jego tarczę.

— Tak, albo poprostu na godzinkę do najbliższej, pierwszej lepszej wsi. Byleście tylko ujrzeni nowe twarze i doznali świeżych wrażeń.

I znów powiódł tęsknym wzrokiem dokoła, poczem spuścił głowę i schował zegarek.

— Nie mogę, niewolno mi, — szepnął przygnębiony, — dziś mniej niż kiedykolwiek.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył z rozdrażnieniem. — Cóżście odrazu taką niepojętną? Dlaczego? Dlatego, że dzisiaj niedziela, że po południu dom będzie pełen gości, że wieczorem będą tańce, słowem dlatego, że nie mogę. Albo może myślicie, żeśmy nadarmo zamówili pół tuzina więcej kelnerów?

— Tak, ale czy to lepiej, że siedzicie w domu i kłóćcie się z ojcem i z matką i z kuzynką, i czy ja wiem jeszcze z kim? Dzisiaj jakoś niesamowicie „Pod pawiem” w Herrlisdorfie. Djabeł

siedzi na dachu. Wierzajcie mi, panie Reber, ja się znam na podobnych znakach, śledziłam je od dziecka.

— Czyżbyście byli zabobonni? — drwił.

Nie zbiło jej z tropu to pytanie.

— Tego nie wiem, — odparła stanowczo. — Zresztą każdy, kto raz w życiu zbliża zajął śmierci w oczy, albo na kogo padł ponury cień nieszczęścia, jest mniej lub więcej zabobonny. A co myślicie, jak się widziało, że własny brat rano wychodzi zdrów i wesół do lasu i krzyczy: „Cathri, taki szczęśliwy jak dzisiaj jeszcze nigdy w życiu nie byłem, zdaje mi się, żem w niebie”, a ojciec woła za nim: „Żebyś mi przed jedenastą był w domu, ty ścierwo, albo nie wracaj wcale”, — a o południu przynoszą tego brata martwego, — to, co myślicie, można wtedy stać się zabobonnym, czy nie? Powrócił oczywiście, przed jedenastą do domu, akurat cztery minuty przed jedenastą, ale nieżywy, jako trup. Ale, mniejsza o to, czy jestem zabobonna, czy nie, możecie sobie to tłumaczyć jak chcecie, niesamowicie jest dzisiaj „Pod Pawiem,” grozi burza, wojna wisi w powietrzu.

— O, jeśli o to chodzi, — odparł z goryczą, — u nas zawsze wisi wojna w powietrzu.

— Zapewne, — odrzekła, — ale to nietylko to. Jakby ktoś zaklął, jakby ktoś rzucił urok. Każde

z was mówi co innego, niżby chciało; żadne z was nie chce krzywdy drugiego, a wsadzacie sobie wzajemnie szpilki w serce. To przecież chyba dowodzi, że djabeł albo inne lichy siedzi na dachu.

Zrazu przewinał się uśmiech dokoła jego ust, poczem spowaźniał i ciężar przytłoczył mu duszę. Przez długą chwilę patrzył w zadumie na nogi, końcem buta rozgrzebując żwir.

— Cóż tedy począć? — spytał stłumionym głosem, nie podnosząc głowy.

— Wynieść się! — odparła. — Zejść djabłu z oczu.

Nagle spojrział na nią.

— Poszlibyście ze mną? — spytał.

— Panie Reber, teraz gadacie głupstwa, — zawołała gniewnie i odeszła nadąsana.

\* \* \*

Kilkakrotnie podczas tej rozmowy musiał Konrad usuwać się z drogi służbie, która wносиła stoły z sali tańców, żartując swywołnie, nie zwracając na niego uwagi. „Miejsce dla siedmiu, przychodzi jeden,” rozkazywali śmiejąc się i każdy, bez różnicy, musiał ustępować. Zrazu było mu to obojętne, albowiem rozmowa pochłaniała jego uwagę, ale teraz zaczęło go drażnić. Gdy zaś

jeszcze spostrzegł portjera, który obrzucał Brygidę żwirem, wziął się na niego.

— Portjerze, — rozkazał ostro, — zanieście to krzesło tu do jadalni. — A ponieważ portjer ani go usłuchał, ani mu nie odpowiedział, przeto Konrad wzmocnił ton: — Zrozumieliście mnie czy nie?

— Niema z tem krzesłem znów takiego gwałtu, — pyskował portjer, zbierając z ziemi nową garść żwiru.

Na te słowa Konrad wpadł na niego, jak wichur.

— Jak ja co rozkazuję, to zawsze jest gwałt, — oświadczył, okrutnymi palcami schwycił mu ucho jak w obcęgi i pociągnął go nielitościwie do krzesła, że aż potoczyła się na ziemię butna czapka. — Nauczę ja cię gwałtu! może myślisz, że nie potrafię, co?

Teraz portjer usłuchał, krzywiąc się. Wszelako, dotarwszy do drzwi od sieni, cisnął krzesło, zaczął skrzeczeć i, z wyrazem groźnej nienawiści na wykrzywionej twarzy obejrzał się za gospodarzem, zanim znikł.

— Brawo! — zawołała Cathri z zadowoleniem, klaszcząc w dłonie, — zupełnie, jak nasz Hans.

Kelnerki zaś patrzyły na Konrada nieśmiało, jak gdyby go widziały po raz pierwszy. Przez chwilę stały, jak zakłęte, poczem rozpierzchły się,

ale wnet powróciły jedna za drugą i, ciekawe, zaczęły się krzątać obłudnie, przyczem to spoglądały z lękiem na drzwi, to znów ukradkiem podnosiły wzrok na Konrada. Ilekroć która musiała przechodzić koło niego, omijała go wielkim łukiem.

— Ale teraz, panie Reber, zaciśnijcie mocno zęby, — ostrzegła Cathri wesolo, — możecie się przygotować na wielką awanturę.

Zrazu wydawało się, jakby przepowiednia nie miała się spełnić, tak, że kelnerki pomалу nabrały odwagi i, otrząsnąwszy się z przestachu, obróciły całe zajście w śmieszność.

— Należało mu się, na drugi raz będzie wiedział co to gwałt.

Józefina podniosła czapkę z ziemi, otrzepała ją z kurzu, wsadziła na głowę, na znak zwycięstwa, i paradowała w niej po pokoju.

Wtem otworzyło się okno świetlicy i ukazała się w niem głowa ojca, skierowana w stronę Konrada.

— Zdaje się, że chcesz dostać różgą, jak małe dziecko, — krzyknął.

Konrad okręcił się na obcasach.

— Niechby się znalazł na świecie człowiek, któryby spróbował! — wrzasnął głosem, rozlegającym się poprzez dachy.

A oto poruszyły się firanki w sypialni matki, co podziałało na niego, jak cud, tak, że opanował



się błyskawicznie. Ojciec ze swojej strony, nie-  
doczekawszy się wyzwania, którego się spodzie-  
wał, wkońcu wsunął powoli głowę do pokoju.  
Okno zamknęło się z hałasem, poczem wszystko  
dokoła umilkło.

Cathri zaś zabrała się ponownie do Konrada.

— Serjo, panie Reber, — nalegała, — powta-  
rzam po raz trzeci: uciekajcie!

— Teraz już nie, — zgrzytnął. — Teraz do-  
piero zostanę. Uciekać? Nie, nie mam w zwyczaju  
uciekać.

Helena, przechodząc, szepnęła mu pokryjomu:

— Panie Reber, stangret zapytuje was, czy  
wiecie, że ma zaprzęgać Lissi dla pana radcy  
Lauterbacha? Tylko prosi, żebyście na miłość  
boską nie zdradzili go, że wam dał znać.

— Co? Lissi? — wybuchnął. — Zdaje mi się,  
że mówicie w gorączce. Nikt dotychczas nie od-  
ważył się rozporządzać Lissi bez mego wyraźnego  
zezwoleńia.

— To przekonajcie się sami, — odparła przy-  
ciszonym głosem. — Stoi przed domem, potrząsa  
łbem i grzebie ziemię nogami.

— Chciałbym jednak sprawdzić to na własne  
oczy, zanim uwierzę, — zawołał i oddalił się  
śpiesznie, hardy i stanowczy.

\* \* \*

Jakoż klaczka jego stała istotnie między dyszlami przed jednokonką, wesola i dobrej myśli, grzebiąc nogami, żując munsztuk, że aż bryzgała piana, i wytrzeszczała na niego ślepie, niewierna, jakgdyby wszystko było w porządku.

— Benedyckcie, — spytał surowo Konrad, — kto wam kazał zaprzęgać Lissi?

— Wasz ojciec, starszy pan sam.

— Dobrze. To wyprzęgnijcie klaczkę i osiodlajcie ją. Przejadę się.

— Wasz ojciec jest moim panem i wy także jesteście moim panem, a moja rzecz słuchać. Rozkażą mi zaprzęgać, to zaprzęgam, każą mi znów wypręgać, to wypręgam. Ale odpowiedzialności na siebie nie biorę, powołam się na was.

— Oczywiście. A więc idę przypiąć ostrogi i włożyć spodnie. A wy postarajcie się, żeby koń był osiodłany jak wróćę.

— Zaraz się zrobi... o ile, rozumie się, nie znajdzie jaka przeszkoda.

Konrad bystro spojrział mu w oczy.

— Jak ja coś każę, — rzekł z naciskiem, — to niema żadnej przeszkody. Lissi jest moja. Kupiłem ją za własne długoletnie oszczędności; dlatego rozporządzam nią ja i nikt inny.

Poczem popieścił konia, z przyzwyczajenia przyciskając mu nos i wszedł do domu.

W sieni ojciec zatarasował mu drogę swoją otyłą postacią, która z obu stron prawie dotykała ściany.

— Wybacz, ojcze, — odezwał się Konrad grzecznie ale stanowczo, — przepuść mnie, proszę, — i przecisnął się mimo niego ostrożnie.

— Dokąd? — wrzasnął stary, gdy Konrad przeszedł.

— Jadę konno!

— Nie pojedziesz! — huknął za nim.

— Pojadę.

I wbiegł po schodach do swojej izby na facjatce, zaryglował drzwi i przebrał się, bynajmniej się nie śpiesząc: Obcisłe spodnie skórzane, buty palone z ostrogami, kurtka aksamitna i granatowy krawat, który związał kunsztownie na luźną kokardę. Poczem przyjrzał się sobie w lustrze, czy wszystko jest jak trzeba, czy mu niczego nie brak, podkręcił zuchwale wąsika i z głośną pieśnią na ustach przekroczył próg. Albowiem elegancki szykowny strój do konnej jazdy przywrócił mu chęć do życia i wesołość.

Przede drzwiami facjatki spotkał siostrę, która z przymileniem prosiła i błagała.

— Konradzie, nie doprowadzaj do ostateczności. Zrób to dla mnie. Co ci za różnica, czy pojedziesz dzisiaj, czy innym razem?

— Dziwię się, przeciwnie, — odparł, unosząc się, — że od kogo innego a nie od ciebie dowiaduję się, gdy mi podstępnie zabierają Lissi. A może ty teraz już także trzymasz z ojcem? — Mówiąc to, szybko a ostrożnie, odsuwał ją na bok.

— A pan radca, który czeka na Lissi i któremu ją przyrzeczono! — wtrąciła z wyrzutem.

— Przyrzeczono? Zależy kto przyrzekł. Ja nie. Zresztą srokacz i gniadosz doskonale ją zastąpią. Nie potrzeba przez złośliwość jedynie, żeby mnie przykrość sprawić, wybierać właśnie Lissi.

— Gdyby cię Cathri o to prosiła, ustąpiłbyś niezwłocznie, co? — odparła urażona.

— A rękawiczki! — wołała za nim. — Nie pojedziesz chyba bez rękawiczek!

Na średnim piętrze drżała matka pode drzwiami sypialni.

— Chcesz mnie zupełnie wpędzić do grobu? — szepnęła.

— O nie, — odparł zimno, przechodząc mimo — tylko chcę sam użyć trochę życia, skoro już raz jestem na świecie, i to nie z własnej winy. To jest, o ile wogóle nazwać można jeszcze życiem, gdy człowiek ma każdą radość zatrutą, każdą zabawę zepsutą, gdy mu za zbrodnię poczytują każdy

wybuch śmiechu, każdy swobodny ruch, każde niewinne słowo.

W drodze do budki telefonicznej, gdzie wisiała jego szpicruta, usłyszał jak ojciec wrzeszczał w świetlicy.

— Ja go zatłukę. Ja go zabiję, jak wściekłego psa.

— To prokurator będzie miał zajęcie, — zawołał Konrad.

Jakkolwiek wiedział, że ojciec tych słów usłyszeć nie może, niemniej głośne wypowiedzenie ich sprawiło mu satysfakcję.

Gdy po wzięciu do rąk szpicruty wyszedł dzwoniąc ostrogami na plac i zmierzał ku Lissi, która, trzymana przez stangreta, stała gotowa pod siodłem i w munsztuku, odezwały się za nim chwiejne, wlokące się kroki, cień padł przed nim, usłyszał ciężki rżący oddech, a spojrzawszy szybko w bok, poznał ojca, uzbrojonego w kańczug; trzymał go wszakże odwrotnie, rękojeścią w górę, pięść zacisnąwszy w połowie kija.

Konrad z umyślną drobiazgowością, zaczął oglądać cugle i strzemiona, badał munsztuk, wsunął dłoń pod pas od siodła, przyczem jednak obserwował każdy ruch ojca.

— Rzemień od siodła spiąć o numer ciaśniej, Benedykcie; wisi zupełnie.

Stangret spełniał rozkaz, a Konrad tymczasem mówił łagodnie do Lissi, która bacznie strzygła uszami i jedno po drugim złożyła w tył.

Na placu zebrało się kilkoro ludzi, którzy gapili się na śliczną, wytwornie osiodlaną klaczkę. Z domu wszakże dochodziło stłumione błaganie zawodzących głosów żeńskich.

— Ojcie, nie grzesz! Pomyśl o Bogu i o Zbawicielu!

— Konradzie, jak możesz brać taką odpowiedzialność na siebie wobec nas i swego sumienia!

Bezradne postacie, oszalałe z trwogi, wymachując rękami, przesuwały się tam i z powrotem, nieśmiało usiłując wsunąć się między ojca a syna. Lissi, zaniepokojona tem jednak, zaczęła podrygiwać i zdawało się, że lada chwila stanie dęba i poniesie.

— Precz od konia, do djabła, przeklęte baby!  
— wrzasnął stangret, z trudnością mogąc utrzymać klaczkę.

W chwili, gdy Konrad sposobił się do odebrania cugli stangretowi, stary, rozstawiwszy nogi, oparł się na nich mocno, i z rozmachem podniósł rękę z kańczugiem. Odezwały się stłumione okrzyki przerażenia, klaczka wylękała się i skoczyła nagle w bok półkolem; stangret sparł się na nogach i rzucił całą litanję przekleństw, a Kon-

rad wpił w pałające wściekłością oczy ojca zło-  
wrogie spojrzenie.

Naraz wysunęła się Cathri, i położyła dłoń na  
ramieniu oberżysty z „Pod pawia.”

— Panie Reber, — rzekła głośno z naciskiem,  
tonem spokojnym, — ten koń nie znosi bata.  
I tak jest dosyć ognisty. Dajcie lepiej mnie ten  
bat.

I wzięła mu go łagodnie z ręki, z taką pe-  
wnością siebie, jakgdyby się to samo przez się ro-  
zumiało.

Stary zaś był zupełnie oszołomiony, że tak  
się stało, zanim zdołał zorjentować się, czy ma  
pozwolić czy zabronić.

Tymczasem Konrad zwinnie i lekko wskoczył  
na siodło i ruszył z miejsca, składając Cathri woj-  
skowy ukłon z ujmującym uśmiechem.

Dobiegł go jednak z tyłu oburzony okrzyk  
siostry:

— Wygląda już zupełnie tak, jakgdyby „Pod  
pawiem” rządziła Cathri.

---

**S**kierował konia ku wsi, dążąc bez określonego planu drogą wzdłuż miedzy, przez aleję wiśniową do toru kolejowego, gdzie zastał przejazd zamknięty.

— Możecie jeszcze spokojnie przejechać, panie Reber, — mruknął uprzejmie dróżnik i podniósł barjerę. Po przeciwległej stronie toru wszakże Konrad wyprzedził go i przesadził barjerę sprawnie, zniewalając konia do skoku.

Poczem podążył dalej, między stacją a oberżą stacyjną. Z prawej strony zawiadowca stacji przesłał mu wesołe powitanie, na które odpowiedział w tym samym stylu: „Szczęśliwej podróży, panie dowódco baterji!” „Wesołej zabawy, panie dyrektorze ruchu!”

Naprzeciwno, po stronie lewej przed „Półkwatkiem“ stała oberżystka z chłopięciem na ręku, które szeroko otwartymi oczami wpatrywało się z podziwem w Konrada.

— Widziałeś? — zaśmiała się do dziecka, którem potrzasała, jak workiem otręb, chcąc



rozbudzić w niem władze umysłowe. — Widziałeś, jak pan gospodarz z „Pod pawia” przeskoczył na koniku przez barjerę?

— La! la! — bełkotał dzieciak, podrygując, poczem zaczął wrzeszczeć, bo oberżystka z rozkoszy ukąsiła go w policzek.

Za płotem ogrodowym stała, próżnując, tak zwana siostrzenica oberżystki, Jucunda, z rozczochraną, powikłaną jak las dziewiczy czupryną. Wytrzeszczała oczy, niby koła młyńskie i, nieruchoma, gryzła paznokcie. Przywdziała dzisiaj czerwoną, płomienistą suknię, bufiastą, jak szlafrok, ale naturalnie, jak zawsze, bez stanika i paska. Brakło tylko bosych nóg, a wyglądałaby, jak wyrobница.

Konrad unikał umyślnie powitania tej czy tamtej, minął je, nie patrząc w ich stronę i popędził dalej. Nareszcie, dotarłszy do gościńca, gdzie się kończyła jego droga, przeszedł w klusa, dążąc w kierunku uzdrowiska. Niebawem jednak ściągnął cugle. Albowiem myśli jego pozostały w domu i dogoniły go teraz i jakby ciągnęły przymocą z powrotem. Bo i poco dalej klusować? Nigdzie dojechać nie pragnął; a skoro dowiódł, że on jeden ma prawo rozporządzać klaczą, osiągnął swój cel. Nęciło go wszakże niebezpieczeństwo, jakie nań czyhało w domu. Czuł, że pra-

wdziwy mężczyzna nie odsuwa trudności w przyszłość i nie unika walki, lecz ją podejmuje. Zawrócił tedy, a dążąc śpiesznie z powrotem odbył co tylko drogą, w ciągu kilku minut dotarł znów do przejazdu kolejowego.

Tym razem zajechał włąśnie pociąg, drugi zaś, ciągnący się, jak okiem sięgnąć, stał od strony doliny, przed słupem sygnałowym, czekając na znak wjazdu. Konrad zaopatrzył się tedy w pożyteczny zapas cierpliwości, popuścił cugli i czekał przed zaporą, przyczem Lissi weszła ciekawie, wyciągając łeb do okna wagonowego, jakgdyby chciała powiedzieć: „Czy może mi kto z was pożyczyć chustki do nosa?” Był to wagon drugiej klasy. Z okna wyglądały twarze znudzone, milczące i złe, jakgdyby za chwilę miały ochotę szczełnąć. Zupełnie bezstronnie mówiąc, Lissi miała stanowczo bardziej ludzkie oblicze. Obok, z trzeciej klasy, dobiegał hałas, tupot nóg, śpiewy i muzyka instrumentów dętych. W oknach wysuwały się i cofały głowy gwałtownymi, zbędnymi ruchami; oszołomione gromady biegały po schodach tam i z powrotem, przyczem zdarzały się starcia. Stopniowo wszakże wszystkie spojrzenia utkwily w Konradzie, samotnie stojącym jeźdźcu, aby podziwiać znaną od dziesięciu tysięcy lat nowinę, że istota dwunożna siedzi na czworonogu.

Ponieważ jednak Konrad nie był usposobiony do służeńiu próżniackiej bandzie podróżniczej za przedmiot podziwu, niby cud jarmarczny, przeto odwrócił konia tyłem do pociągu.

— Konradzie, — zawołał znajomy głos z ostatniego wagonu, — czy będziesz dzisiaj w domu wieczorem około szóstej?

Byłto Leutolf, porucznik straży ogniowej z Waldishofu. Jego srebrzysty hełm z purpurową kitą jaśniał zdaleka; obok niego ukazały się hełmy mosiężne w znacznej liczbie.

— Dlaczego? — odparł Konrad.

— Robimy wycieczkę do Rubisthalu na przegląd sikawek i zamierzamy w drodze powrotnej wstąpić „Pod pawia.”

— Będę — odpowiedział po chwili wahania, ponieważ nie miał rozsądnego powodu, by powiedzieć: nie. Nadto lubił bardzo Waldishofczyków jako ludzi dzielnych i mających poczucie obowiązku.

W przedniej części pociągu, przy lokomotywie, powiewała nieustannie chustka, aż wreszcie zdjęło go przecucie, że ten znak może być dla niego przeznaczony. Zwrócił się więc w tę stronę frontem i poznał kuzynkę.

— Bywaj zdrów, Konradzie! — krzyknęła zadyszczanym głosem. — Baw się dobrze! I po-

praw się!... wcale nieźle wyglądasz na koniu... Tak, jeździć konno, machać szabelką i tym podobne sztuki próżniacze potrafisz znakomicie. Natomiast oranie ziemi pługiem, to dla ciebie za ordynarna, za brudna robota, co?

Zdaleka wydała mu się teraz kuzynka dobra i miła, tak że ogarnęło go rozrzewnienie na wspomnienie domu. A ponieważ pociąg właśnie z trudnością ruszał z miejsca, przeto Konrad zawołał, kiwając ręką:

— A przyjedź znów niebawem. Liczę na to.

— Od liczenia boli głowa! — odkrzyknęła.

Pociąg tymczasem już toczył się biegiem.

— A więc przyjedziesz? Przyrzekasz mi?

— Zobaczymy, jak się ściemni, — wrzeszczała z całych sił. I z największym wysiłkiem wychylając się do połowy z okna, krzyknęła:

— A uważaj, żeby tym razem nie było znów nieszczęścia.

Poczem głosy ich już dobiegać do siebie nie mogły. Więc machali ręką, dopóki mogli się odróżnić, a nawet chwilę dłużej. Stopniowo znikła kuzynka wraz z odbiegającym pociągiem, pozostawiając łagodny blask, jak gwiazdka, której nazwę znamy.

Wszelako przeczekać odjazd i drugiego pociągu, który teraz przypelzał zamasyście, z taką miną,

jakgdyby chciał na wieki osiąść przed stacją — nie, na to nie starczyło już Konradowi cierpliwości. Odjechał tedy kawalek drogi od toru kolejowego, chcąc czas oszukać ruchem.

Nagle, gdy dojechał do ogródka oberży, na widok czerwonych liści kwiatu kasztanowego ponad brunatnym płotem z tui, podrażniła mu wyobraźnię, niby podniecający wyziew korzennej potrawy, wielkooka Jucunda, którą tu spostrzegł. Unikano wprawdzie oberży stacyjnej, właśnie z powodu Jucundy; on niemniej niż inni, również z Jucundy powodu. Ale dzisiaj ogarnęła go przekora, tak, że to, co mu się narzucało jako zakazane, właśnie uczynić musiał.

Skreślił przed oberżę z niezachwianem postanowieniem dania ostrej odprawy każdemu, któryby później chciał mu tem dokuczyć, zeskoczył z konia i oddał go przyskakującemu skwapliwie parobkowi:

— Zaprowadźcie klaczkę do stajni, — rozkazał — i, żebyście jej nikomu innemu nie wydali, ktokolwiekby to był. Rozumiecie?

\* \* \*

Oberżystka przydreptała, wdzięcząc się, witając go oznakami przesadnej radości i szeroko rozwodząc się nad niespodziewanym zaszczycem.

— I tak dalej, tralala! — przerwał.

— Jucundo! — wrzasnęła radośnie w sień. — Jucundo, zgadnij-no, kto nas zaszczyca!... Ależ wytrzeszczy oczy! Gdybyście tylko wiedzieli, jak ta dziewczucha wypatruje was pokryjomu, ilekroć przejeżdżacie konno! Głupia oślica, dumny gospodarski syn z „Pod pawia” i pogardzana Jucunda ze stacji, właśnie! jeszcze czego! Jucundo! Jucundo! ogłuchłaś, czy co?! — Podniosła z ziemi malca, który uczeplił się jej fartucha. — Widzisz, to ten piękny pan, co na koniku przeskoczył przez drąg. Przypatrz mu się dobrze, bo kto wie, jak długo jeszcze potrwa, zanim będziesz znów miał szczęście ujrzeć go zbliska. Na imię mu Konrad, jak wam, — dodała, niejako na pochwałę dzieciaka.

— Ładny malec, — raczył zauważyć łaskawie.

— A jakie on ma oczy! jak aksamit. Czyj jest? Podobny prawie trochę do Jucundy.

Oberżystka zrobiła filuterną minę, twarz jej przybrała wyraz zakłopotany, przebiegły i rozweselony.

— Podobny do niej, niestety, aż zanedto, — wybuchnęła ze śmiechem.

Tymczasem zjawiała się Jucunda sama, powolna, ociężała, z uprzejmym zawodowym uśmiechem sługi. Skoro jednak poznała syna go-

spodarza z „Pod pawia”, stanęła, szeroko otworzywszy usta, i dwie duże łzy stoczyły się po jej policzkach.

— Jak ty się zachowujesz, głupia sroko? — lajała oberżystka. — Przywitajże pana Rebera, zaprowadź go do ogródka i pokaż mu drogę.

Teraz rozpromieniła się cała dobroduszną, szeroka twarz Jucundy; dziewczyna poszła naprzód do ogródka, oglądając się ustawicznie, czy też on we własnej osobie istotnie idzie za nią. A ponieważ płynęły z jej oczu coraz nowe łzy, przeto śmiejąc się, otarła ręką usta i nos:

— Nie gniewajcie się, panie Reber, — tłumaczyła się, — ale ja jestem takie strasznie głupie stworzenie. Chcecie usiąść w szalasię? a może w altanie? a może tam, w rogu, pod kasztanem?

To mówiąc, klasnęła w dłonie, by spłoszyć kurę, spacerującą po stole.

Konrad wybrał miejsce wolne na środku, gdzie cień kasztana zaledwie sięgał jeszcze, i gdzie mógł jednocześnie mieć na oku „Pawia,” który wznosił się na pagórku, jak warownia na szańcu.

— Czerwonego, czy białego? — spytała uszczęśliwiona Jucunda. — Pewnie czerwonego.

A ponieważ obojętnie skinął głową, przeto odbiegła skwapliwie.

On zaś przeciągnął się i wysłał oczy na zwiady.

W ogródku skupiło się trochę znudzonych gości, sztuk ze siedem albo osiem, mniej więcej. Nowi napływali leniwie, w części przez furtkę ogrodową, w części przez sień. Tor kolejowy był wolny. Widać odszedł tymczasem i drugi pociąg. Ze stacji wędrowali gęstemi gromadami ludzie z miasta i ze wsi, niby mrówki, pod górę do „Pawia”; wysiedli widocznie z obu pociągów. Większość dążyła po lewej stronie, aleją wiśniową, inni szli naprzelaj przez łąkę, ścieżką, niektórzy po stronie prawej jezdni, wzdłuż winnicy. Była między nimi i kapela, niosąca pod pachą instrumenty, starannie zielonemi perkalowemi futerałami osłonięte.

Korzystniejszego widoku na „Pawia” nie można było istotnie sobie wyobrazić. Leżał przed Konradem jak na dłoni, w całym swoim okazałym obszarze, rozpościerając się majestatycznie na wysuniętem wzgórzu: na lewo gospoda, w środku murowany taras z szeregiem kulistych akacyj, o tej porze roku skąpo jeszcze, oczywiście, w liście uposażonych, za tarasem sala tańców, wreszcie na prawo, u wylotu muru tarasowego drwalnia i kręgielnia. W powietrzu krążyły jaskółki, wysoko na niebie snuły się lekkie, kędzierzawe obłoczki.

Wszelako Konrad widział to wszystko tylko



tak, mimochodem, dlatego, że nie mógł tego nie widzieć. Spojrzenie jego szukało tam, na górze, kogoś, którego żadna była jego nienawiść, a ponieważ spojrzenie dosięgnąć tam nie mogło — gdyż odległość była za wielka — dosięgły go myśli Konrada.

„A więc naprawdę chciał bić, ten potwór chciał go uderzyć kijem po głowie!”

Na to wspomnienie pięść jego odepchnęła stół tak gwałtownie, że się zatoczył. Konrad, zawstydzony, przesunął go z powrotem na miejsce.

„Nie”, poprawił się, „nie targnąłby się, na ojca nie byłby się jednak targnął; pomimo wszystko. O tyle znał siebie jednak. — Oczywiście w obronie, w uniesieniu, gdy obelga paliła, a rana kęsała! — — I zaco? Proszę zaco? Cóż on zawinił? Niechby znalazł się chociaż jeden człowiek, któryby mu powiedział, co on popelnil złego!”

Przewracał oczami i zaciskał palce, wysyłając ku gospodarze sokole spojrzenie. Poczem zmarszczył brwi i przez chwilę siedział w nieprzytomnej zadumie. „Morderca” mruknął mimowoli przez zaciśnięte zęby. I, jakby upojony krwawym dźwiękiem, powtarzał wyraz, najpierw w dłuższych, potem w krótszych przerwach. Wkońcu, przy szóstym powtórzeniu, prysły wszystkie oko-

wy myśli. Bez namysłu stracił teraz pałającą żądzą, niby sztyletem, ojca w grób. Poczem westchnął z ulgą. Jakie wyzwolenie! Już żadnych klótni, żadnych przykrości. On panem w domu i w polu, szanowany i czczony, ceniony i słuchany. Nikogo, któryby odtąd odważył się go strofować. Co mu się spodoba rozkaże, a co rozkaże stanie się!

I spojrzenia jego chciwie obejmowały w posiadanie własność ojcowską, piędź po piędzi, zagon po zagonie, drzewo po drzewie, z posępną radością, jak jastrząb, zaciskający szpony dokoła skowronka.

Ale, pod wpływem widoku jaśniejącego barwami wzgórza zapadł stopniowo w zadumę, a z zadumy w marzenie. I stanął mu w myśli obraz: szalas w dole przy wzgórzu, na błoni, gdzie ugaszczał całą swoją baterję, oficerów i prostych żołnierzy, i to wspaniale, wytworną biesiadą, jakiej nie widział jeszcze nikt w kraju, z muzyką z Konstancji, i niespodziankami dla oficerów przy wetach, i podarunkami dla żołnierzy, tak żeby każdy zachował wspomnienie do końca życia.

Obraz ten trwał przez czas jakiś, wyraźnie i jasno. Poczem zaczął się zacierać, a wysunął się inny:

W miejscu, gdzie teraz rozpościerała się stara, szpetna sala do tańca, Konrad budował domek, zupełnie skromny, bez „stylu” i balkonów, i łazienki i centralnego ogrzewania, ale wesoły, przytulny, z jasnymi pokojami trzymetrowej conajmniej wysokości, i z obszerną, widną kuchnią, i z szafami w ścianach, i z dużą wygodną altaną, żeby można jeść na świeżem powietrzu. Murarze stali na rusztowaniach, sprawni Włosi z dolnego Tesynu, śpiewający jak skowronki od rana do wieczora. Na dole krzątali się malarze przy zielonych okiennicach, Niemcy z północy, w aksamitnych kurtkach i miękkich kapeluszach — Konradowi wydało się, że czuje woń farby. Anna przyglądała się poprzez jego lewe ramię, a doktor przez prawe. „Zmiłuj się, co ty tu właściwie budujesz?” mruknął zarozumiały, wszechwiedzący doktor. Bo, nie uchybiając jego wiedzy, i nie mając nic zgoła przeciw przyszłemu szwagrowi, — przyznać należy, że szczególnie mądry ten pan doktor nie jest; musiałby to sam przyznać, gdyby nie był na to nieco za bardzo ograniczony.

A siostra odpowiedziała wyrazem swoich pięknych, mądrych oczu: „W każdym razie coś niepraktycznego.” Mężczyzna jest przecież zawsze „niepraktyczny”, w mniemaniu kobiet. Ale Konrad wydobył z kieszeni dokument i podał go oboj-

gu. Wtedy lzy radości popłynęły siostrze w otwarte usta. Doktor zaś ścisnął go bez przerwy za rękę: „Ależ, Konradzie, Konradzie, co ty sobie myślisz? Przecież nie możemy tego przyjąć, to niemożliwe.”

Chrabąszcz spadł na stół nawznak i trzepotał się, chcąc powstać. Konrad zgniótł go, przez sumienność, jakkolwiek niechętnie, poczem myśli jego nawiązały się na nowo, wracając do początku. Właściwie, dumał, pod pewnym względem szkoda, że Cathri się wmieszała. Radby jednak był przekonać się, czy stary zdołałby uderzyć. Wprawdzie był to sam w sobie czyn bohaterski przeciwstawić się z takim spokojem i prostotą, z taką pewnością siebie, szalonemu, zdolnemu do wszystkiego tyranowi, gdy siostra i matka zawodziły w swej bezsilności, beczynnienie się przypatrując. A ton, jakim ona to powiedziała! Jej głos wogóle! Wprawdzie nie jest to głos tak zwany sympatyczny, jakkolwiek ton niesłychanie mile dźwięczy w uszach: twardy i zimny, jakgdyby ktoby dobywał miecza z aksamitnej pochwy. Ale głos, który przynosi ratunek w potrzebie, ma brzmienie odrębne! I zdało mu się naraz, że w owej chwili nawiązało się między nim a Cathri pokrewieństwo, i to bliskie. Albo nie, nie pokrewieństwo, bo czem są krewni? Ludźmi, którzy człowiekowi zatruwają życie, roszcząc jeszcze za to pre-

tensje do wdzięczności, jako za dowód przywiązania. Raczej przyjaźń. Do djaska, bo i dlaczego by nie można zawrzeć nagle przyjaźni z kimś, który nam się podoba i wyświadczył nam przysługę? Przecież przyjaźń to nie jabłko, żeby miała dojrzewać stopniowo! Nagle uśmiechnął się, jak gdyby zagryzł przysmak. Wpadło mu na myśl mianowicie, że Cathri jest panną, on zaś kawalerem, i stąd wysnuły się obrazy ponętnych możliwości, które go rozmarzyły.

Jucunda ukazała się z winem, jednym tchem oskarżając siebie i usprawiedliwiając, z powodu karygodnej opieszałości, przyczem napełniała nadmiernie gorliwie kieliszek. Zanim znów odbiegła, zarzuciła mu rękę na szyję, niby łakocie na pocichę.

On zaś odtrącił z odrazą obce ciało i snuł dalej miłe marzenia, albowiem ocknął się tylko powierzchownie: Oczywiście, przypuśćmy, że onby chciał, a ona przystałaby, ten stary smok zionąłby naturalnie przeciw nim ogniem i płomieniem, nie ulega najmniejszej wątpliwości. A więc, tem lepiej, właśnie dlatego! Dotarł zatem znów tam, dokąd ciągle w kółko powracał: do niego, do nieuniknionego, nieznośnego wroga, jego najgłębszej istoty, wroga jego życzeń, planów i nadziei, wroga we wszystkim, wszędzie i zawsze.

Złość porwała go ponownie. Dłoń jego zacisnęła się, ale tym razem dokoła kieliszka, który wychylił duszkiem, pomimo że zawierał kwaśną, fałszowaną lurę. Z tego powodu złość zamieniła się we wściekłość, a wściekłość pobudziła go znów do picia. Niebawem zamroczyło mu się w głowie. Ogarnęło go oszołomienie, tak, że czuł już tylko bicie tętna w skroni, w połączeniu z namiętą żądzą dokonania jakiegoś gwałtu, i to raczej wcześniej niż później, najchętniej odrazu.

\* \* \*

Brutalna wrzawa zagrzmiała w sieni, przerywana radosnemi okrzykami i, niby goniec wzywający na alarm do pożaru, wypadł wzburzony parobek z za rogu:

— Przyszli już ci z dolnego Waggingu — meldował z powagą.

— Jucundo, prędko! Butelki i kieliszki, wszystkie jakie są! — wrzasnęła oberżystka, skacząc z radości.

Za późno. Już objęła w posiadanie ogródek banda nieokrzesanych ludzi, która rzuciła się na krzesła, zajmując w mgnieniu oka wszystkie miejsca. Reszta kręciła się tu i owdzie, wołając służby i żądając wina. Wywlekali krzesła z izb, niosąc je wysoko nad głową, jak zdobycz, podawali sobie

z rąk do rąk, jak murarze cegły, butelki z winem, a wszystko z niesłychanym hałasem, ale w spokoju i zgodzie.

— Dobierzemy się dzisiaj do tych z górnego Waggingu! — przechwalał się jakiś głos. — Tańce „Pod pawiem” nie przeciągną się dzisiaj do północy, — drwił inny.

Rozległ się śmiech, zacisnęły się chępliwie pięści, pokazywano wyprężone mięśnie, wywijano kijami. Z poza młodych chłopaków wysunęła się teraz wstydliva gromada niewieścia, potęgując zgiełk — odświętnie wystrojone dziewczęta, z wiązkami kwiatów polnych na płaskich biustach. Nieśmiało wciskały się między wzburzonych mężczyzn, rade kułakom i popychaniu. Służba nie zdołała przedostać się przez ludzką gęstwinę. Gdziekolwiek odważyły się wsunąć oberżystka albo Jucunda, przyjmowano je z taką namacalną tkliwością, że corychlej ratowały się ucieczką; zarówno jedna jak i druga opędzały się dzielnie przy pomocy pięści, wśród pełnego oburzenia pisku i wrzasku, przyczem twarze ich jaśniały zadowoleniem. Rozkoszowały się widocznie tym piekielnym zamętem.

Konrad nie zdążył ukryć się przed wrzaskliwą nawałą ludzi; skutkiem tego był do swego krzesła niejako przygożdżony, i nie zostało mu

nic innego, tylko usiłować zająć jak najmniej miejsca. Znosił to wprawdzie z poddaniem, jak się znosi zjawisko przyrody, ale w najgorszym humorze. Naraz drgnął i nastawił uszu. Dobiegły go mianowicie wyrazy „Pod pawiem”, „kelnerki”, „karesy”. A zwróciwszy głowę w tę stronę, spostrzegł długiego drağala, z krzywą rybią gębą i odstającymi uszami, obślizgłego jak dżdżownik, i na tego padło jego podejrzenie. Istotnie chłystek ten sycząc przewracał lubieżnymi oczami. Konrad już chciał odwrócić się ze wstrętem, gdy zdało mu się, że słyszy „piękna Anna z pod Pawia.” Nie, naprawdę, ten chłystek powtórzył raz jeszcze zupełnie wyraźnie, „piękna Anna z pod Pawia.”

— Wy tam! nie wycierajcie sobie brudnej gęby imieniem mojej siostry! — krzyknął Konrad wyniośle, tak szorstko i obelżywie, że sam się zdziwił; ton jakby policzek.

Dżdżownik obrócił się powoli, niezbyt nawet zdumiony, przyglądał się przeciwnikowi chytrem spojrzeniem przez dobrą chwilę, poczem odparł bezbarwnym głosem:

— Przecież nikt nie mówi nic złego o waszej siostrze, przeciwnie.

Konrad mniemał tedy, że zajęcie jest załatwione. Wszelako tamten nie spuścił zeń złośliwego wzroku.



— Wolno przecież wymawiać nawet imię Boga, — mruczał, — to chyba i imię panny Reber nie będzie zakazane. Ostatecznie przecież to taki człowiek jak i my. A może i nie?

I zawzięcie zaczynał coraz na nowo, gdy Konrad odwracał się z pogardą, nasłuchując wszakże skrycie, jak drażniony tygrys, który na razie hamuje się jeszcze.

— Gęba nie jest jeszcze brudna dlatego, że je chleb razowy, zamiast pszennego. Bywają gęby, co jedzą kurczątka, a są jednak brudne. — A potem: — Jak kto już jest bogaty i ma konia w stajni, a mundur w szafie, to jeszcze nie powód, żeby dlatego przemawiał do ludu takim wyniosłym tonem, jak do głupiego bydła.

A potem znów po chwili: — Ten pan porucznik to nie zawsze tak głośno komenderuje. U siebie, „Pod pawiem,” wobec ojca, uderza w łagodniejszy ton wiolinowy, o ile wogóle ośmiela się mówić.

Piekielny świst przez palce odezwał się przeraźliwie na alarm.

— Ci z górnego Waggingu! — rozległo się, niby okrzyk bojowy.

— Gdzie? — ryknęły dziesiątki ochryplych od wina krtani.

— Pilnować się! — ryknęli inni i, jak stado jeleni, ruszyła cała armja wiejska przez płot, by

ujrzeć wroga. Wszystko, co stało w drodze, powalono na ziemię, stoły wraz z naczyniami, krzesła jednocześnie z siedzącymi na nich pijakami, bez względu na to, kto i co.

Dopóki Konradowi dostawały się tylko przypadkowe kulaki, trzymał się na wodzy. Co najwyżej, gdy mu deptali po nogach, cisnął jednego na drugiego, czego też nikt poważnie nie brał mu za złe; podnosili się z ziemi tak spokojnie, jak gdyby potknęli się o podnóżek. Co najwyżej ten i ów pogroził mu pięścią. Jeden tłumaczył się nawet:

— Ojoj! Niech się pan nie gniewa! — wyjąkał pojednawczo z niezgrabnym ukłonem.

Wszelako trafił go w plecy jeden kulak tak boleśnie, tak wymownie, że nie wątpił, iż cios był wymierzony umyślnie, a odwróciwszy się błyskawicznie, ujrzał za sobą dżdżownika, który już nie zdążył przybrać niewinnej miny, lecz czując, że został schwytany na gorącym uczynku, uciekł, znikł w tłoku, skrzyżowawszy ręce dla ochrony nad głową, jak uczeń. Konrad wskok za nim, przebijając się przemocą poprzez ciżbę. Dogonił go przy furtce, schwycił za kołnierz i kopnięciem cisnął na drogę. Zazwyczaj nie używał tego sposobu. Ale tym razem był to niejako nakaz z góry; tego kopnąć musiał, na cześć siostry

i ze względu na krzywą gębę. Poczem ogarnęło go niezwłocznie błogie zadowolenie, tak, że mógł spokojnie patrzeć na przemarsz nieprzyjacielskich armij chłopskich.

Ci z Waggingu dolnego byli już na gościńcu wraz z gromadą kobiet, które przyłączyły się do nich, jedne odradzając, drugie właśnie kierowane ciekawością i żądzą awanturnicznych wydarzeń, a ogarnięte wzmożonym szacunkiem dla wojowniczych chłopców. Ci zaś najpierw odbyli naradę wojenną.

— Punkt szósta uderzamy, ani wcześniej, ani później, — przebiegło hasło po szeregach. Poczem wzięli dziewczęta do środka i otoczyli je zwartem kołem; następnie wcisnęli kapelusze głęboko na czoło i z pochyloną głową, z obłudnym spokojem, ruszyli dalej ku wsi. Przed nimi, w pewnej odległości, z boku przez pole, po lewej stronie alei wiśniowej, dążyli ci z Waggingu górnego ze swemi kobietami, w równie spokojnym napozór nastroju. Obie gromady śledziły się wzajemnie, bacząc pilnie, aby odległość między nimi nie przedłużała się, ani skracala. Od czasu do czasu wysuwała się w górę głowa z pośród straży tylnej, niby kogut, który chce zapiać, rzucała wrogowi świszczący okrzyk „Pilnować się” i chowała się co prędzej w ciżbę. I tak

posuwały się z wolna dwie armje, dążąc „Pod pawia.”

Konrad triumfował; orzech miał dlań mianowicie słodkie jądro. Czyż nie radził ojcu w najlepszej myśli, żeby zaniechał tańców? I jakąż nagrodę otrzymał za swoją dobrą radę? Dobrze więc, niech teraz ma, czego chciał. I w sercu jego zagnieździło się szatańskie pragnienie — pragnienie sponiewieranego proroka — żeby popłynęła krew.

\* \* \*

Gdy powracał do swego miejsca przez spustoszone i opuszczony ogródek, gdzie dokoła walaly się drzazgi i szczątki, Jucunda wysłała ku niemu westchnienie i rzuciła się, wyczerpana, obok niego na krzesło. Jak ona wyglądała! Rozczochrana, obdarta, oblana winem, z obwisłemi wargami, z zagasłem okiem, pot zaś strumieniem sphywał z jej czoła.

A więc to jest owa ponętna Jucunda, którą plotka przedstawiała jako wcielony grzech śmiertelny! Żaloszny to grzech śmiertelny! Od grzechu śmiertelnego można chyba wymagać — nieprawda? — żeby conajmniej był apetyczny. Brrr! — przecież wyciągały się po nią żyłaste ręce każdego chłopu waggińskiego, a ona pozwalała

na to! Oczywiście wiadomo i to, że nie jest Najświętszą Dziewicą ale wiedzieć, a przekonać się na własne oczy, to niekiedy rzecz różna. Stano-  
wczu tu nie miejsce dla niego. Co go popchnęło, żeby dobrowolnie wlaził do tej spelunki?

Obejrzał się, szukając kapelusza. Oto leży, zgnieciony, zmiętoszony, zakurzony.

— Szczotkę, — rozkazał wyniośle.

Jucunda spojrzała na niego lękliwie, chyłkiem weszła do domu i przyniosła szczotkę.

Konrad oczyścił kapelusz i ubranie, a miał minę taką surową, że dziewczyna nie śmiała go wyręczyć. Wkońcu wyjąkała pokornym głosem:

— Ach, nie gniewajcie, się panie Reber! ach, nie bądźcie mi krzywi! Przepraszam was stokrotnie. Ale, bo i dlaczego musieliście właśnie wybrać niedzielę? Przecież jest dosyć dni w tygodniu, ach Boże, kiedy moglibyśmy siedzieć sobie razem godzinami całymi i niktby nam nie przeszkodził... Co mam uczynić, żebyście już nie mieli do mnie urazy?

— Ile się należy? — spytał zimno i chciał wstać.

Ale ona rzuciła się na niego z głośnym lamentem i przytrzymała go.

— Nie, nie, nie, — zawodziła żałośnie, obejmując go rozpaczliwym ruchem — nie, nie odej-

dziecie teraz. Teraz, kiedy nareszcie jesteśmy sami, kiedy mam was przy sobie po raz pierwszy w życiu.

W głosie jej, w oczach, w twarzy, był taki prawdziwy krzyk udręczonego serca, że Konrad zmiękł. Ostatecznie przyjdzie do domu zawsze dosyć wcześnie na te przyjemności, jakie go tam czekają.

Rozsiadł się zatem wygodnie.

W poczciwych oczach dziewczyny zajaśniały dwie gwiazdki wdzięczności; usiadła obok niego, ale położyła nieufnie dłoń na jego ramieniu, jak gdyby obawiała się, że może jej się wymknąć niepostrzeżenie, niby świeżo nabyty pies myśliwski, który się jeszcze nie oswoił. Ażeby rozproszyć jego zamiar odejścia, zalała go potokiem gadaniny.

Najpierw zdawkowymi frazesami, potem stopniowo, gdy zmiarkowała, że podejście mu nie w głowie, paplaniną szczerą, z głębi duszy idącą.

— Ładna pogoda dzisiaj, — rzuciła na pierwszy ogień. — A wszystko tak rośnie. Trawa to taka wysoka i soczysta jak rzadko w maju. A wiśnie w ostatnim tygodniu też dobrze się posunęły; byleby tylko deszcz wszystkiego znów nie zepsuł. Jak się to roi ze wszystkich stron, czarno od ludzi, a wszystko „Pod pawia.” Tak,

tak, wyście bogaci, wyście szczęśliwi, do was życie się uśmiecha. A czemu to, w takim dniu jak dzisiejszy, nie jesteście w domu? Możecie mieli znów małą zwadę z ojcem? Mówią, że on dla was zły. Nie rozumiem, jak ktokolwiek może być zły dla was. No, ale ja na tem skorzystałam; nie śmiałybym nigdy marzyć, że wy przyszlibyście kiedy do nas, taki dumny pan do takiej biedoty. — Wtem zasępiły się jej oczy i spojrzała nań z wyrzutem, jakgdyby jej co ukradł. — Ta Bernenka, co to dzisiaj przyszła do pomocy, to pewnie przyjaciółka waszej siostry? Ładna jest, to prawda, nawet bardzo ładna; takich ładnych u nas tutaj niema, oprócz waszej siostry. A jaka wystrojona! Czy ona bogata? A jeśli bogata, dlaczego służy? Mówią, że w lecie jest zawsze bufetową w zdrojowisku. Ja to pojmuję. Taki rajski ptak przyciąga naturalnie wszystkich mężczyzn. Mówią, że zaleca się do niej sam gospodarz ze zdrojowiska. Nic dziwnego, już od dwóch lat jest wdowcem. Ale ona chyba tego nie weźmie! Ile on już kosztów nałapał pomimo całego majątku. Brrr! obrzydliwiec. Zresztą chociaż ona taka piękna, gdybym była mężczyzną i miała wybierać, wolałabym waszą siostrą, bo jednak jeszcze piękniejsza. Nie chodzi przecież jedynie o regularne rysy, ale także trochę i o „wyraz” jak się u nas mówi. A wasza

siostra ma coś takiego miłego w oczach i w ustach; jak ją widzę, to muszę zawsze myśleć o was. Nie darmo jest waszą siostrą.

Umilkła. Po chwili, westchnąwszy, mówiła dalej:

— Rozumiem, że chcecie wziąć tylko uczciwą dziewczynę. A że wam żadna nie odmówi, możecie być pewni... Bo i niejedna usadowiłaby się chętnie „Pod pawiem”, w takim księżęcym domostwie!

Odwróciła się od niego i ze skrzyżowanymi rękami patrzyła posepnie w ziemię. Wnet jednak spojrzała znów na niego przyjaźnie:

— Zresztą jestem wdzięczna, żeście wogóle przyszli. Gdybyście wiedzieli, jaka to radość dla mnie, jaka radość! Ja wam wcale nie mogę powiedzieć, jaka wielka radość!... Ale nie wstydzicie wy się tak w jasny dzień siedzieć obok Juncundy, tak otwarcie, wobec całego świata?

Zarumienił się. Istotnie siedzieli jak w oknie wystawowem. Jednakże obawa przed ludźmi była mu nieznaną. Po krótkim namyśle przysunął się raczej nieco bliżej do niej. A ona rozpromieniła się, jak letni poranek.

— Jak mnie to cieszy, — szepnęła, — cieszy mnie do głębi duszy, że się mnie nie wstydzicie.

I każdy przechodzień rozjaśniał na nowo jej spojrzenie.



Poczem nie powiedziała już nic więcej, tylko oparła łokcie na stole, ujęła głowę w dłonie i wpatrywała się w niego wielkimi, sarniemi oczami, nie odwracając wzroku, upajając się jego obecnością.

I zaczynało mu być dobrze w tem miejscu. Pod wpływem wina członki mu ocięły, ogarnęło go rozleniwienie, a głupia istota, która siedziała przy nim i z której wiernego serca płynąca miłość szła do niego ciepłym strumieniem, jak blask słońca marcowego, była mu miła, nawet, mówiąc szczerze, bardzo miła. Mój Boże, w domu ojciec i matka inaczej patrzyli na niego. I, chcąc wynagrodzić początkową szorstkość, podał jej dobroliwie rękę.

Pochwyciła ją chciwie i tuliła z pieśczołą do policzków, uszczęśliwiona, że może go dotykać, jak pies z upodobaniem ocierający się o pana.

I trwali tak przy sobie, w milczeniu i zadowoleniu, zapominając i odzyskując równowagę. Ona rozkoszowała się jego widokiem, on składał hold przed obrazem Cathri, który, pomimo obecności Jucundy, jaśniał spokojnie i wyraźnie w jego pamięci.

Przyroda uczyniła co do niej należało, żeby niepokój uciszyć i podniecenie ukoić. Wiosna, po długiej porze dżdżystej, ze szczególną siłą rozwi-

nęła swój kunszt, dzięki któremu jaśniej ale nie olśniewa. Wszystko drgało pełnią życia, żar i cień wydobywał wonie zewsząd zarówno, tylko odmienne. Czuć było, jak dokoła wszystko rośnie. Śnieżnie biały, zwiastujący pogodę, obłok nadpłynął, i uniósł słońce, niby wyspę; zasłaniając tarczę, pozostawił tylko na brzegach lśniący wieńiec promieni. A oni siedzieli w ogródku, jakby pod baldachimem, albo pod świecznikiem, osłoniętym barwnymi gazami, słowem pod czemś wielkiem, wzniosłem i miłem, co ich łączyło i błogosławiło. Słońce widocznie nie sądziło Jucundy tak surowo, jak ludzie.

Kilkadziesiąt wielkich srebrzystych kropeł sypnęło się z obłoku w dalekich odstępach, jak przez sito. Jakkolwiek wyparowały niezwłocznie, tak, że ledwie dosięgnęły ziemi, niemniej wszystkie kosa doliny powitały je pełną zachwyty symfonią. Jucunda rozejrzała się dokoła z zadowoleniem:

— Teraz będzie można niedługo kosić.

— Panie Reber, gubicie przecież ostrogi! — uprzedził parobek, który sprzątał wraz z oberżystką.

Jakoż miał słuszość. Prawej ostrogi wogóle nie było wcale, prawdopodobnie zdeptali ją chłopci; lewa, przekrzywiona i nawpół oderwana, wisiała

nad obcasem. Konrad schylił się, żeby ją odjąć do reszty. Ale Jucunda wyprzedziła go, wsunawszy się pod stół jak łasica. Albo raczej jak świstak, bo na łasicę była za tłusta.

— Przepraszam! To moja rzecz, — upierała się z pod stołu, — poto jestem na świecie, żeby was obsługiwała.

Jednem mocnem szarpnięciem oderwała ostrygę, ale na jej dłoni ukazała się głęboka ryna, z której sączyła się krew. Konrad porwał się wystraszony i chwycił ją za rękę. Ale ona wymknęła mu się ze śmiechem:

— O, to nic, zagoi się w dwa dni — żartowała, — byleby tylko mieć zdrową krew. — A ponieważ nie odwracał zaniepokojonego wzroku od rany, przeto wskazała krzesło, żeby usiadł. Usłuchał, ociągając się. Poczem siedzieli po dawnemu, tylko ona od czasu do czasu oglądała ze szczerym zachwytem zranioną rękę, jak gdyby chciała zawołać: „Mam to od was na pamiątkę, jak was tu już nie będzie,” on zaś posyłał jej niekiedy współczujące spojrzenie, a ona za każdym razem promieniała szczęściem, weselem i zadowoleniem.

\* \* \*

Benedykt, woźnica z „Pod pawia” wyjrzał z za płotu, chrząkając.

— Cóż tam znowu? — spytał Konrad niechętnie.

Benedykt odkaszlnął.

— Mam was poprosić, — bąknął, — żebyście byli tacy dobrzy i pozwolili wziąć Lissi dla pana radcy, wyjątkowo dzisiaj. Pytał już o konia trzy razy przez telefon. Bo przecież właściwie, prawdę mówiąc, przyrzekli mu ją, chociaż może niesłusznie.

— Jak się do mnie mówi przyzwoitym tonem, jak się mnie pyta, jak mnie grzecznie proszą, to co innego — oświadczył Konrad. — Kto was przysłał?

— Wasza siostra, panna Reber.

— To weźcie klaczkę, stoi w stajni. Ale niechaj pan radca jedzie powoli, żeby mi Lissi nie schwacił.

— Będę powoził sam.

— No, to dobrze.

Ale Benedykt nie ruszał się z miejsca.

— Wasza siostra każe wam jeszcze coś powiedzieć, — mówił, walcząc ze śmiechem. — Pyta, czy to koniecznie potrzebne, żebyście siedzieli z Jucundą na frontowym krześle, żeby was cały świat podziwiał, czy nie zechcielibyście cofnąć się na galerję.

— Koniecznie potrzebne nie jest, — odparł

sucho, — ale przyjemnie. Zresztą to miejsce ma tę zaletę, że pozbawia wszelkiego pozoru do rozsiewania plotki, iż popełniamy potajemnie coś zakazanego. Powiedźcie to mojej siostrze wraz z serdecznym ukłonem... A co słyhać „Pod pawiem”? Dużo gości na tarasie zdaje się?

— Ciżba! Brak was bardzo na każdym kroku. Tak, i żeby nie zapomniał, wasz ojciec zagadywał, że nie umarlibyście przecież, gdybyście powrócili i co nieco pomogli pilnować. Jeszcze przecie dotąd nikogo nie zjadł, a i dziś nie ma tego zamiaru. Jest przecie dość miejsca na dwóch.

— Tak powiedział? Ojciec? Do was? To brzmi prawie łagodnie... to jest stosunkowo, jak na niego.

— Do mnie, jak tu żywy stoję. Ta nowa, ta Bernenka, Cathri, czy jak ją tam zwa, tak go odmieniła. Przez cały kwadrans dogadywała mu, tak prosto w twarz, że to wstyd i hańba, o mało, żeśwa się pod ziemię nie skryli ze strachu. Ale zniósł to wszystko cierpliwie, jak dzieciak w szkole, co go nauczyciel łaje. Tylko tak kiedy niekiedy mruknął se pod nosem, jak mu za bardzo dopiekła. Aż wreszcie przyrzekł, że wam dadzą dobre słowo.

— I to ma być przypuszczalnie to dobre słowo: zapewnienie, że mnie nie zje?

Benedykt roześmiał się całą gębą.

— Tak, wasz ojciec korcami tych dobrych słów nie rozdaje! Trudniej z niego wydusić dobre słowo, niż grosz od towarzystwa dobroczynności. Jakgdyby się niemi dławił.

Konrad milczał zadumany. Zdawało mu się, że już bardzo dawno opuścił dom i że podczas jego nieobecności musiało się tam stać mnóstwo doniosłych rzeczy, o których chciał się dowiedzieć.

— Wiecie przypadkiem co o matce, jak się miewa? Czy jest ciągle jeszcze na górze, w sypialni?

— Zaprowadzili ją do wsi, do babki, żeby nie siedziała w gospodzie, gdzie przecież tylko sama niepotrzebnie się irytuje i stoi innym na zawadzie. Ta Bernenka, Cathri, koniecznie chciała, coby tak było.

— Rozumny pomysł miała Cathri. Jak się stanie co rozsądnego, to pewnie ona doradziła.

Woźnica uśmiechnął się przychylnie.

— Tak, to łebska dziewczucha. Właściwie, to byłaby dobra na chłopa. Mam także powtórzyć — co ona kazała mi powiedzieć? Nie biorę żadnej odpowiedzialności, powtarzam poprostu to, co każdy kazał mi powiedzieć. Jeden mówi niebiesko, drugi zielono. Otóż ta Cathri każe wam powiedzieć, żebyście się bawili i za wcześnie do

domu nie wracali. W domu wszystko idzie w porządku i bez was, a może nawet dużo lepiej. Teraz sami wiecie, co macie zrobić. Mnie to nic nie obchodzi, ja się tam do tego nie wtrącam. A więc jak właściwie będzie, co mam w domu powiedzieć? przyjdziecie, czy nie przyjdziecie?

— Przyjdę jak będzie czas, — oświadczył Konrad wymijająco.

— A ja idę teraz i biorę klaczkę. Dobrze?

— Dobrze.

„Żebyś za wcześnie do domu nie wracał,” powtórzył sobie w duchu zirytowany, gdy woźnica się oddalił. „Czyż jej osobiście nic na tem nie zależy, czy i kiedy wracam do domu?” I, urażony, zagryzł wargi.

Gdy po chwili podniósł oczy, spotkał smutne spojrzenie Jucundy.

— Więc teraz idziecie do domu? — szepnęła przygnębiona.

Zdumiał się. Kto tu mówił o powrocie? Żal mu się jej zrobiło.

— Nie, zostanę jeszcze, — pocieszał.

Ale ona smutnie potrząsnęła głową.

— Idziecie do domu, — powtórzyła posępnie. — Ja to czuję. I już nigdy, nigdy nie przyjdziecie do mnie. To był pierwszy i ostatni raz.

— Nikt nie może zgóry wiedzieć, czy coś było po raz ostatni.

— Owszem, można zgóry wiedzieć. Ja wiem, że to było pierwszy i ostatni raz. Inaczej nie bylibyście przyszli do mnie przez prostą omyłkę, przez upór i przekorę, bo mieliście w domu przypadkiem przykrość. Teraz wiem, bom słyszała.

Poczem nagle znów się roztkliwiła.

— Nie gniewajcie się na mnie, — prosiła błagalnie, — że mnie wasze odejście zaboli! Dziękuję wam przecież... A więc zostaniecie jeszcze trochę, troszeczkę?

Konrad został, ale tylko jeszcze ciałem. Miała słuszną. Coś ciągnęło go do domu. Coś bardzo złożonego nie dawało mu już spokoju. Ciekawość, co też dzieje się w domu, ożywiony ruch na tarasie przed jego oczyma, potrzeba współdziałania i pomocy, pragnienie przebywania znów z Cathri. Te czynniki i jeszcze niejednym podobny, z czego niezupełnie zdawał sobie sprawy, podniecały go, a Jucunda z trwogą śledziła wyraz jego twarzy.

A oto teraz zaczął się „Pod pawiem,” w jasne popołudnie pierwszy taniec, skoczna polka, ale tańczona jeszcze bez przekonania, muzyka rozbrzmiewała słabo i ospale w pustej sali. Jucunda zaczęła niezwłocznie nosowym głosem wtórować automatycznie, wzorem bezmyślnych dziewczek,



tak, że Konrad, który dotychczas słyszał o jej głupocie, mógł teraz sam stwierdzić jej miarę.

W ogródku tymczasem zebrała się znów gromadka ludzi, których wzrok po pierwszym porażeniu smyczka zwrócił się ku oknom, skąd dźwięk pochodził. Skutkiem tego zamilkła rozmowa; odzywali się tylko urywanymi zdaniem, jakgdyby obawiali się przeszkodzić muzyce. Stopniowo jednak, po dłuższej chwili i powtarzaniu się rytmu, rozmowa ożywiła się na nowo. Ale myśli pozostały przy muzyce i tanecznej widowni, tak że każde przemówienie kręciło się niby na długim sznurze dookoła „Pawia”, jak koń w ujeżdżalni.

Rozważny głos chłopski mówił pouczającym tonem:

— Jak se tak człek pomyśli, jak se porówna, czem ten „Paw” był przed jakimi dwudziestu, trzydziestu laty, zanim go to wziął stary Reber, i czem jest teraz! I wszystko sam ze siebie, bez pomocy, bez pieniędzy, nic, tylko dwoje robotnych rąk, otwarta głowa i uczciwa dusza. Dokupywał se zagon po zagonie, dziś pole a za rok łąkę, a wszystko z tego co uciulał, w miarę jak mu interes szedł, a i gospodę coraz powiększał.

— Czy łąka pod tarasem też do tego należy?

— Wszystko, od góry do dołu przed tarasem,

aż do linii kolejowej, i miedza i błonie i jeszcze kawałek winnicy w dodatku.

— A co jest właściwie gospodyni z „Pod pawia”? Czy ona zawsze była taka?

— Gospodyni z „Pod pawia”? Pani Reber? Gospodyni z Herrlisdorfu? Mówię wam, za moich czasów była to najweselsza, najbardziej rozba-wiona kobieta w całym kantonie. Zawsze uprzej-ma, zawsze w dobrym humorze i zdrowa. A pilna, a robotna! Tak, stary dużo jej zawdzięcza.

— Wesoła? Kto? Gospodyni z „Pod pawia” Reberowa? Wesoła? A cóżże się tam stało?

— Ach, dostała melancholji, po połogu, po urodzeniu syna, Konrad mu na imię, zdaje mi się. Najpierw oddali ją do zakładu, potem, jak jej się trochę poprawiło, włoczyli się z nią przez kilka lat po zdrojowiskach. Teraz siedzi, o ile wiem, od wielu lat w domu. Ale z tą melancholją, to ciągle po dawnemu, wzdycha przez cały dzień, trapi się każdą drobnostką, zamęcza siebie i wszystkich dookoła i o niczem innym nie mówi tylko ciągle o śmierci. Mój Ty Boże, żeby to kto był przepow-iedział przed trzydziestu laty! Tak to człowiek może się zmienić! Szczęście, że stary ma tyle cierpliwości do niej, choć taki złośnik i tyran. To wzruszające poprostu, jak on się łagodnie z nią obchodzi, chociaż sam jest chory i stary.

Konrad pobladł, zatopiony w poważnych myślach, pochylony naprzód, żeby nie utracić ani jednego słowa. Obudziło to w Jucundzie zazdrość.

— Czy nie lepiej przenieść się na inne miejsce, gdzieby nam nikt nie przeszkadzał? — zaproponowała nachmurzona.

Gniewnym ruchem nakazał jej milczenie. Drugi głos zaczął znów:

— A chłopak? syn? Co o nim słyhać? Jaki jest?

— Niewiadomo jeszcze na pewno, co z niego będzie. Wprawdzie o jego służbie wojskowej mówią jak najlepiej, wszyscy go polubili, i zwierzchnicy i podwładni. Natomiast w domu...

Teraz Jucunda straciła panowanie nad sobą.

— Milczcie, głupcy! — wybuchnęła z niepohamowaną złością. — Nie widzicie, że on przecież tu siedzi?

W ogródku zapanowała nagła cisza, obecnych ogarnęło zmieszanie.

— No, teraz można przynajmniej znów zrozumieć własne słowo, — mruknęła Jucunda.

Ale Konrad już jej nie słyszał; owdąnęła nim paląca niecierpliwość — pragnął co prędzej wrócić do domu, a przede wszystkim stąd się wy dostać.

— I ja będę już musiał iść, — rzekł, wstając

jednocześnie. — A więc, Jucundo, co jestem winien?

Wyděła usta, rzucając wrogie spojrzenie na sakiewkę, którą wydobyl.

— Mam jeszcze wam powiedziec coś waznego, — odparła zagadkowym tonem, — ale musicie najpierw usiąść.

Poczem, gdy usiadł niechętnie, zwróciła nagle ku niemu twarz o olbrzymich oczach, które patrzyły nań groźnie, niby otwory dwóch potężnych luf armatnich, ziejących ogniem i siarką. A gdy on zdziwiony usiłował odgadnąć, coby to mogło znaczyć, położyła się podstępnie lądka na jego nodze. — Zostańcie dziś wieczór u mnie, — szepnęła.

Krew w nim zawrzała. Ale opanował się, odwrócił spojrzenie i potrząsnął przecząco głową.

— Ale ja chcę, żebyście zostali. Chcę poprostu, — syknęła natarczywie i przysunęła się jeszcze bliżej.

Teraz zaczął walczyć. A zmysły zaczynały już niemal zdradzać go w tej walce. Wtem przypomniał sobie słowo, dane straży ogniowej i z błyskawiczną szybkością odepchnął ją brutalnie oburącz, inaczej bowiem nie mógł się od niej obronić.

Ona zaś w mgnieniu oka zmieniła zachowanie, wstała spokojnie, przybrała najobojętniejszy wy-

raz twarzy, jak gdyby nic nie zaszło i urzędowym tonem oznajmiła chłodno:

— Frank czterdzieści.

Zapłacił i dodał odpowiedni napiwek, za który podziękowała skromnie. Poczem wyszli z ogródka razem dosyć śpiesznie, gdyż duszno mu było i łaknął oswobodzenia. Gdyby był przeczuł, czego może się spodziewać od Jucundy, stanowczo nie byłby wstąpił na stację. Gdy doszli do domu, dziewczyna rzuciła się na niego raz jeszcze, nie bacząc na obecnych.

— Przyjdźcie kiedy do mnie wieczorem, między dziesiątą a jedenastą, po ostatnim pociągu. Naprzykład jutro.

Ale on znów potrząsnął głową przecząco.

Pożegnała tedy ostatecznie wszelką nadzieję i poddała się.

— A więc wszystko na nic, nic nie pomoże? — mówiła zrozpaczona. — Więc naprawdę odchodzicie? Jednak sprawiliście mi wielką, wielką radość. Długo jeszcze, bardzo długo będę żyła tą radością, tygodnie, miesiące, a może dłużej.

To mówiąc pochwyciła oburącz jego prawą dłoń, tkliwie ale mocno, przycisnęła ją do serca i już jej nie puściła.

Szli tak razem przez sień, niewygodnie, gdyż wzajemnie hamowali swe kroki, aż do drzwi.

— Bywaj zdrowa, Jucundo, — żegnał ją. Nie odpowiedziała, nie puściła też jego ręki.

— Bywaj zdrowa, — powtórzył z prośbą i lekkiem rozdrażnieniem w głosie.

— Puść mnie, inaczej będę musiał użyć siły, a pomyśl o swojej ranie.

Ale mówił jak do bezrozumnego zwierzęcia, tak, że wkońcu wszczęła się literalna walka między nim, który chciał ostrożnie wyswobodzić rękę z jej objęcia, a nią, która rozpaczliwym wysiłkiem chciała ją zatrzymać. Gdy wreszcie wyzwolił się niespodzianem szarpnięciem, odwróciła się obrażona i znikła w sieni; nie ukazała się też więcej, jakkolwiek Konrad, przez wzgląd na nią, zatrzymał się jeszcze chwilę przed oberżą.

Oddalił się tedy, wzburzony i niezadowolony. Coś mu dokuczalo. Z jednej strony rad był, że uszedł szczęśliwie temu niemiłemu lubieżnemu napastowaniu, ale z drugiej strony przykro mu też było, że rozstał się z tem dziwaczem stworzeniem, ukrywającym wierne serce pod bezczelną rozwiązłością, tak bez pożegnania, jaksdyby uciekał, i to niemal w kłótni. Niech będzie jak chce, ale jednak kocha go, na swój sposób. I szczodra wonna wiosna dokoła wydała mu się teraz, jakby to powiedzieć, trzeźwa, niejako bez serca, tak, że żałował niemal swego zwycięstwa.

Przed torem kolejowym zatrzymał się też istotnie, oglądając się ukradkiem, czy Jucunda nie stoi może teraz we drzwiach domu.

Nie stała. A on przecież dał słowo Waldishofczykom.

Opanował się i, przygnębiony, przeszedł z wolna przez tor, jakgdyby zgubił cenny przedmiot.

Po tamtej stronie szyn Jucunda zapadła w przeszłość, a „Paw” wysunął się z przyszłości w teraźniejszość.

Jeden zysk zabrał wszakże z oberży do domu: postanowił ze swojej strony użyzyć ojcu dobrego słowa za to, co wyświadczał i wyświadczy może jeszcze matce dobrego.

---

Wybrał ścieżkę przez łąkę, żeby drogę skrócić, poczem w pół drogi zwolnił kroku, chcąc powrót opóźnić. Żeby przypadkiem nie pomyślano, iż mu pilno stawić się na rozkaz.

— Tutaj muszę mieć płot, — mruknął ze zmarszczonemi brwiami, na widok zdeptanej obok ścieżki trawy.

Wkońcu, pomimo wszelkiego zwlekania, dotarł jednak do domu, niemal wbrew swojej woli.

Kilku awanturniczo nastrojonych cyklistów, obsługiwanych przez Cathri, wysunęło się poniżej balustrady tarasu na łąkę, skąd wybuchami hałaśliwej wesołości zwracali na siebie uwagę.

Dziwne wywarło na nim wrażenie, że najpierw ujrzał Cathri. Wyobraził sobie, że ona właśnie ukaże się ostatnia, jak główna aktorka w sztuce teatralnej. Skinął zlekka głową i minął cyklistów, dążąc dalej do końca muru. Zdażyło się wszakże, że spojrział prosto w twarz ojcu, który, zaledwie o dziesięć metrów w linii po-



wietrznej oddalony, przypadkiem patrzył wdół przez balustradę. I Konrad odczuł znów zwykle wrogie pchnięcie, jakby go odrzucił strzał armatni. Prysło odrazu chwalebne postanowienie. Niepodobna; poprostu niepodobna.

Zawrócił tedy i stanął w pobliżu cyklistów, pod wielką gruszą. Tam skinął na Bernenkę.

Przybiegła skwapliwie.

— Niedłgie zrobiliście sobie wakacje, panie Reber, — powitała go.

Pominał tę uwagę.

— Cathri, wszyscy jesteście wam winni wielką wdzięczność, — zaczął uroczyście i poniekąd nieśmiało.

— Za co?

— No, za to, co było dzisiaj rano. Wiecie przecież... Między mną a ojcem... Nie udawajcie, że nie wiecie...! z tym batem... Uchroniliście nas od wielkiego nieszczęścia.

— Ach, o to wam chodzi? — zaśmiała się obojętnie. — Nie była to oczywiście sielanka ze „szwajcarskiego życia rodzinnego”.

— Doprawdy, podziwiałem waszą odwagę.

Roześmiała się ponownie.

— Z mężczyznami trzeba jak ze złemi psami: Tylko ich się nie bać.

— Możecie lekceważyć swój czyn, — odparł

poważnie, — ja zaś uważam was od owej chwili za swego dobrego ducha.

— Nikt mnie jeszcze nie nazwał duchem, — żartowała wymijająco. Ale ucieszyły ją widocznie jego słowa.

Wtem nadbiegła Helena.

— Cathri, panna Reber każe wam powiedzieć, że macie iść do sali tanecznej; Józefina będzie teraz usługiwała na łące.

Spojrzeli na nią zdziwieni.

— Dlaczego? — spytali prawie jednocześnie, jak dwa powozowe konie, z których jeden co najwyżej o cal wyprzedza drugiego.

Helena wzruszyła ramionami.

— Taki mam rozkaz; nic więcej nie wiem. — Ale jej rozmarzone oczy iskrzyły się złośliwie.

Cathri i Konrad zamienili porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło: „Rozumiem, a ty?” „Ja również.” „Ale nie uda jej się nas poróżnić, co?” „Przeciwnie, teraz złączymy się silniej jeszcze.” Tak więc rozkaz rozłączenia zespolił ich ściślej, niż gdyby całą zimę przetańczyli ze sobą na wszystkich weselach w kantonie. Poczem Cathri udała się wesoło do sali.

Helena wszakże zwlekała z odejściem, jak-gdyby sobie jeszcze coś przypomniała.

— Czy to może wasza narzeczona, panie Re-

ber? — spytała obłudnie, — ta panienska, z którą siedzieliście w ogródku stacyjnym?

Ale on był przygotowany.

— Czem ona jest, to was nic nie obchodzi. Natomiast powiem wam, czem wy jesteście: bardzo marną kelnerką. Tak, wytrzeszczajcie na mnie oczy, marna kelnerka. Dobrą kelnerkę poznaje się po tem, że ma sześcioro oczu i czworo uszu. Tam wołają musztardy, o dwa kroki od nas wzywa was gość znakami takimi rozpaczliwemi, jak człowiek tonący, a wy tego wszystkiego nie widzicie.

— To mnie nic nie obchodzi, — odparła opryskliwie, — usługuję na górze, nie tutaj.

— Macie szczęście, że nie ja rządę „Pod pawiem”, tylko tymczasem mój ojciec. Bo jak ja zostanę tu gospodarzem, a kelnerka tłumaczyć się będzie tem, że obsługuje inne stoliki, odprawię ją i basta.

Helena oddaliła się jak zmyta.

— To numer pierwszy, — liczył.

Teraz przydreptała uszczypliwa, zuchwała Józefina. Małe jej oczki iskrzyły się szelmowską filuterją. Wszakże, gdy spostrzegła posępną minę złajanej Heleny, uznała, że lepiej się nie zbliżać i przeszła mimo Konrada, nie wypuściwszy złośliwych strzałek z niewieściego kolczana.

„Gdzież numer drugi?” pomyślał i czekał. Ale czekał napróżno; przynajmniej narazie.

\* \* \*

Nad nim, po tamtej stronie balustrady tarasu, jakby rozgrywała się scena ludowa w teatrze. Na zielonej widowni pełno i martwo. Mnóstwo głów, w kapeluszach i bez, brodatych i wygolonych, męskich i żeńskich patrzyło ponad rampę, jakby były odcięte i wystawione na sprzedaż. A wszyscy bez wyjątku, wieśniacy i mieszczuchy, przybierali poważne miny, chcąc uchodzić za takich, co „znaczą.” Do zupełnej martwoty brakło tylko chóru myśliwskiego. Jakkolwiek wszyscy napozór milczeli, niemniej unosił się z pośród nich hałas, jakby setek mówiących głosów. Gburowate kelnerki biegały między gośćmi we wszystkie strony, ścigane gniewnymi spojrzeniami starego, który, ilekroć się doń zbliżyły, rzucał im ukradkiem wymysły, między dwoma słodkimi uśmiechami dla gości. Jedne ocierały śpiesznie oczy, zanim odzyskały uprzejmość baletniczą, inne pyskowały wściekle pod nosem. Helena, ilekroć minęła Józefinę, ciskała na nią zawistne spojrzenie, a to z powodu cyklistów. Anna, która strzegła porządku ‘w ciżbie, spoglądała często wdół na Konrada, ale udawała, że go nie poznaje

Obok niej na ławce siedział jej doktor, w niebieskim mundurze wojskowym i nie spuszczał z niej oka. — Ilekroć odezwała się muzyka tańeczna z piszczącymi, skrzeczącymi i parszczącymi klarnetami, ospałe, martwe oczy wszystkich kierowały się ku oknom sali. Ilekroć zagrzmiały trąby, kobiety miejskie zatykały uszy.

Czy nie woleliby zejść na łąkę, wołali cykliści do swoich znajomych, wymachując rękami. Daleko przyjemniej siedzieć na soczystej murawie, a rzępolenie muzyki mniej dokucza.

Tamci z hałasem usłuchali wezwania i jakby to był miarodajny przykład, niezwłocznie wyniosła się dalsza garstka z tarasu i zasiadła na dole. Inni poszli za tym przykładem, tak, że przenosiny zamieniły się stopniowo na istną wędrówkę. Musiano wlec na łąkę jeden stół za drugim i tuziny krzesel, i wezwać do pomocy Józefinie drugą, a potem i trzecią kelnerkę.

Naruszenie tradycyjnych przepisów co do miejsca, wynikły stąd nieporządek i zajścia, jakie zazwyczaj pociągają za sobą nieprzewidziane niespodzianki i bezradność, wytworzyły nastrój taki, jak wśród chłopców na wakacjach; więc towarzystwo porzuciło uroczyste miny pogrzebowe i oddało się swobodnej wesołości. Gdy wieśniacy ujawniali tę wesołość spotęgowaniem pijaństwem,

znużeni powietrzem pokojowem mieszczanie radowali się raczej darami przyrody. Przedewszystkiem zajmowało małe i duże dzieci miasta niepozorne źródło, sączące się z łąki. W zadumie i rozmarzeniu otoczyli płynny cud, jakby jakie źródło młodości. Z licznych tworów wyobraźni, jakie serce i nadzieja budują na wiosnę, powstał cały fantastyczny gród.

Tak tedy Konrad bez żadnego współdziałania stanął na czele jednej części gospody. Utworzyły się dwa obozy, górny, gdzie gospodarował ojciec, i dolny, podwładny synowi. Tam usadowiła się stateczniejsza starszyzna, tu wesola młodzież. Ponieważ jednak nowi przybysze skręcali z upodobaniem na łąkę, przeto obóz dolny stale się powiększał, gdy górny malał coraz bardziej. „Jakby przepowiednia”, pomyślał Konrad.

Stary niechętnym wzrokiem przypatrywał się wzrostowi rządów przeciwnych, a każdą zamianę miejsca przyjmował gniewnem wywracaniem oczu.

— Moznaby pomyśleć, że na dole podają lepsze wino niż na górze, — ryknął wkońcu, — a przecież to z jednej beczki.

— Nikt nie zarzuca na nich wędki, — odkrzyknął Konrad, — nie mogę ich przecież odpędzać przemocą.

Mimo wszystko nie odmawiali sobie wzajemnie gości; za dobrze byli wyszkoleni i za mądrzy. Przeciwnie, pomagali sobie w bezwiednem porozumieniu. Stopniowo, gdy na dole miejsca było coraz mniej, zapełniło się znów na górze, tak, że ostatecznie nastąpiło wyrównanie.

Gdy tak wspólnie spełniali jednakową pracę, każdy na swoim stanowisku, rozterka wewnętrzna usunęła się narazie na dalszy plan. Wziął nad nią górę pewien szacunek wzajemny. Niekiedy stary wysyłał na łąkę badawcze spojrzenie, poczem mruczał niezrozumiałe wyrazy, co było u niego zawsze oznaką zadowolenia. Konrad ze swojej strony musiał przyznać, że groźne spojrzenia ojca utrzymywały wzorowy porządek.

I ruszyło go sumienie.

— Józefino, — rzekł — Józefino, zechciejcie, proszę, iść do ojca i powiedzcie mu ode mnie, że dzisiaj wieczór podczas tańców wybuchnie kłótnia, i że wiem o tem napewno.

Józefina poszła i wróciła.

— Cóż odpowiedział?

— Nic, tylko sapał głośno.

— To idźcie jeszcze raz; powiedźcie, że go usilnie proszę, żeby nie lekceważył mojego ostrzeżenia. Że ta kłótnia jest ukartowana; słyszałem to od samych Waggingeńczyków.

Józefina ponownie poszła i wróciła.

— Powiedział, że dobrze, że zrozumiał już za pierwszym razem — raportowała, — że nie trzeba mu dwa razy powtarzać, bo, dzięki Bogu, nie jest ani głuchy ani warjat.

— A no, to basta! Sprawa załatwiona! Trzeci raz mu nie powtórzę.

Jednakże po chwili zaniepokoiła go ponownie ciążyąca na nim odpowiedzialność.

— Józefino, — prosił, — powiedzcie ojcu, że przykro mi bardzo, że powracam do tej sprawy po raz trzeci; ale, dalibóg, nie daje mi spokoju. Zacznie się o szóstej. Mojem zdaniem należałoby się postarać o parę tuzinów tęgich chłopów.

Tym razem Józefina wróciła, łkając głośno.

— Wasz ojciec to potwór. Nie pozwolę się tak traktować!

— Co wam powiedział?

— Nazwał mnie bezwstydną, nikczemną dziewczuchą!

— Na to nie zasłużyliście, wy najmniej. Przepraszam was za niego. Bardzo mi to przykro. Ale chciałbym wiedzieć, co kazał mnie powiedzieć.

A dziewczyna wybuchnęła:

— Żebyście nie łapali ryb przed niewodem. Że wie sam co ma robić, nie potrzebuje nauczy-



ciela. Zresztą, jeżeli z was taki tchórz, to możecie przecież wleźć pod spódnicę Jucundy.

— Oho! — zgrzytnął Konrad, podrywając się i zaciskając pięści. Poczem zaczął chodzić wzburzony.

— Niech mnie djabli porwą, — przysięgał, — jeżeli dzisiaj wieczór ruszę palcem.

Ta przysięga wróciła mu narazie spokój, ale był to ponury spokój piekielny.

Tymczasem na górze Cathri, czerwona jak piwonja, stanęła przed Anną.

— W sali tanecznej dłużej usługiwać nie będę, — zawołała, wymachując rękami.

— Dlaczego? — pytała Anna; choć jej cichego pytania nie można było z dołu dosłyszeć.

— Dlatego! — wrzasnęła Cathri. Poczem wymknęło jej się: — Bo to są śwynie!

Gospodarz, stojący obok, wzruszył pogardliwie ramionami, Helena, krzątająca się w pobliżu, wykrzywiła pogardliwie usta, Anna zaś nieufnym wzrokiem zmierzyła Bernenkę od stóp do głowy.

— Przypuszczam, że jest jeszcze inny powód, — odparła dwuznacznie, głosem podniesionym, tak, żeby brat słyszał; — radzibyście pewnie usługiwać gdzieindziej, — co mówiąc, mrugnęła na Konrada.

— Zmusić jej nie możesz, — wtrącił Konrad, podchodząc do muru.

— Jakże mogę od innej wymagać tego, czego ona robić nie chce, — odpowiedziała podrażniona. — To usługuj sam w sali!

Teraz on się zachnął.

— W sali mogę usługiwać co najwyżej kijem albo szpicrutą, — zawołał.

Na te nierozważne słowa przysunął się tuż do muru stary, brzemienny gniewem, z krwią nabiegłe mi oczami.

Kelnerki ze swojej strony nadciągnęły w pobliże, aby usłyszeć rozprawę, która je wszystkie zarówno obchodziła. Zwróciło to uwagę gości, najbliżsi powstali skwapliwie, nie chcąc uronić ani jednego cennego słówka ze sprzeczki. Groziło zbiegowisko, a gdyby stary otworzył usta, wstyd i hańba. W jego bowiem twarzy można było wyczytać, co miał mniej więcej na języku. Jednocześnie z sali dobiegała wrzawa z powodu braku obsługi. Słowem, iskra padła.

— Pocóż jest na świecie Brygida, że nikt o niej nie pomyśli? — zrzędziła Józefina, wymawiając się. — Ona nie złęknie się nawet świętego Anto-niego we własnej osobie.

Zaledwie usłyszała Brygida dobrze znany dźwięk swego imienia, zrozumiała niezwłocznie

że o niej mowa, umiała bowiem zręcznie nawiązywać imię swoje do swojej osoby.

— Co! — wrzasnęła wzburzona. Minęła niemała chwila, zanim jej wbito w głowę o co chodzi. Poczem wzruszyła rozważnie ramionami.

— Waggingeńczycy są tacy sami ludzie jak inni, — oświadczyła oburzona, rzucając wymowne spojrzenie na Cathri. — Dlatego, że mają przypadkiem tylko dwie nogi, zamiast czterech, jak wielu innych, nie są jeszcze świniami.

I przedsiębiorczym ruchem wbiegła po czterech stopniach, wiodących do sali.

Ucichło zatem poróżnienie, przygasła iskra, każdy wrócił spokojnie na swoje miejsce, z lekką niechęcią, bo kurek odwiedziony trudniej jest spuścić powoli na palcu, niż przez pociągnięcie cyngla.

Cathri zaś złożyła Konradowi zdaleka żartobliwy ukłon w podzięcie za poparcie. Ilekroć szła usługując wzdłuż muru, dawała mu ukradkiem znaki porozumienia spojrzeniem lub ruchem, albo też poprostu chrząknięciem, przyczem osłaniała dłonią usta, tak, że niby posyłała mu nieśmiały przelotny pocałunek.

\* \* \*

— Anno! — zażądał Konrad, — potrzeba, nam tu czwartej.

Zaś Anna zawołała ostrym głosem wgląb:

— Cathri, mój brat dopomina się o was, stęskniony.

Cathri stawiała się, rozpromieniona. Wśląd za nią postępowała siostra, ale odmiennym krokiem.

Nachmurzona podeszła do brata i, nie patrząc nań, strofowała surowo:

— Nie chodzi się pod „Półkwaterek,” nie siedzi się obok Jucundy.

Konrad uniósł się.

— Słuchaj, — odparł, — byłoby lepiej, gdybyś zwracała uwagę na siebie, zamiast grać rolę mojego Pestalozziego. Twój niebieski doktor pożera cię przecież oczami, tak, że ślepyby to zauważył. Dopóki nie jesteście jeszcze zaręczeni oficjalnie, powinniście mieć tyle taktu, żeby zachować się przyzwoicie. Nie bierz mi za złe tej uwagi.

Anna zachłysnęła się i umilkła.

— Co tam, — rzuciła Cathri niedbale, — młodemu, nieżonatemu chłopakowi wszystko wolno.

Anna odwróciła się ku niej, jakby ją osa ukłóła.

— Ładne macie tam u was zasady, ani słowa, — drwiła.

Cathri odrzuciła głowę i odcięła się żywo:

— Tyle samo jesteście warci u siebie, co wy tutaj, ani mniej, ani więcej.

Anna szukała w myśli druzgocącej odpowiedzi, ale jej nie znalazła. Skrzywiła tedy nos, jak-gdyby powąchała coś wstrętnego, i gwałtownie opuściła widownię, każdym ruchem rozpościerając chmurę rozgoryczenia.

— Coraz lepiej, — mruknął Konrad, — teraz i baby zaczynają!

Nie wpadło mu nawet do głowy wmieszać się, gdyż mądry mężczyzna winien trzymać się zdala od wszelkich kłótni kobiecych; nauczył się tego oddawna, jako najwyższej mądrości, w czem zgodny był cały naród bez różnicy stanu i zapatrywań politycznych.

Gdy zaś Cathri, w radosnym nastroju zwycięskim chciała się doń zbliżyć poufale, cofnął się i zlął ją.

— Powinniście, bądź co bądź, grzeczniej odzywać się do mojej siostry.

Na co odbiegła rozzłoszczona, jak postrzelony dzik. Ale przywołał ją, rozkazującym tonem, trzykrotnie, a za każdym razem groźniej, aż wreszcie usłuchała.

— Zobowiązaliście się na dzisiaj do służby u nas, — oświadczył, — stąd winniście nam, mnie i mojej siostrze, nietylko posłuszeństwo, ale i uległość i grzeczność. Jutro możecie znów być ordynarni, jeżeli się wam spodoba.

A ponieważ dygotała niecierpliwie ze złości, jakgdyby ziemia paliła się jej pod nogami, przeto przetrzymał ją umyślnie dłużej.

— Przy sposobności, — zaczął, — chciałem was właśnie zapytać: usługiwaliście zatem na górze w sali? Jakież wynieśliście stamtąd wrażenie?

— Że to wszystko świnie.

— Niezaprzeczenie, — odpowiedział, zaledwie mogąc powstrzymać się od śmiechu. — Ale to jużesmy słyszeli. Myślę, czy przypadkiem nie zauważyliście... jak mam powiedzieć?... jakby jakich wrogich przygotowań?

— Dałby Bóg, żeby się wzajemnie pożarli.

— Modlitwa ludożercy!

Spojrzała na niego zuchwale bystrym, rozumnym wzrokiem:

— I wy ślaliście już nieraz do nieba prośbę, której Ojczenasz nie nakazuje.

Sponsował, i zadumał się poważnie.

— Możecie teraz odejść, — zezwolił z roz-targnieniem.

Odeszła, ale on nie był z wyniku rozmowy zadowolony. Chciał jej dać mata wieżami, tymczasem teraz on właśnie był zaszachowany. W głębi duszy tak oto kombinował sobie: ugnij ją, opanuj, a pokocha cię. Tymczasem stało się, że

to ona była nieugięta, on zaś, ponieważ teraz, pomimo jej krnąbrności, z upodobaniem gonił ją wzrokiem, czuł, że ją pokochał. Oczywiście mogłaby, — to pewne — być bez szkody nieco mniej opryskliwa, nawet znacznie mniej opryskliwa. A gdyby wogóle miał sobie czego życzyć, to tego, żeby twarde, blado-niebieskie szkiełka, służące jej za oczy, były inne. Nie takie zimne i obojętne, jakgdyby człowiek poprzez przezroczystą wodę źródlaną widział drewnianą cembrowinę studni.

Ale trudno, stała się, od dzisiejszego ranka, częścią jego samego. A jeśli była zimna, to jeden powód więcej, żeby jej przesłać z własnego serca snop promieni, by ją ogrzać, Zresztą: wady, błędy, cóż to szkodzi? Przecież można lubić własne błędy, nieprawda? Dlaczegoż więc nie lubić również błędów tych, którzy nam są bliscy?

Nadto nie był osamotniony w tem swoim do niej upodobaniu. Gdziekolwiek ukazała się Cathri, zwracała uwagę. Rozmowa milkła, kęs, niesiony do ust, zatrzymywał się w drodze, ze zdumieniem ścigano ją oczyma. Doskonałość kształtów jej postaci i oblicza nie uderzyła Konrada nadmiernie dzisiaj przed południem, w domu wśród innych dziewcząt; obudziła w nim poprostu pewne zadowolenie, ale teraz gorący i powszechny podziw wykazał mu miarę jej urody.

Pewni siebie, zajmujący doniosłe stanowiska mężczyźni, jak dyrektor gazowni, Wyniger, za rozumiali głupcy, jak młody Vonderheiden, idjotyczny fircyk, który naśmiewał się szyderczo z ludzkości, wsunąwszy nogi pod krzesło sąsiada, spuszczaali oczy, zmieszani, i poprawiali się na krzesłach. Jeżeli wysunął się z jej ręki jaki przedmiot, schylali się na wyścigi wszyscy dokoła, niby przed wielką panią.

Tóż to byłaby z niej gospodyni „Pod pawiem!” A jakie rumiane piskłeta wyszłyby z tego błogosławionego gniazda! Zawadjackie zbijaki, albo tęgie, proste, jak strzała dziewczuchy, z warkoczami do kolan, z dwoma dołeczkami na twarzy, jeden w podbródku, a jeden w prawym policzku.

A dzielna i zdolna jest też, Bóg świadkiem, jak mało która! Jak ona usługuje! Pod tym względem nie mogłaby jej odmówić uznania nawet zgryźliwa kuzynka Wiedźma. Spokojna i pewna siebie w największych opałach, niby wyćwiczony żołnierz w ogniu. Ani cienia warjackiej bieganiny innych kelnerek, które zawodziły i białą, jakby im kto porwał skarby jakie. A obsługiwała zupełnie bezstronnie, co w niej szczególnie cenił. Nie jak drażliwa Józefina, która przystawała przy każdym, pyszniącym się silnemi mięśniami gimnastyku, albo jak idealna Helena, która zapo-



minała o wszystkim, nic nie widziała i nie słyszała, skoro tylko odezwał się chór męski gromkich basów i rozanielonych tenorów, albo jak gapiowata Brygida, która jak śmierci nie cierpiała starych, tak że skrzyczała najczcigodniejszego członka rady narodowej, jak gdyby dawała mu odprawę po oświadczeniach. Cathri obsługiwała każdego jednakowo, bez względu na to, czy jest stary, czy młody, ładny, czy brzydki, dygnitarz, czy prostak, nie wykrzywiła też drwiąco ust, gdy gość zażądał tylko wody ocukrzonej; dbała jedynie o zlecenie i wykonanie, ludzie byli jej obojętni. Na zbyt obojętni nawet. Albowiem zachowywała się względem gości dumnie, wyniośle, żeby nie powiedzieć: obrażająco. Nie, właściwie obrażające zachowanie jej nie było; bo, gdyby kto zechciał poskarżyć się na nią i powiedzieć, o co mu chodzi, nie umiałby nic konkretnego przytoczyć. Ale, jakby się tu wyrazić? było odstręczające, wrogie. Tak, wrogie.

Zamówienie przyjmowała z takim obliczem, jak archanioł, wysłuchujący prośby marnej, grzechami skalanej istoty ludzkiej; napitek i jadło raczyła stawiać tak, jak gdyby wyświadczała niezasłużoną łaskę. A biada temu, kto się odważył na najłżejsze umizgi, słowem lub spojrzeniem! Takiemu okazywała nadal nieukrywaną odrazę,

obchodziła się z nim, jak z cuchnącym robakiem, i ugłaskać jej już nie zdołały ani słodkie słówka, ani napiwki. Tylko, dopóki usługiwała, hamowała się, powstrzymując obelgę, którą miała na języku.

Szczerze mówiąc, jej bezgraniczna niedostępność nie była bynajmniej niemila Konradowi. Nakazywała zawsze swemu otoczeniu pełną szacunku powściągliwość, nadawała mu piętno wytworności.

Zatopiony w tych rozważaniach, uczuł nagle trącenie obcego łokcia.

— Panie Reber, śpicie? a może układacie nowy plan wyprawy bojowej?

Obejrzał się, a Cathri już odbiegała ze śmiechem.

— Przeklęte baby! — mruknął ubawiony, — odczytują poprostu myśli z czoła człowiekowi!

Portjer zataczał się zygzakowato, niby głaz wędrowny, wpadał po drodze na gości, nie przepaszając, a to bynajmniej nie umyślnie, tylko przez wrodzoną gburowatość.

— Panie Reber, ojciec każe wam powiedzieć, że pułkownik Allegri z Mendrisio już trzy razy pytał o was. Ojciec mówi, że możebyście raczyli ukazać nareszcie swoje błogosławione oblicze, a może wmawiacie w siebie, że pan pułkownik

powinien was gonić z wywieszonym językiem, jak pies myśliwski.

Zawahał się i ociągał; szorstkiemu wezwaniu starego byłby się, oczywiście, przeciwstawił, ale pułkownikowi Allegri'emu, który mu zawsze okazywał ojcowską życzliwość, chciał bezwarunkowo złożyć cześć.

— Czy ojciec tam jest? — spytał.

— Jest, — brzmiała odpowiedź.

— Idę, — mruknął posępnie i ruszył z miejsca.

— Trzymajcie się, — wołała za nim Cathri, drwiąco, ale w poważnej myśli. — Weźcie się w kupę, żebyście znów nie nawarzyli piwa, bo ja drugi raz nie zjawię się w biały dzień w roli „dobrego ducha”.

— No, to przywiążcie mnie do swego fartucha — żartował z humorem wisielca.

Dotarłszy do tarasu, ujrzał wśród ciżby stół, lśniący od mundurów dokoła. Na ten widok serce jego przepelniła błogość i wdzięczność, jak gdyby ktoś z głębokiego moczaru, w którym tkwił po szyję, wydobył go na suchy blask słoneczny. Honor, poważanie i przyjaźń witały go ze złotych guzików, z błyszczących szabel, a ponad niemi wznosił się, niby promienne sklepienie niebieskie, pełen polotu łuk myśli, sięgający od Genewy do Szafhuzy i od Bazylei do Chiasso.

Gdy tak, z rozjaśnionem obliczem, szedł wyprężonym, dziarskim krokiem do stołu oficerskiego, pułkownik podążył żywo na spotkanie, witając radosnym okrzykiem, uściskał go i poklepał po ramieniu. Ponieważ Konrad nie znał siedzących oficerów, przeto nastąpiła formalna prezentacja. Zamieniono ukłony wojskowe, następnie uczciwy uścisk dłoni i, na wyraźny rozkaz pułkownika, Konrad zajął miejsce obok niego.

Stary gospodarz usunął się tymczasem, ale pułkownik, z kordjalnym hałasem, wezwał go z powrotem.

— Hola, stary burczymucho! — roześmiał się, — co to ma znaczyć, że wyrywacie się, jak szkapa rekrucka ze strachu przed prochem? Czy może jesteście za dumni, żeby się zadowolić mojem towarzystwem? Zapewne, jak się ma za syna takiego kapitalnego chłopca, można być dumnym! Przecież mnie samemu serce się raduje na jego widok.

I poklepał Konrada w kolano, jak rozkochany wujek.

Stary, zawstydzony taką pochwałą nieudanego syna, chrząkał i sapał, ale wkońcu przywłókł się opornie.

— Cóż wytrzeszczacie tak na siebie oczy, jak dwa kundły, polujące na jedną kość? Dalej! —

komenderował pułkownik. — Naprzód! stanąć obok siebie.

Nie było rady. Musieli stać spokojnie przy sobie, pokonywając wstręt i rozchmurzając się. Zaledwie zdołali uniknąć zetknięcia się. Ale wzrok skierowali w różne strony.

Pułkownik porównywał ich z przyjaznem zadowoleniem.

— No, jak myślicie, chłopcy? — zwrócił się do kolegów, — gdybyśmy mieli samych takich żołnierzy, co? Do kroćset, tożby to była armja! Hm? jak myślicie? Patrząc na nich, można uwierzyć, że starzy związkowcy przewracali konie razem z jeźdźcami!

Poczem zwrócił się specjalnie do starego.

— Tak, tak, moi drodzy, synowie, synowie, synowie! To nasza przyszłość, to nasi grabarze.

Przy tych słowach zdjął czapkę ze złotym lam-pasem i przesunął wesoło dłoń po siwej czuprynie.

Stary gospodarz, na wspomnienie o śmierci, stał się siny, a potem fioletowy, tak, że Konrada mimowoli zdjęło współczucie dla ojca.

— Do tego grzebania, panie pułkowniku, — wtrącił, — to jeszcze daleko, zarówno dla pana, jak i dla ojca.

— Ta, ta, ta! — odparł pułkownik, — patati, patata! W naszym wieku, mój drogi, trzeba w

każdej chwili być gotowym do złożenia broni! Nieprawda, panie gospodarzu?... Ale główna rzecz, że człowiek ma przynajmniej kogoś na świecie, kto mu zamknie oczy, kto zachowa o nim życzliwe wspomnienie, kto mu z wdzięczną miłością i przywiązaniem dopomoże do znoszenia starczych dolegliwości.

Teraz syn z kolei musiał się zawstydzić. Zarumienił się, spuścił głowę i umilkł.

Ale ojciec pośpieszył z pomocą.

— Zdarzają się, oczywiście, drobne nieporozumienia, — mruknął wymijająco.

Tak tedy obaj usiłowali uratować pozór zgody, dla honoru i powagi rodziny. Ale niepodobna było sytuacji takiej na długo utrzymać. Z jednej strony pułkownik, który ich w swojej naiwności jednoczył, z drugiej ich gorączkowe wysiłki, żeby się nie zetknąć, albo nie zamienić spojrzenia, a dokoła przyglądający się im bacznie oficerowie. Dlatego też śledzili pilnie, czy nie wybawi ich szczęśliwy przypadek.

Konrad dostrzegł nareszcie wybawienie.

— Pan pułkownik wybaczy, — prosił — widzę, że nadchodzi straż ogniowa z Waldishofen, w liczbie dwudziestu ludzi, a ja, jako kapitan straży w Herrlisdorfie...

— Rozumie się, rozumie się, mój drogi, —

zezwoił pułkownik. — I tak musimy już ruszyć w drogę do domu. Konie oddawna osiodłane, zwlekaliśmy z odjazdem tylko ze względu na ciebie... A ta msza też nie jest dziełem Cherubinięgo, — dodał, śmiejąc się, i wskazując salę tańca, gdzie podniósł się teraz piekielny wrzask.

Krótkie pożegnanie, brzęk ostróg, obcasy stuknęły o obcasy; oficerowie odjechali, ojciec odszedł, a Konrad zabrał się do powitania swoich strażaków, którzy już, znęceni widokiem okazałej Cathri, skreśliłi na łąkę.

Po drodze wszakże dogoniła go Anna i z tajemniczą miną, zadyszana, zameldowała:

— Prześliczna panna stoi w sieni z matką i pyta o ciebie. Poznały cię we Frauenfeldzie na balu. Opóźniły się, niestety, na wycieczce i śpieszą już do pociągu, inaczej nie wzywałyby cię tak niegrzecznie do sieni; ale nie mogły odjechać bez przelotnego choćby powitania cię i mają nadzieję, że im to wybaczysz?

Po twarzy Konrada przemknął promień radości.

— Aha, wiem! — zawołał żywo i chciał iść z siostrą, żeby owe panie przywitać.

Naraz spostrzegł Cathri, która, w oddaleniu trzech metrów zaledwie, stała z przeciwnej strony, pod murkiem, sztywna jak słup, patrząc na niego

roziskrzonemi oczami. Niewątpliwie słyszała słowa siostry i odgadła o co idzie.

— Zdaje mi się, że one liczą trochę na to, iż odprowadzisz je na dworzec, — ciągnęła Anna dalej, zamierzając zabrać go ze sobą.

Ale on stanął. Właściwie poszedłby chętnie do owych pań i z niemi na dworzec — albowiem ocknęły się w nim miłe wspomnienia o jasnych jak poranek pięknych oczach — ale surowe oblicze Cathri mówiło do niego: „Teraz się pokaże; teraz od ciebie zależy. Stosownie do tego, co ty zadecydujesz, ja postanowię.”

Gdy wahał się jeszcze między obawą a zachcianką, w sali tanecznej wrzał zamęt, jak na jarmarku podczas pożaru menażerji.

I naraz do obawy przyłączył się wstyd. Jakże stanie przed ową wybredną, subtelną tancerką, która go poznała jako sztykownego oficera! Po prostu jako chłopski karczmarz, tak, krótko i węzłowato jako chłopski karczmarz, nic więcej. Rycerski mundur żołnierski wyglądał jakby był chwilowem przebraniem. Twarz jego oblała się gorącym rumieńcem.

Nie, „Pod pawia” w Herrlisdorfie nie wprowadza się delikatnej, wykwintnie wychowanej panny miejskiej, na to jest mu za dobra, za bardzo ją ceni. A ponieważ teraz odjeżdżali też i ofi-



cerowie, w zniechęceniu swoim dopatrywał się w tem potwierdzenia swego poniżenia.

— W każdym razie powiesz im oczywiście, chociaż naprędce, dobry wieczór — rzuciła siostra podniesionym, rozdrażnionym głosem.

Potrząsnął przecząco głową i odszedł przyspieszonym krokiem, jak gdyby się obawiał, że pożałuje.

— Ależ to poprostu niegrzeczność, obraza, — wołała Anna oburzona. Ale on zamknął uszy.

Cathri czekała nań na rogu przy murze. Oko jej migotało jeszcze fałszem i wrogo, niby odbłaskiem doznanego uczucia zazdrości.

— Dlaczegożście nie poszli przywitać się z tą elegancką miejską panną? — strofowała z obłudnym wyrzutem.

„Zawiła jest jednak dusza ludzka,” pomyślał. Albowiem powierzchownie dziwił się tej kobiecej kłamliwości Cathri, mniemając, że gburowatość jest rękojmią szczerości; w głębi jednak dusza mu się radowała bez zastrzeżeń.

— Bo wolę rozmawiać ze swoim dobrym duchem, — odpowiedział drżącym głosem, gdyż odczuł konieczność wyboru.

A ona obdarowała go słonecznym, przyjaznym spojrzeniem.

— Dziękuję, — rzekła z prostotą.

Postała jeszcze przez chwilę w zamyśleniu, od czasu do czasu rzucając mu nawpół badawcze, napoly miłujące spojrzenie. A gdy odchodziła, dotknęła ukradkiem jego ręki.

Zaledwie się oddaliła, przeszła owa panna z mamą tuż za nim, a towarzyszyła im Anna. Jakkolwiek stał przypadkiem plecami do niej odwrócony, przemknął mu się przed oczyma przelotny cień jej wiotkiej postaci, jednocześnie z barwnem odbiciem sukni jasnej i wesołej, ale miękkiej i przytłumionej, niby akord minorowy.

Reszty dopełniło rozbudzone wspomnienie. Przemocą pozostał w miejscu, bojąc się poruszyć, żeby jej nie ujrzał. Dopiero gdy był zupełnie pewien, że odeszła daleko, odetchnął, w podniosłem przeświadczeniu, że wyrzekł się czegoś, czego pragnąć nie powinien i na co nie mógł sobie pozwolić.

Wreszcie, gdy ujrzał Annę, powracającą samotnie, zbliżył się z ulgą w sercu do swoich Waldishofczyków.

\* \* \*

Przyjęli go z pełną szacunku poufalością, podnosząc się wprawdzie, ale jednocześnie wyciągając dłoń i podając kieliszek na powitanie. Do nie-

jednego przepił w odpowiedzi, a każdemu dłoń uściskał, przestrzegając bacznie, aby nie pominąć żadnego. Ale gdy przysła kolej na wachmistrza, skończyła się jego swoboda. Ten bowiem w wybuchu gwałtownej serdeczności zasekwestrował go dla siebie i ścisnął, i tulił do piersi, walił w plecy i, nienasycony, obcałowywał go na nowo, trąc mu twarz kruczą brodą, która sięgała od policzków do pępka. „Konradzie”, mruczał, przewracając galkami ocznymi, jak omdlewający niedźwiedź.

Leutolf, porucznik straży, wyzwolił go narreszcie, chociaż nie bez trudu, od tego fanatyka przyjaźni.

— Jakiż to ukryty ideał miałeś właściwie dzisiaj po południu w pociągu? nie widziałeś ani słyszałeś nic dokoła! Krzyczeliśmy na ciebie, przejeżdżając, że omal nie zerwaliśmy płuc, ale ty miałeś tylko oczy i uszy widocznie dla kogoś ważniejszego.

— Ukryty ideał ma siwe włosy i siedemdziesiąt dwa lata, — objaśnił Konrad i na myśl o kuzynce Wiedźmie przemknął mu się przez serce i przez usta dobrotliwy uśmiech.

Leutolf tymczasem uczeplił się jego ramienia i pociągnął go za sobą w półobrocie.

— Co za nieludzka ciżba znów u was „Pod

pawiem", — zawołał z podziwem, mrugając oczami.

— I co za cudowny wieczór, — dodał Konrad, chcąc odwrócić jego uwagę.

— Ty szczęściarzu! — ciągnął dalej Leutolf, potrząsając rękę Konrada, — ładny spadek odziedziczysz, ani słowa! — I gwizdnął przeciągle.

— A pfe! — odparł Konrad, szczerze urażony.

— Dziedziczyć to nie grzech, — ciągnął dalej porucznik straży. — A, sądząc z pozoru, twój stary długo nie pociągnie... A czyżeś się już obejrzał za smaczną żonką? — Że zaś Cathri przebiegała w tej chwili obładowana butelkami i kieliszkami, trącił przyjaciela łokciem w bok: — Może to właśnie ta, która...? — szepnął.

Konrad zastanowił się; pytanie wydało mu się nietaktowne, odpowiedź trudna:

— Nie jestem jeszcze zdecydowany, — oświadczył wkońcu niechętnie.

— Djabelnie ładna, nieprzyzwoicie ładna, niemożliwie ładna nawet, — oświadczył Waldishofczyk. — A ma też wykształcenie?

— Przecież ja też nie mam wykształcenia

— Ty nie masz wykształcenia? Oficer artylerji i były uczeń szkoły przemysłowej, który brał zawsze pierwsze nagrody? Błazeństwa!... A więc

to jest ta, która, skoro pomijasz nawet taki pierwszorzędny brak... Najpierw miałem w podejrzeniu inną, taką, która byłaby dla ciebie odpowiedniejsza i stale oglądała się za tobą. Ale ponieważ odwracałeś się uparcie od niej, przeto moje przypuszczenie upada. — Późem, nasłuchując wrzasków w sali tanecznej, dodał: — Cóżże tam zebrał za osobliwe towarzystwo śpiewacze? Czy to ma wyobrażać chór furyj z Orfeusza? Przecież oni śpiewają, jak kastrowane sępy.

— Albo jak lunatyczne foki, — zauważył wachmistrz.

I każdy, pewien zgóry poklasku, przytaczał nowe porównanie z ogrodu zoologicznego, słuchając w rozweseleniu okropnego wycia.

— Sądząc z ochrypłych falsetowych głosów, możnaby przypuścić, że to Waggingeńczycy — odezwał się jakiś głos.

A gdy Konrad skinął potakująco głową, zapytano: — Ci z dolnego Waggingenu, czy z górnego?

— I jedni i drudzy, — wyznał Konrad nachmurzony.

Porucznik straży spojrział nań z niespokojem:

— Ci z dolnego i ci z górnego razem? W tydzień po wyborach? to mogłoby się źle skończyć.

— Bardzo możliwe, — potwierdził Konrad.

A wachmistrz pochwycił go za ramię:

— Gdyby w danym wypadku przyszło co do czego — oświadczył — wiesz, że możesz na nas liczyć. — I poparł to przyrzeczenie kilku kulkami w bok.

— Oczywiście! — potwierdziła gromada.

W tejże chwili odezwał się tętent kopyt, a gdy Konrad się obejrzał, dostrzegł swoich oficerów, z pułkownikiem Allegrim na czele, zdążających lekkim ożywionym kłusem trójkami wzdłuż alei wiśniowej. Konie, po mistrzowsku w cugle zebrane, wyginały szyje i grzbiet w powabne faliste linje, jeźdźcy siedzieli wyprężeni. Mijali jedną parę drzew za drugą, w takt kopyt, stukających po suchej drodze melodyjnym dźwiękiem, zaś od czasu do czasu szabla, w którą trafił promień słońca wieczornego, zabłysnęła nagle, niby zwierciadło, wysyłając snop płomienisty.

„Zacna dusza, ten papa Allegri,” myślał Konrad. „Naiwny, jak dziecko. A to wariacki pomysł sprząć mnie i ojca, nie mając pojęcia, jaki między nami stosunek! Co za niemożliwe położenie!” Usiłował wziąć rzecz całą z komicznej strony, ale w głębi duszy był wzruszony. Stać przez pewien czas spokojnie obok ojca, nie doznając od niego nic złego, popierać się wzajemnie, wspólnie usprawiedliwiać, by się nie zdra-

dzić przed obcym, — to zdarzenie niesłychane. Oczywiście stało się tak tylko pod przymusem konieczności, przez wzgląd na ludzi. Wszystko jedno, przejęło go jednak do głębi. Byłby niemal mógł pokochać za to ojca. A jakże mało, jak mało trzeba było, żeby go pokochał istotnie! Życzliwego obejścia, tonu, który nie raziłby szorstkością, mowy, któraby nie obrażała. Nic więcej. Miałożby to być takie nieskończenie trudne?

Westchnął głęboko, a twarz jego spochmurniała. Bądź co bądź dostrzegł znów blady, maleńki błysk nadziei. Nie wydawało mu się już tak zupełnie nieprawdopodobnem, żeby się wszystko jeszcze znośnie ułożyło i bez straszliwej pomocy śmierci, poprostu mocą rozsądku, z dodatkiem skąpej, mikroskopijnej resztki dobroci.

— Co wam wlażło na wątrobę, panie Reber? — dowiadywała się Cathri, zaniepokojona jego zagadkową powagą. — Takeście naraz posmutnieli.

Konrad potrząsnął głową. — Nie jestem smutny, — odparł melancholijnie, — tylko szczęśliwy.

— Konradzie, co ci się stało, wydaje mi się nawet, żeś się rozmarzył? — drwił porucznik straży. A on, zawstydzony, przysiadł się do kolegów.

Na skřęcie zař zobaczył w dolinie, jak oficerowie stanęli przed kimś, dłoń przyłożywszy do czapki, jakby na manewrach. A w tym kimś poznał swoją pannę, swoją tancerkę z mamą.

Widok ten ukłół go w oczy, jak żądło żmiji, tak, że odwrócił się szybko, zacinając zęby dla stłumienia bólu.



---

Pijackie wycie w sali tanecznej, które dotąd odbywało się tylko podczas pauz, poczęło teraz towarzyszyć i muzyce samej, paraliżując ją, a nawet uniemożliwiając, nie siłą głosów, lecz uporem dysharmonji, która stopniowo zabijała wszelki rytm. Zamiast kołyszących się par zataczały się teraz na widowni wrzeszczące gromadki, które, dla podniecenia ociężalej odwagi, wymachiwały przez okno pięściami lub ochrypłym „fora” jakby wyzywały cały świat. Gdy dano upust temu rodzajowi zabawy, nastąpiła zmiana: Żywe obrazy znikły, natomiast z niewidzialnego wnętrza wyfruwały resztki jedzenia: skórki od sera, czubki kielbas, tłuszcz szynki, zrazu potrochu, niby zapowiedź, ale później jak obfity deszcz manny, wkońcu już razem z talerzami, które na dole rozbijały się z trzaskiem.

Karcące okrzyki, zarówno żalodne jak i pełne oburzenia, protestowały przeciw takim brudnym prowiantom, uciekano ogólnie z obrębu lepkich pocisków: poczem stary gospodarz, wymachując

rękami, podążył do sali, ale bez skutku i pożytku. — Wrzask ustał niespodzianie. Z babilońskiego zamętu skrzeczących głosów wyłoniła się teraz kłótnia, zmieszana z przekleństwami, poczem nastąpił odgłos grzmiących kroków. Przez jedno z okien widać było bryły chwiejących się postaci, otoczonych mglistym obłokiem oddechu i potu. Ręce, w pięść zaciśnięte, wywijaly w powietrzu, a odpychane od celu, wyciągały się z uporem ponownie, aż wreszcie pochwyciły upragnioną głowę nieprzyjacielską, którą następnie tłukły z przejęciem, bez szczególnego, jak się zdawało, skutku. Konrad zaś dziwił się niepomału, po jakim znaku w tym zamęcie można było rozróżnić czaszkę liberalną od konserwatywnej. Bryła cofała się, rozpraszała i powracała, pozostawała, powiększała się i spiętrzała. Jednocześnie rozwierały się drzwi, i z czarnej przepaści uciekały z wrzaskiem dziewczęta z podniesionemi w górę rękami, wzywając pomocy. Ale zaledwie wybiegły, tłoczyły się z powrotem, piskiem swoim powiększając hałas.

— Masz, czegoś chciał! — drwił Konrad z ojca.

— Nie trudź się bynajmniej, — odparł stary, piniąc się ze złości, że prawda odważyła się wykazać mu, iż nie miał słuszności. — Nie przeszkadzaj sobie, nie odrywaj się od swojej Jucundy.

Konrad wsunął zatem ręce do kieszeni, na znak, że go to wszystko nic nie obchodzi.

— Przydałaby się tu sikawka, — żartował wachmistrz. — Puścić tak pełny strumień w sam środek, — i roześmiał się głośno z zabawnego obrazu, jaki ujrzał w myśli.

— Dziękuję za zalew — odpowiedział Konrad. Straż ogniowa na placu, to kogut czerwony na dachu.

— Twój stary nie da sobie rady, — zauważył Leutolf, — traci zupełnie głowę. Może sobie, oszalały ze złości, tańczyć, jak wściekły z jednego okna do drugiego, nikt się tem nie wzruszy.

Konrad skinął głową potakująco.

— Byłbym bardzo rad, gdyby raz dostał porządną nauczkę; może wyleczyłaby go z tej bezbrzeżnej despotycznej zarozumiałości.

— Nie pozostanie nic innego, tylko ty będziesz musiał zająć jego stanowisko.

— Musi mnie najpierw o to poprosić: winien mi to zadośćuczynienie.

— Jak sobie chcesz. Tylko, żebyś wiedział, że jesteśmy pod ręką. A więc w razie czego, daj tylko znak... Zdjąć helm! zrzucić surdut! i zakasać rękawy koszuli! — rozkazał poufnie swoim strażakom.

Na ten widok pośpieszyli z różnych stron go-

towi do bójkki chłopcy, aby zasilić straż, młodzi wieśniacy miejscowi, nadto ten i ów z gości, tak, że niebawem Konrad ujrzał się na czele dobranej gromady, która narazie powstrzymywała się wprawdzie od działania, ale z trudnością hamowała niecierpliwość czynu.

Na lewo i na prawo najniecierpliwszi powłazili na stoły, aby lepiej widzieć poprzez murek. Raczycy się widokiem w milczeniu, oprócz Cathri, która, niby sędzia na igrzyskach, głośno obwieszczała wyrok.

— Mój ty Boże, — biadała pogardliwie, — jakie to marne chłopskie nasienie! ani to głosu, ani kości, ani pięści! Ani jednego dookoluteńku w całej wsi, któryby się ulitował i dokumentnie wziął ich za łeb. Boże Ty mój! gdyby tu był nasz Hans! Jak onby sałę wymiótł!

I zaśmiała się na całe gardło, ubawiona.

— Stulić pysk! — huknął Konrad. A po chwili dodał, marszcząc brwi:

— Są i tutaj ludzie tyleż warci co wasz Hans a może i więcej.

Na tarasie również ludzie śledzili z wyciężeniem przebieg kłótni, cofając się jednak, z powodu niebezpiecznego pobliża, ostrożnie na obie strony, tak, że na środku utworzyła się pustka. Do groźnego miejsca przykuwała ich głównie na-

dzieja pewnej dozy złośliwego zadowolenia, nie za małej, ale też i nie za dużej. Ale wobec tego, że piekielny hałas stawał się jednostajny, bez widoków rozstrzygnięcia, ujawnił się niebawem przesył, a wraz z przesyłem oburzenie: „Płacić!” wołał jakiś ojciec rodziny, otoczony wyleklemi kobietami. I w mgnieniu oka rozległo się ze wszystkich stron: „Płacić, płacić!”

— Siedzieć! Od czego macie siedzenie! — ryknął stary, nie posiadając się ze złości z powodu grożącej straty.

Kelnerki, jak nieprzytomne latały dookoła, usiłując zatrzymać uciekinierów, stary zaś już wchodził na schodki, prowadzące do sali, ale powstrzymali go Anna i doktor, w części perswazją, w części łagodną przemocą.

Większość gości dała się istotnie ubłagać; stali wprawdzie w kapeluszu na głowie, gotowi do ostatecznego odwrotu, płacili też tymczasem rachunki, nie opuszczali wszakże tarasu. Tylko, gdy podłoga w sali groźniej trzeszczała, gdy chwiejne ściany wyginały się niepokojąco, cofali się śpiesznie o parę łokci dalej.

\* \* \*

Nagle sala opróżniła się ze wszystkich kobiet, które z zapartym ze strachu oddechem uciekały,

jak gdyby je wilk gonił. Bezpośrednio za niemi wypadła z hałasem po schodkach fala walczących, i zalała obszerny taras, skąd w nagłej ucieczce rozbiegli się wszyscy najbliżsi, oniemieli ze strachu, dalsi z krótkimi okrzykami trwogi; większość w kierunku wsi, reszta poprzez murek. Ptaki zaś wśród drzew, zięby i sikory, źle sobie tłumacząc wrzawę, zaintonowały na wyścigi pieśń radosną, że omal im krtań nie pękła.

Raz, dwa, trzy, rozsypało się wszystko daleko wokół, jak pudełko igieł, tak, że gdy oprzytomnieli, każdy znalazł się w innym miejscu niż przypuszczał. Nawoływano się wzajemnie, rozglądano, spostrzegano nowych sąsiadów. Poczem nastąpiło sortowanie; tchórzliwa część gości, między nimi większość mieszczan i prawie wszystkie kobiety, wyniosła się do siedzib spokojniejszych, reszta pozostała i współdziałała życzliwie, jak gdyby należała do rodziny gospodarza z „Pod pawia.”

Tylko ci na łące wytrwali niezachwianie. Teraz zerwał się Konrad z rozwartemi ramionami. Anna bowiem, pędem samozachowawczym porwana niespodzianie, opuściła niebacznie ojca i skoczyła z muru na stół, po którym uniósłszy spódnice, przebiegła zwinnie, jak wiewiórka, przyczem nie przewróciła ani jednego naczynia, dzięki drobnym stopom i doskonałemu wzrokowi. Pochwycona

po przeciwległej stronie stołu w objęcia brata, spojrziała dokoła i roześmiała się nerwowo. Zgóry ścigał ją doktor zaniepokojonem spojrzeniem, w obawie, czy nie stała jej się jaka krzywda.

Stary, uwolniony teraz od wszelkich przeszkód, postanowił skorzystać ze swobody, by wypróbowaną tylokrotnie siłą fizyczną przywrócić powagę swoją i władzę. Zaledwie wszakże wpadł w ciżbę, już się potoczył, przypadkowym pchnięciem odrzucony, padł ociężałe na ziemię, wstał z trudnością, ale znikł ponownie w tłoku i potoczył się powtórnie.

— Jezu! Jezu! Na pomoc ojcu! — wrzasnęła Anna i jednym susem przesadziła mur, zanim się kto spostrzegł.

— Dubeltówkę! — dyszał stary w bezsilnej wściekłości. — Portjer! dubeltówkę, powystrzeżam to, jak wróble!

Teraz Konrad zlustrował towarzyszków.

— Zaczynamy? — spytał, a oczy jego gorzały.

— Naprzód! — zagrzmiała odpowiedź i młoda gromada rzuciła się za róg muru, szeregiem, niby sprawny hufiec w biegu popisowym. Konrad na przodzie dawał im w drodze przestrogi i wskazówki.

— Zawsze w kilku jednocześnie wziąć jednego na cel, odłączyć i wypchnąć z tłumu, a nie każdy

naoślep, na swoją rękę. Nie przychodzimy przecie jako wrogowie, tylko jako ludzie rozważni, w imię pokoju, potrzeba nam więc porządku i rozważi. Co leży na ziemi, tego nie ruszać! a przede wszystkim żadnego uderzenia bez koniecznej potrzeby.

Gdy mijali drwalnię, wachmistrz sięgnął ukradkiem po krokiew. Ale Cathri uprzedziła go gorączkowym ruchem.

— Nic z tego, — rzekła rozważnie i chwyciła go za rękę.

Konrad odwrócił się:

— Tylko bez pałek, — zakazał karcącym tonem, — czyś ty oszalał?

— Bez pałek, — zagrzmiało hasło.

Poczem, dotarłszy do celu: — Najpierw zrobić porządek z ojcem, — upominał Konrad. — Zabrać go do domu, drzwi zaryglować!

A gdy główna armja niezwłocznie rzuciła się w bój, popędził z przednią strażą ku staremu.

Anna zagroziła mu drogę, wyciągając ręce do obrony, jak wójt Wenge, albowiem źle rozumiała gorączkowe natarcie.

— No, no! — zawołał Konrad, — to ty mi przypisujesz takie szatańskie zamysły?

Ustąpiła pokornie, zawstydzona.

Konrad tymczasem objął ojca silnem ramieniem



— Pójdź, ojcie — upominał łagodnie, — taka bijatyka już nie dla ciebie, — i usiłował go odsunąć.

Wszakże skoro stary uczuł mocną rękę, opierał się, jakgdyby go prowadzono na stracenie.

— Tak to obchodzą się ze mną, — jęczał. — Nie możecie poczekać, aż będę na dobre leżał na marach? Chcecie mnie żywcem pogrzebać?

— Na ramiona! — zakomenderował Konrad. Pochwycili go i wnieśli szybko do sieni. — Anno, pilnuj go, żeby nie zrobił jakiego głupstwa, — zawołał. — Schowaj strzelbę; nie wypuszczaj go przez okno. — Wepchnął siostrę za ojcem, trzasnął drzwiami i chciał je zaryglować. Ale drzwi zamykały się od wewnątrz. Postawił tedy na straży dwóch ludzi, do których przyłączył się doktor.

— Mogę być potrzebny, — mruknął, potrząsając głową. — Zewnątrz albo wewnątrz; nikt nie wie, gdzie i komu.

Gdy Konrad obejrzał się za towarzyszami, scena się zmieniła. Tam, gdzie przed chwilą szalała jeszcze zażarta walka na pięści, odbywała się teraz niewinna utarczka na języki; zamiast wrzącego tłumu kipiały teraz liczne pojedyncze gromadki, każda zaś otoczona była kłócącymi się albo odpędzającymi dziewczętami, które ubiegały się o spokój, jak aniołowie o biedną duszę. Rezerwiści,

Bóg wie jak i skąd przybyli, dopomagali im gorliwie, poskramiając nieokiełznanych, powstrzymując powracających, wahających się usuwając z widowni. Strażacy znikli. Dokąd? Niewątpliwie podążyli do sali, bo tam szalała bijatyka jak djabeł w święconej wodzie.

I rzeczywiście, bo oto już Waggingeńczycy, niewidzialnymi rękami ciskani, zlatywali ze schodków, jeden po drugim, jak paczki w oddziale przesyłek pocztowych. Trzej pierwsi wywrócili koziółka i powstałi, czwarty spadł na głowę, żadnego nie ponosząc szwanku, piąty jednak leżał, jęcząc i nie mógł się podnieść, tak, że doktor długimi skokami podążył na pomoc.

Wówczas ogarnął Konrada gniew, słuszny gniew oburzenia na niepotrzebną brutalność; przebiegł błyskawicznie przez plac, przeciwstawił z zawziętą siłą postać swoją jakby mur, chroniąc pokonanych przed upadkiem i odrzucając ich znowu jako tarany przeciw zwycięzcom. Cały ruch narazie uległ zahamowaniu skutkiem tego, gdyż chłopci wyrzucani z wewnątrz, a na zewnątrz odbijając się od Konrada, jak fale morskie od brzegu, wzi ci zostali mi dzy dwie, niweczące się wzajemnie siły; lecz skoro tylko udało się Konrowi schwytać prawą framugę drzwi, opór jego brał zawsze górę, a gdy miał już i lewą framugę, pchał

nagłym naporem tę ludzką lawinę przed sobą, z powrotem do sali.

Wachmistrz był pierwszy, który mu się nawinął. Schwycił go za gardło i potrząsał nim gwałtownie, pragnąc mu dać nauczkę za nieobyczajne postępowanie. Ten zaś znosił łajanie z jagnięcą pokorą, wpatrzony rozmiłowanym wzrokiem w przyjaciela, zwracając ku niemu brodatą twarz z wyrazem skargi męczeńskiej.

Poczem Konrad, wyciągając właśnie rękę po drugiego szaleńca, ujrzał, jak obca horda gospodarowała w sali tanecznej, niby bydło rogate w stajni, przewracała meble, rozbijała szyby i zwierciadła. Gniew, spowodowany wybrykiem przyjaciela, ustąpił miejsca rozgoryczeniu przeciw intruzowi, rozgoryczeniu właściciela przeciw zuchwałemu naruszeniu spokoju domowego. Albowiem tutaj, w swoich ścianach, uważał się za zastępcę ojca, szlachetnie pomijając wszelkie niesnaski.

— Cicho! — wrzasnął całym wysiłkiem płuc przecinając wrzawę. — Tutaj nie karczma; „Pod pawiem” w Herrlisdorfie nie miejsce na bijatyki!

A ponieważ bójka nie ustawała, jakgdyby to bąknął pokorny stróż gminny, nie zaś on, syn gospodarza z „Pod pawia” we własnej osobie nakazał spokój, porwała go pasja, przyczem wydarł

mu się niezrozumiały okrzyk, zagłuszony hałasem. Hałas ten wszakże był taki zwierzęcy, tak dalece obrażał uszy i zdrowy rozsądek, że wściekłość Konrada przeszła w szał. Jak dzikie zwierzę ryknął na skłębioną, bijącą się bandę, w części, żeby ich przekrzyczeć, w części, żeby się nie udusić.

W tej chwili zabrzączał pająk, ugodzony, strzaskany ciężkiem drewnem, nowy kosztowny pająk, który ojciec nabył w grudniu za duży pieniądz, na cześć balu związku oficerskiego; donośny dźwięk szkła przebiegł po jego nerwach, jak iglica po granacie, a rozpętana nienawiść rozprężyła jego mięśnie do ataku; skoczył prosto w ciżbę pod pająkiem, popychając zarówno przyjaciela, jak i wroga. Do pierwszego, którego ujrzał wywijającego nogą o krzesła, podbiegł ze schylonym karkiem i, napadając nań, jednocześnie palnął go dłonią w twarz, duży palec pakując mu w usta, a inne w oczodoły — jak to widział dawnemi laty u ojca — i przewrócił go nagłem uderzeniem tak, że tamten zwałił się, jak przerażona jodła, porywając za sobą tych, co za nim szli. Poczem nie troszcząc się o niego, rzucił się niezwłocznie na drugiego, który, wymachując pulpitem do nut, strącił znów z pająka deszcz kawalków szkła. Tego opasał Konrad wpół, podniósł z ziemi,

pochwycił jedną ręką za pierś, drugą zaś za pasek spodni, i wirował nim nad głową w powietrzu. Przyczem błękitna jasność nieba, wpadająca przez otwarte okno, uderzyła jego oczy i, posłuszny nagłemu natchnieniu, wyrzucił na łeb przeciwnika, wraz z ramą okienną, której ten się uczepił.

— Dawać tu koldry i poduszki! — wrzasnął na dworzu głos Cathri.

Raz zacząwszy, wysłał Konrad drugiego przez ten sam otwór, a później, z pomocą Leutolfa i wachmistrza, trzeciego, czwartego i piątego. Poczem wszakże zatrzymało się zwycięstwo i rozpętała się zacięta bójka. Waggingeńczycy bowiem, otrząsnąwszy się z chwilowego osłupienia, widokiem Waldishofczyków wytrzeźwieni i niebezpieczeństwem zuchwałych rzutów wystraszeni, oparli się rozpaczliwie wspólnemu przeciwnikowi. Ucichły zbyteczne przekleństwa, słychać było tylko ciężki dech płuc, tupot nóg, bicie pięści.

Wtem Leutolf, osłaniając Konrada od ciosu z boku wymierzonego, drgnął gwałtownie w tył i chwycił się za policzek. Bezpośrednio potem huknęły dwa strzały rewolwerowe, zagrzmiały pojedynczo w sali i potoczyły się wspólnie wzdłuż ścian, aż wreszcie przebrzmiały w zakątkach.

I nastąpiła cisza, jakby w zatrzymanym młynie, a groza połączyła przyjaciół i wrogów.

— Kto tam strzela? — wybiegło nareszcie nieśmiało z gromady chłopów.

— Ja, — wyznał wściekłym tonem wachmistrz, poczem Leutolf wyrwał mu rewolwer.

— Nie strzela się do ludzi, jak do kuropatw, — protestowali Waggingeńczycy.

— Nie kłuje się nożem, — pienił się wachmistrz.

— Myśmy nie kłuli.

— A kto, jeśli nie wy, — zawołał wachmistrz i wskazał policzek Leutolfa, naznaczony wążiutką czerwoną kreską od oka do podbródka i krwawiący obficie.

— To nic, — uspokajał Leutolf ze śmiechem, gdy Konrad z przerażeniem spojrział na krew; — tylko zadraśnięcie. Ale złej woli nie brakło! I to było do ciebie wymierzone.

Na dworzu zaś odzywały się przeciągłe trwożliwe wrzaski.

— W kogo trafił? Czy kto zabity?

— W kogo trafił? — powtórzyło kilka głosów jednocześnie.

Oczy wszystkich krążyły pytająco dokoła i spotykały wszędzie inne pytające spojrzenia.

— Nikt, — odezwał się nareszcie nieśmiały głos. — Nikt, — potwierdzono ze wszystkich stron.

— Nikt, — zabrzmiała stanowcza odpowiedź z sali na taras.

Ucichły tedy trwożne krzyki i radosne echo poniosło w dal wieść pocieszającą. Ale w oknach ukazała się znów niejedna głowa, by tym, którzy stali poniżej, donieść o dalszym przebiegu.

Przez chwilę tłum trwał jeszcze w sali, oszołomiony. Wkońcu wyszedł na środek orędownik Waggingeńczyków — tych z górnego — okrągły, słodko uśmiechnięty. Zatarł z zakłopotaniem ręce i zaczął, pełnym namaszczenia tonem:

— Ponieważ miłosierny palec boży uchronił nas od niesłychanego nieszczęścia, przeto, czyż nie jest to wskazówką, że należy zawrzeć pokój? Do czcigodnego pana Rebera nie mamy i tak ani krzty urazy. Nie żądamy nic innego, tylko, żeby nam pozwolono odejść w spokoju, tak jakieśmy przyszli.

— A nóż? — warknął wachmistrz.

— Za pożałowania godny czyn jednostki czynić odpowiedzialnym ogół byłoby stanowczo niesłusznem uroszczeniem.

— To wydajcie nam nożownika, a potem was wypuścimy.

— Moglibyśmy takim samem prawem zażądać od was wydania tego, co strzelał z rewolweru.

Waldishofczycy roześmieli się szyderczo.

— Spróbujcie! — zawołał jeden. A drugi:

— To co innego, strzał był tylko odpowiedzią na nóż.

Wszelako Konrad nakazał milczenie:

— Nie stanie mu się najmniejsza krzywda,  
— zapewniał, — jeżeli się zgłosi dobrowolnie.

Orędownik powiódł dokoła pytającym wzrokiem, ale nikt nie drgnął.

— Zrewidować kieszenie, — orzekł jeden ze strażaków.

Zaledwie to wymówił, zsunęły się na ziemię liczne noże.

— Patrzcie, jacy to obłudnicy, — pinił się Konrad z drwiącym śmiechem, wskazując polyskujące ostrza. — Dalej więc, broń przeciw broni; niech każdy bierze co znajdzie. I walić, tym razem bez litości.

Nastąpił zgiełkliwy tupot niezliczonych nóg, obie armje cofały się śpiesznie do zbiórki: chłopci, by zwartym tłumem oczekiwać ataku, czuli bowiem, że są słabsi, jakkolwiek liczbą mniejwięcej równi, — Waldishofczycy, by się bronić i uderzyć jednocześnie.

Wtem odezwał się z tarasu miękki, tkliwy głos Anny.

— Konradzie, pomyśl o naszej matce! Nie przelewaj krwi i oszczędzaj własną!



Głos ten wpadł w zgiełk, jak dźwięk organów do rozdartej duszy.

— Konradzie, bądź dobry, — upominała znów siostra.

Konrad był wzruszony.

— Leutolf, ty decyduj, — rzekł głucho, — ty jesteś raniony.

Leutolf jednak przekazał decyzję jemu.

— Cios był dla ciebie przeznaczony, ty więc winienesz wydać wyrok.

Konrad namyślał się.

— Dobrze zatem, — oznajmił, — proponuję pokój pod warunkiem, że każdy wyraźnie i głośno wypowie słowa: „Kto kłuje nożem, jest nikczemnym lajdakiem.” Teraz wybierajcie.

Waggingeńczycy zaszemrali, ale nie mogli przytoczyć słusznego zarzutu. Ponieważ zaś strach przemawiał do nich przekonywająco, przeto przyjęli wkońcu w milczeniu hańbiący układ.

— Przecież każdy, kto jest niewinny, może się do tych słów przyznać, — zachęcał orędownik.

Waldishofczycy utworzyli tedy przejście do drzwi, jakby do biegu przez różgi, przez które Waggingeńczycy dążyli pojedynczo do wyjścia, nakazane słowa wymawiając z podniesioną ręką, na wyraźny rozkaz. Kto się nadmiernie śpieszył,

był zatrzymywany, kto mruzczał niezrozumiale, musiał niemiłe wyrazy powtarzać. Szli posępni, jakgdyby pod jarzmem, Waldishofczycy zaś wpadali w coraz lepszy humor, coraz weselej z nich drwinkowali.

Naraz rozległ się głośny śmiech, Brygida, otumaniona przez Amora, ukazała się za młodym wioskowym fircykiem, którego trzymała za poły, by go nie utracić.

— Oho, patrzcie, zdrajczyni! — groził Konrad ubawiony. Ona zaś, rozwścieczona jak żmija, pokazała mu język, jako że był to mniej więcej jedyny sposób, w jaki umiała się nim posługiwać.

Gdy przeciskał się dżdżownik, jeden z ostatnich, Konrad z jego uciekających spojrzeń wyczytał winę.

— Spójrz mi w oczy, ty łajdaku, jeżeli masz odwagę, — rozkazał pogardliwie. Gdy wszakże tamten, nie podnosząc wzroku, przyśpieszył kroku, puścił go bezkarnie. Wszakże teraz wachmistrz schwytał dżdżownika za gardło:

— Niech mnie diabli porwą, — krzyczał, — jeżeli ten łotr od noża, którego wziąłem na cel, to nie ty!

Konrad wszakże stanął energicznie do obrony.

— Skoro zaproponowałem wszystkim pokój, zapewniłem też każdemu bezpieczeństwo.

I, wespól z Leutolfem, odepchnął wachmistrza. Dźdźownik został zatem uratowany, jakkolwiek najeżyły się dokoła niego pięści, tak, że posuwał się naprzód zwolna, a przy każdym ruchu natrafiał na twardą kostkę podstawionej nogi; słowa samopotępienia musiał oczywiście, jako pokutę, powtarzać ciągle nanowo, a nadto pozwalać na poniżające przezwiska, na osobiste wycieczki i cytaty z dziejów swego życia.

— To Michał Matthiesen z dolnego Wagginu, dość powiedzieć; każdy odrazu wie, że to ze wszystkich złych psów pies najgorszy.

— Ma już życie ludzkie na sumieniu; gdyby nie był wówczas za młody, siedziałby teraz w dożywotniem więzieniu.

— To jeszcze nie najgorsze! Pod groźbą noża wymusił od matki pieniądze!

— A część spadku, o którą oszukał bezbronną siostrę idjotkę!

— Dosyć! — zawołał Konrad i, wzięwszy za rękę Michała Matthiesena, doprowadził go do drzwi, osłaniając dygocącego własną postacią.

Poczem zwolniono niewielu pozostałych od wypowiedzenia nakazanych wyrazów.

— Może się który jeszcze ukrywa, co? — spytał Konrad, rozglądając się bacznie po sali.

Wtem wygramolił się z pod estrady mały na-

uczyciel wiejski z górnego Waggingenu i żałośnie wzywając ratunku, wyskoczył przez okno.

— A my? — zapytali muzykanci z kwaśnym uśmiechem. — Czy i my musimy się spowiadać?

Konrad uśmiechnął się, poczem odeszli śpiesznie, unosząc ze sobą instrumenty.

— Za nimi! — wezwał Leutolf. — Wpędzić ich w dolinę!

I gromada zwycięzców wybiegła rozradowana.

\* \* \*

Konrad pozostał, chcąc dokładnie obejrzeć spustoszenie, jak w siebie wmawiał, istotnie zaś dlatego, że nie chciał jeszcze opuścić zdobytego pola bitwy. Tutaj nareszcie panował, tutaj po raz pierwszy w życiu miał w ręku rządu domowe. A teraz, niestety, skończyło się jego panowanie. Szkoda! tak wcześnie! zanim zaczęło się na dobre.

Wogóle nie był jeszcze nasycony, brakło głównego uderzenia, wzburzone fale walki osiadły na mieliźnie pokoju. Oczywiście siostra chciała jak najlepiej, i stało się w każdym razie rozsądniej; tak, z pewnością. I słuszniej także. W przeciwnym razie byłby może teraz splamiony winą i dręczyłaby go skrucha. Jednakże jeszcze jedno porządne natarcie przyniosłoby mu ulgę.

Nieba, jakże tu wygląda dokoła! Estrada strzaskana, ławki popękane, pajak w kawalkach, nawet piec uszkodzili! Gospodarowali jak dzikie świny! Dobrze, że nie widział tego wcześniej! Kto wie, czy byłby ich tak łatwo ulaskawił!

Stanął w oknie, łudząc się nadzieją, że może uda się jeszcze wpakować dokładkę. Ale ucieczka i pościg staczały się już po zboczach, zamieniając się na dole na niewinny wyścig. Obok, w polu, szczupłe grono spóźnionych i biegnących bezładnie; w górze pod gruszą gniazdo rozkoszujących się z zajęczą przebiegłością pościgiem w ukryciu — z tamtej strony przy winnicy orędownik waggingeński, kroczący swobodnie i ślący powitania dobrodusznie, jakgdyby go cała sprawa nic nie obchodziła, poczem nagle olbrzymiemi krokami sekundanta znikający w winnicy — w trawie, na najbardziej stromym zboczach, nauczycielątko, zwinne, jak piłka gumowa, poruszające łokciami niby skrzydłami i wydające mordercze okrzyki z radości nad uratowaniem młodego życia. Tu już nie było nic do roboty.

Cofnął się w głąb sali, wzburzony i nienasycony, jak pies, któremu przedwcześnie odebrano miskę, i naraz dobiegł go zdaleka ale wyraźnie wrzask i zawrodo ojca. Drgnął, jakgdyby pękła pod nim mina. I za każdym nowym odgłosem

krzyków ojcowskich, jaki go dochodził, drgał nerwowo.

„Teraz albo nigdy”, warknął „teraz musi się zdecydować”, i wybiegł gwałtownie.

Czerwonozłoty blask olśnił jego oko, radosne okrzyki uznania uderzyły jego ucho. Ale ostrym zarysem, jak w metalu wymodelowane, odcinało się w blasku popiersie Cathri, jakgdyby stała bezpośrednio przed nim. Skoczył w bok i wstrząsnął rękoma.

— Niech no się tu wasz Hans pokaże, jeżeli się odważy.

Tym razem uciekła, z lękiem w oczach, jakkolwiek mur ludzi ochraniał ją od niego. Ale to było tylko tak, mimochodem. Pędził teraz ku domowi; usta miał otwarte, a język mu się rozwiązał, nie krępowało mu już bowiem krtani zastanowienie.

— A teraz, ojcze, mamy ze sobą do pomówienia. Milczałem dosyć długo, ale teraz powiedzieć muszę, i to tak, żeby cały świat usłyszał. Życie, zapowiadam ci, życie, jakie dotychczas znosiłem, skończyło się dzisiaj. Nie chcę dłużej być nieletnim smarkaczem, którego strofują, na którego krzyczą, któremu prawią morały, maltretowanym parobkiem, który musi znosić humory. Żądam w domu takiego stanowiska, jakie należy

się synowi, kąta w domostwie, gdzie będę gospodarował według własnego uznania, gdzie mi się nikt nie będzie sprzeciwiał, gdzie nikomu nie będę obowiązany zdawać sprawy, słowem, gdzie ja będę rozkazywał.

— Rozkazuj, rozkazuj, — krzyczał ojciec, — przecież ty teraz jesteś panem, jak się zdaje, ja już oddawna nic nie znaczę.

— Albo ty zatrzymasz gospodę, a ja wezmę grunt, albo ja obejmę gospodę, a ty grunt.

— Weźże, weź sobie, — mówił płaczliwie stary, — jeżeli już nie możesz doczekać się mojej śmierci. Weź wszystko.

— Nie żądam bynajmniej wszystkiego, chcę tylko tej części, która mi się słusznie należy, żeby mnie ludzie szanowali, żebym miał spokój, żebym mógł cieszyć się życiem i śmiać się, żebym nie musiał przy każdym kęsie dławić się złością. Albo ty z matką przeprowadzisz się na piętro, a ja będę mieszkał na dole, albo przeciwnie, ty na dole, a ja na górze.

— Przecież ja mogę mieszkać z matką w stajni przy koniach, to cię będzie mniej kosztowało. Przecież do umierania nie potrzeba nam nic więcej tylko wiązki słomy.

— Z takiego haniebnego potwarczego gadania nic mi nie przyjdzie. Żądam rozsądnej, obowią-

zującej odpowiedzi. I to natychmiastowej. Dasz odpowiedź, czy nie?

Życzliwy pomruk tłumu poparł jego żądanie, tak, że stary zrozumiał, iż stoi wobec jednogłośnej opinii publicznej. Posłał jadowite spojrzenie w zgromadzony dokoła tłum, zagryzł, sapiąc, sine wargi, splunął kilkakrotnie i, nie przemówiwszy słowa, cofnął się w głąb izby.

A wtedy szal zamroczył rozum Konradowi.

— Dobrze więc, — krzyknął za ojcem, — odchodzę, i nikt mnie już tu nie zobaczy. I to natychmiast, ani godziny dłużej nie zostanę w tym niesprawiedliwym, swarliwym domu.

Szmerem oburzenia przyjęli zgromadzeni to oświadczenie. Niektórzy usiłowali ułagodzić Konrada, inni weszli do domu, żeby przemówić do starego. Anna, którą ściągnęła groźna scena, rzuciła się, płacząc, bratu na szyję.

— Konradzie, — błagała.

Wyrwał się. — Żegnam cię, ojcze, — zawołał grzmiącym głosem, — nie zobaczysz mnie już nigdy. Pozdrów matkę.

Oburzenie wybuchło ponownie. Gdziekolwiek się zwrócił, powstrzymywano go przyjaźnie, otaczano, nie przepuszczano.

Wtem ojciec niespostrzeżenie rzucił się do okna, jak dzikie zwierzę.



— Tak, tak, tak, a więc dobrze, — ryczał, gestykując, jak gdyby coś wyrzucał.

Westchnienie ulgi uleciało z szeregów, albowiem wstrząsające wypadki zjednoczyły wszystkich obecnych z rodziną.

Konrad zaś stanowczym krokiem zbliżył się do ojca.

— Czy taka jest twoja istotna, prawdziwa wola?

— Tak, tak, tak, — powtórzył stary podrażniony, kiwając głową.

— Podajcie sobie ręce, — wołano z tłumu.

— Niech i tak będzie, — zgodził się Konrad, — daj mi rękę na zgodę, — i wyciągnął dłoń. Stary zachnął się, jak gdyby miał sięgnąć w gniazdo żmij. Wkońcu przemógł się jednak i takim gwałtownym ruchem sięgnął po dłoń syna, że za ledwie jej dotknął, już ją odepchnął.

— Grunt, czy gospodę?

Stary dyszał ciężko; nareszcie ostatnim konwulsyjnym wysiłkiem wyrzucił ręce nad głowę.

— Wszystko! — wykrztusił i znikł wyczerpany.

— Słyszeliście, jesteście świadkami, — rzekł Konrad, zwracając się do tłumu. Poczem oparł się oburącz na gzymsie i przemówił uroczyście do starego w pokoju:

— Ojcie, nie pożałujecie. Przysięgam wam święcie. Odtąd będziecie mieli we mnie wiernego, wdzięcznego syna, który wam i matce niczego nie poskąpi. I Bóg da, że odtąd spokój i zgoda panować będą „Pod pawiem.”

Teraz uczuł, że siostra objęła go serdecznym uściskiem i ucałował ją, wzruszony do głębi.

Poczem umysł jego zdrętwiał. Spóźnione przerażenie własnym zuchwalstwem tłumilo jeszcze świadomość odniesionego zwycięstwa. Obecni również stali w oszołomieniu. Dokoła panowało zakłopotanie, wywołane zatamowaniem myśli, wobec nagłego, brzemiennego w skutki zwrotu losu. Służba z przyzwyczajenia sprzątała z ziemi materace, poduszki, strzępy odzieży, kapelusze i skorupy i wszystko, co dokoła leżało, — pracowała celowo, chociaż nieświadomie. Pokornie, z wdzięcznością i powinszowaniem w spojrzeniu, zbliżyli się muzykanci, nie wypowiedzieli jednak tego, co powiedzieć zamierzali. Waldishofczycy, wracający właśnie z hałasem, ze śpiewem i przechwałkami z pościgu, ucichli wobec tajemniczego milczenia.

— Konradzie, co tu zaszło? — szepnął Leutolf. Konrad nie odpowiedział, a ponieważ ujrzał właśnie skręcającego za róg doktora ze znużonym wyrazem twarzy człowieka, który

wypoczywa po pracy, przeto podążył śpiesznie ku niemu.

— Cóż tam słyhać? — dowiadywał się z niepokojem. — Chyba nikt nie ranny poważniej?

Doktór zmrużył jedno oko a drugim mrugnął, zanim raczył się wypowiedzieć.

— Możesz dziękować Bogu, że wszystko tak pomyślnie minęło, a raczej Bernence, która ka-zała przynieść kołdry. Inaczej nie byłoby się tak szczęśliwie skończyło. Z tych, którzy wylecieli przez okno, żaden nie poniósł najmniejszego szwanku, bywają na szczęście niekiedy takie cuda; natomiast z pierwszej partji, która zleciała ze schodków, jeden leży. — Poczem przelknął ślinę: — Łagodne złamanie kości biodrowej, — mruknął niewyraźnie.

Konrad nie wiedział, czy ma się radować z „łagodności”, czy martwić złamaniem kości biodrowej.

— Gdzie leży? — spytał.

— Założyliśmy mu tymczasem opatrunek w stodole.

— Kto go dogląda?

— Lisbeth i Brygida, — co rzekłszy, doktor podążył do domu.

Poczem zrobiło się znowu cicho, tak cicho, że odgłos dzwonu wieży kościelnej, który przy-

padkiem właśnie teraz wydzwaniał godziny, podział jak doniosłe wydarzenie. Automatycznie liczył każdy „raz, — dwa, — — siedem,” brzmiał koniec. „Co? już siódma godzina?” pytał zdziwiony tłum, chociaż nikt nie wiedział, dlaczego się dziwi.

Każdy odczuwał, że coś dodatkowego jeszcze stać się musi, bądź dlatego, żeby dopełnić wydarzenie poprzednie, bądź, żeby je unicestwić.

Wtem z wnętrza izby dobiegł wrzaskliwy głos starego gospodarza:

— Czego stoicie i wytrzeszczacie ślepie, jak barany! Każ przynajmniej podać co pić swoim ludziom. Zasłużyli uczciwie na kieliszek.

Konrad odetchnął.

— A jakiego wina? — spytał posłusznym tonem.

— Poco mnie pytasz, gamoniu? Przecież ty rządysz tu teraz. — I pęk kluczy padł do stóp Konrada.

\* \* \*

Teraz odrętwienie znikło, naprężenie prysło.

Wszyscy tłoczyli się do Konrada, by mu winszować zdobytej nareszcie władzy.

„A więc odtąd jesteście gospodarzem „Pod pawiem!” Życzę wam zdrowia i długiego życia, niech wam się dobrze dzieje.”

„A ja zacnej, dzielnej żony.” „I ja też pozwolę sobie powinszować wam z całego serca.” I wysuwały się niezliczone dłonie, dłonie wszelkiej wielkości i wszelkiego gatunku, — nie wiedział wcale, którą pierwszej chwytać. Jedna potrząsała jego prawicą, druga ją ścisnęła i gniotła; niektórzy omal nie wywichnęli mu ręki w ramieniu, niejeden znów składał tylko nieśmiało palce na jego dłoni, oczekując zezwolenia na uścisk. Wachmistrz zaś obił go w przyjaznem uniesieniu.

„Pan gospodarz”, uśmiechały się kelnerki, nawpół bojaźliwie, napoły poufale, a wzrok ich prosił o przebaczenie za winy dawne, o pobłażliwość dla przewinień przyszłych.

A co uczynił Konrad? Uściskał każdą. Naprawdę uściskał. I nie wstydził się i nie żałował.

Józefina wszakże, zamierzając podać mu rękę, promieniająca i uśmiechnięta, rzuciła się na krzesło i potok polał się z jej oczu.

— Ja tak wam życzę z całego serca, — mówiła żalnym głosem i niepodobna było jej utulić.

Ze wszystkich stron rozbrzmiewało radosnym dźwiękiem jego imię, niby alleluja na kantonalnej uroczystości śpiewaczej, ów rzeczownik, który ze wszystkich wyrazów mowy najmiłszy jest człowiekowi, gdy wypowiedzą go usta przyjazne. I istotnie wszyscy byli mu prawdziwymi przyja-

ciółmi, wszyscy, bez różnicy, którzy go teraz otaczali, zarówno znajomi jak nieznajomi; odczuwał to z ciepłego tonu, z życzliwego spojrzenia. Skąd spadło na niego, wczoraj jeszcze osamotnionego, nagle tyle łaski? Niby lśniąca kometa ze świetlanym ogonem, zabłysło w nim przeczucie, że powodzenie wytwarza szacunek i że sława rodzi przyjaciół za każdym krzakiem przydrożnym. — Na każdy pojedynczy hołd odpowiadał wzruszony, bez różnicy stanu lub osoby. — Był szczęśliwy, w całym tego słowa znaczeniu. Mimowoli mięśnie jego naprężyły się większą siłą. Ogarnęło go szczytne poczucie kipiącej młodości i zdrowia, zupełnie jak gdyby darzyła go pieśczętą surowa Natura we własnej osobie. A kto jest w zgodzie z Naturą, temu się dobrze dzieje. Konrad byłby mógł w tej chwili całemu piekłu rzucić wyzwanie.

— Anno, — szepnął siostrze, podając jej pęk kluczy, — każ przynieść najlepszego, *chianti*, wiesz, dla wszystkich jednakowego. I byle nie skąpić!

„Pan i władca”, szepnął do siebie, oglądając się, by się upewnić, że to rzeczywistość. Więcej umysł jego nie zdołał objąć narazie; wzruszenie było bowiem zbyt silne; zewnątrz dokoła niego świat puścił się w płąsy, a wewnątrz wtórowała im jego dusza.

Gdy Anna wróciła z orszakiem kelnerek, obładowanych beczułkami i butelkami, wziął ją na stronę.

— Powiedz ojcu, że proszę go jak najuprzejmiej, żeby nam zrobił ten zaszczyt i zechciał się trącić z nami.

Anna poszła do ojca, chociaż wątpiła o przychylniej odpowiedzi. Istotnie brzmiała odmownie, jakkolwiek nie wrogo. Ojciec każe dziękować, powtórzyła, ale jest dzisiaj za bardzo zmęczony i wyczerpany.

— W tym stanie nie możesz się dłużej pokazywać, — dodała skwapliwie. — Idź prędko, umyj się i przebierz.

— Ba! — odparł obojętnie, — stan wojenny jest także stanem. Wyglądam zupełnie tak samojak moi koledzy. Nie mamy powodu wstydzić się wzajemnie przed sobą.

— Za pozwoleniem, — odparła, — twoi koledzy tak jednak nie wyglądają — i wskazała jego prawy rękaw, który dyndał jeszcze tylko na strzępie.

Roześmiał się. — No, to przyniēs stary mundur, który pokryje wszelkie braki... Co robi matka? Jeszcze nie wróciła do domu? Czy wie już? Co też powie? Postaraj się, żebyś ty najpierw oznajmiła jej co tu zaszło; ty umiesz tak

wszystko przedstawić, że nie będzie fałszywie rozumiane. Powiedz jej, żeby się nie martwiła. Będzie jej u mnie dobrze, zarówno jej, jak i ojcu, tak dobrze jak królowi i królowej w bajce. Powiedz jej to.

\* \* \*

Niebawem zadźwięczały puhary i zahuczała uczta. Trącano się kieliszkami, wychylano zdrowia, opowiadano dowcipy, a chcąc zakosztować powtórnie rozkoszy zaszczytnego zwycięstwa, przytaczano pojedyncze zajścia w sali tanecznej, które, oceniane pod kątem wesołego nastroju biesiadnego, działały komicznie. — Konrad chodził od jednego do drugiego, maczał usta w niejednym kieliszku, niejednego poklepał po ramieniu, ścisnął powtórnie dłoń każdemu ze swoich Waldishofczyków.

— Hóla, muzykanci, przysiądźcie się do nas! Kto dzisiaj nie jest ze mną, ten mnie obraża.

— Powinniby nam co zagrać, — zauważyła śmiało Józefina.

Pomysł jej zyskał ogólne poparcie, poczem muzykanci wydobyli powoli swój skrzypiący oręż, na sam widok którego nastrój odświętny podniósł się o oktawę, w przeczuciu spodziewanej harmonijnej wrzawy.

\* \* \*



„No, Cathri, gdzież podział się djabeł, który siedział na dachu,” miał Konrad na języku i obejrzał się za dziewczyną. Nie było jej nigdzie w pobliżu. Teraz dopiero przypomniał sobie, że znikła już od pewnego czasu, że brakło jej nawet, gdy mu winszowali. Wzrok jego szukał jej ze zdumieniem w coraz dalszym promieniu. Wreszcie odnalazł ją pod halą kręgielni, gdzie siedziała na ławce, oparta plecami, z dłońmi złożonemi na kolanach jak do fotografii, oczy zaś skierowała na niego, jak strzał na cel. Gdy na nią spojrział, wzrok jej niezwłocznie uciekł w bok, ale gdy znów na nią rzucił okiem, widział, że była ponownie weń wpatrzona. Jakaś słodycz, sprzeczna z jej dotychczasową kamienną szorstkością, uduchowiła jej postać, i Konrad pojął naraz, że ta słodycz jemu się należy, jemu wyłącznie. Jak rakietą strzeliło mu to z serca do głowy. Przełknął kieliszek wina i podążył prosto do niej.

Niejeden wzywał go po drodze; nie dał się powstrzymać.

Portjer wszakże uczepił się jego pięt, z kocią pokorą mnąc czapkę w rękę.

— Panie gospodarzu, — syknął, — oni się znów zbierają na dole, w winnicy.

— Kto?

— Waggingeńczycy.

Konrad wzruszył pogardliwie ramionami i szedł dalej. Ale portjer tkwił przy nim.

— Panie poruczniku, zawarli pokój i połączyli się, ci z górnego i ci-z dolnego. Chcą was podejść.

— Jeszcze jest dzień, a chyba nie staną się niewidzialni.

— Niech mi pan gospodarz nie bierze za złe; ale zbierają kamienie w winnicy, poprzysięgli wam zemstę, wam szczególnie. Nie mogę wcale powtórzyć, czem oni wam grozili...

— Gdyby to zależało jedynie od złej woli, jużby mnie byli oddawna wyprawili na tamten świat. Ale jeżeli o mnie chodzi, to i ja jeszcze mam coś do powiedzenia. Dosyc o tem.

— A więc będę musiał prawdopodobnie stracić miejsce „Pod pawiem”, skoro wy jesteście teraz gospodarzem? A możebyście zechcieli jeszcze z jaki tydzień ze mną spróbować? Dołożyłbym wszelkich możliwych starań.

— Jutro będzie jeszcze dość czasu o tem pomówić, — odparł Konrad i dał mu znak, żeby odszedł.

Cathri siedziała jak posąg, gdy z przedsiębiorczą miną śpieszył do niej.

— A więc, Cathri, — żartował, — gdzie się podział djabeł, który dzisiaj rano siedział na dachu? Zjechał prawdopodobnie po piorunochronie

do piekła, gdzie też jego właściwe miejsce. Odwaga i męska siła, to widać zawsze najlepsze lekarstwo na djabła. Ażeby mu jednak na wieki odciąć drogę powrotu, wprowadzę teraz dobrego ducha do domu; dobrego ducha, — czy wiecie kogo mam na myśli?

Ponieważ zaś dech w jej piersi trzepotał się jak mewa nad burzliwym morzem, przeto wyciągnął do niej pocziwie prawą rękę.

— Zgoda, Cathri, dzisiaj dzień zdarzeń wesółych i dobrych! Zamienimy słowo i przypieczętujemy zaraz, dobrze?

Wykręcała się, zarumieniona. — Co sobie o mnie pomyśli wasza matka i wasza siostra? — wyjąkała wymijająco, wstając i odwracając się z wysiłkiem.

— Co zechcą! — odpowiedział ze śmiechem. — Przecież jestem teraz samodzielny i nie potrzebuję nikomu z niczego zdawać sprawy. — Przyskoczył do niej i schwytał szybko jej rękę. — Mam dobrą myśl. Pójdźcie, Cathri, przedstawię was odrazu zgromadzonemu ludowi jako swoją narzeczoną, cóż wy na to?

Dreszcz szczęścia wstrząsnął jej postacią, schyliła głowę zmieszana i opierała się słabo:

— Nie tak, nie teraz, pierwszego dnia naszej znajomości. Bo i co wy sobie myślicie? Może

później. Tylko nie dzisiaj. Jesteście zanadto wzburzeni. Podnieca was wino. Nie wiecie, co robicie. Moglibyście jutro żałować.

— Żałować? Ja? Jutro? Nie wiem co robię? A więc dobrze, powiem wam to jutro raz jeszcze formalniej. Jutro przed południem między dziesiątą a jedenastą w zdrojowisku. Czy to dobra godzina? A może mam lepiej przyjść później? — Ponieważ zaś wzdychała w milczeniu, ciągnął dalej:

— A więc zostaje przy tem. Jutro o pół do jedenastej najpóźniej przyjeżdżam do was na Lissi. Tymczasem do widzenia, — co rzekłszy, rzucił jej wesołe a przyjazne spojrzenie, odwrócił się na pięcie i oddalił się śmiałym sprężystym krokiem. Naraz znalazła się przy nim i szturchnęła go w rękę.

— A czy wy mnie też choć odrobinę kochacie? — pytała, nibyto z dąsem, lecz z oczu jej było samo słońce.

— Odpowiedź oznajmię wam jutro, — żartował, — dzisiaj to jeszcze ścisła tajemnica, — i przyciągnął ją za rękę do siebie, tak, że idąc, przeszkadzali sobie wzajemnie.

Przestrzeń od kregielni do tarasu miała najwyżej trzydzieści kroków, jednakże wydała mu się taka nieskończenie daleka, jak przestrzeń od

frontu do sztabu brygady, wówczas, gdy go pułkownik wywołał po nazwisku, by mu wobec całego zgromadzonego wojska wyrazić pochwałę.

— Cathri, — rzekł z uśmiechem, mrugając oczami na dach gospody, — zgadnijno, kto siedzi teraz na dachu? Taki z białymi skrzydłami i złotym pasem, a w rękę trzyma gałąź palmową. Czuję jak powiewa nade mną skrzydłami. Ty nic nie czujesz? Ja czuję.

A ona schwytała go kilkakrotnie ustami za wąsiki, co, jak przypuszczał, znając jej gwałtowność, miało oznaczać pocałunek. Ale nagle zatrzymała go i spojrzała mu groźnie w oczy:

— Wzamian, rozumie się, wymagam odtąd wierności, — mówiła z naciskiem; — wymagam nieubłaganie i bez wyjątku. Jestem bowiem jak homar, gdy raz wpuszczę kogo do serca, trzymam go mocno, jak szczypcami. Ale i on musi się mnie trzymać. Widzisz, gdybym miała do wyboru, czy przekonać się kiedy, że kochasz inną więcej niż mnie, choćby to była twoja siostra, albo matka, czy widzieć cię na marach, wolałabym stokroć twoją śmierć. Taka już jestem. Mówię ci to szczerze i otwarcie.

— Brrr! — otrząsnął się ze śmiechem.

Właściwie zdziwiło go to jednak trochę, że tak łatwo rzuciła śmierć jego na szalę. Miłość ko-

biety wyobrażał sobie odwrotnie — raczej wszystko, nawet ofiarę z siebie, niż śmierć ukochanego. Ale był to tylko taki przelotny cień myśli, który zaledwie go musnął, już znikł. Cathri zaś, podjąwszy przerwany wątek, dodała do teorii przykład:

— Nie przebaczyłam nawet Hansowi, że dał narzeczonej pierwszeństwo przede mną.

Uważając, że dowiodła dostatecznie, jakie jest jej stanowisko, zakończyła ostrzeżenie łaskawym uśmiechem.

\* \* \*

Gdy przybyli na taras, odezwała się właśnie muzyka, spotęgowana grzmącym śpiewem dzieciątek głosów. Znali słowa i melodię pieśni, a ponieważ tekst przypadkowo nie źle wyrażał ich własne uczucie, wpadli od razu w takt:

„Gdy siła i odwaga w dzielnych duszach płonie.” Jednocześnie bujali splecionymi rękami, jak juhasy w tańcu. Przyczem Konrad zapatrzony był w twarz towarzyszki, zaś Cathri utkwiała wzrok w dal, zupełnie zatopiona w śpiewie.

Nie obchodziło ich bynajmniej, że droga ich prowadziła pośrodku zgromadzenia, wiedzieli bowiem, że wszyscy obecnie nastroszeni byli we wspólnym uczuciu na wysoki ton dobroci; szli też na-

wprost czerwonej tarczy słonecznej, tak, że olśnieni żarem i blaskiem, nic dokoła rozróżnić nie mogli.

Gdy wszakże stanęli znienacka przed Anną, która, trzymając mundur, czekała na brata, odskoczyli od siebie, jak para, schwyтана na wiariolomstwie.

Anna spoglądała to na jedno to na drugie tem samem spojrzeniem niewypowiedzianego smutku, poczem w milczeniu i pokornie podała bratu mundur, gdy zdejmował poszarpaną kurtkę. Ponieważ jednak przez jej nieuwagę lewy rękaw opadał na ziemię, przeto Cathri pochwyciła go podstępnie, jakgdyby chciała dopomóc pannie Reber.

— Kto właściwie obsługuje teraz mego brata, ja, czy kto inny? — spytała Anna bezdźwięcznie i zagryzła wargi.

— Panie Reber, wybierajcie, kto ma was obsłużyć? — podjęła Cathri pytanie, śmiejąc się wesoło, jakgdyby chodziło o żartobliwy spór bez znaczenia.

Ale spojrzenia obu kobiet, krzyżujące się jak zatrute sztylety, zdradziły mu ich wzajemną nienawiść, więc przezornie ominął wielkim łukiem pożądaną decyzję.

— Obie, — odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu i mniemając, że jest mądrzejszy od Salomona. Ale, gdy wsunął swobodnie lewą rękę

w rękaw, Anna, obrażona, puściła rękaw prawy i cofnęła się, ustępując miejsca przeciwniczce.

Przyniosła też krawat i kapelusz, które teraz bezwiednie wzięła w rękę. Cathri z niesłychanem zuchwalstwem zabrała jej z rąk i jedno i drugie, jakgdyby ona była panią, a Anna jej służącą. Anna zniosła to wszystko bez oporu, przyglądała się też z poddaniem, jak obca dziewczyna krzątała się z dumą wokoło brata. Ale twarz jej przybrała wyraz takiego upokorzenia i smutku, w oczach zaś malowała się taka beznadziejność, jak gdyby pragnęła skryć się w najbliższej jaskini leśnej, by tam żywota dokonać. Nareszcie, gdy Cathri odeszła z druzgocącą zwycięską miną, a na czole jej jaśniała duma oblubienicy, gdy ramiona wzniosły się w poczuciu bliskiej domowej wszechwładzy „Pod pawiem,” kark zaś przechylił się dostojnie wtył, jakgdyby ciągnęła za sobą płaszcz królewski, Anna otworzyła blade usta, które drgały konwulsyjnie, zanim zdołał ukształtować się w nich wyraz:

— A ja? — spytała bezdźwięcznie, — jestem już odprawiona?

— Masz przecież swego doktora, — pocieszał Konrad nawpół żartobliwie, napół poważnie.

A ponieważ patrzyła mu w oczy ze smutkiem i wyrzutem, jak marznący nędzarz, któremu ską-



piec zamiast ciepłego kaftana ofiarował miedziaka, objął ją tkliwie: — Nie bądźże dzieckiem, — zrzędził. Właściwie zamierzał powiedzieć jej coś specjalnie miłego, coś, co byłoby balsamem dla jej chorego serca, gdyż żal mu jej było, jak wówczas umierającej Joanny, córki nauczyciela, gdy zarzuciła mu na szyję chude kosteczki i szeptala: „Pamiętasz, Konradzie, wtedy przed dziesięciu laty!” — Ale nie mógł znaleźć upragnionego słowa, a im dłużej szukał, tem dalej odeń odbiegało. Wzamian przycisnął ją do piersi. Przez kilka chwil poddała się milcząc błogiemu wrażeniu uścisku, który przyniósł jej pociechę; poczem z nieco większą pewnością siebie rzekła:

— A więc posłałam po matkę, zaraz przyjdzie.

— Czy już wie?

Anna nie odpowiedziała, a oczy jej unikały jego spojrzenia. On zaś spoważniał, umilkł i zadumał się.

— Czyś ty wiedziała, — spytał po chwili, — że matka przed laty miała melancholję?

— Wiedziałam; dlaczego pytasz?

— Tak sobie; przyszło mi tak teraz do głowy. Rozmowa urwała się.

— Muszę iść znów na górę do sypialni, zobaczyć co ojciec robi, — rzekła, przyczem westchnęła, tłumiąc wiadomość, która bez jej zezwo-

lenia chciała ześlizgnąć się z języka. Wkońcu po kilkakrotnem westchnieniu i zamilczaniu naprzemian, odezwała się żalonym głosem: — Niepokoi mnie.

— Niepokoi? Jakto? — spytał zdumiony.

Zwlekała z odpowiedzią. Ale skoro już odsłoniła rąbek tajemnicy, musiała ją wyjawić.

— Już jest niezadowolony, — wyznała. — Już mu żal tego, co ci przyrzekł. Uskarża się na ciebie, mówi, że przycisnąłeś go do muru i przyłożyłeś mu nóż do gardła.

— To nieprawda, — zawołał z uniesieniem, lecz pohamował się niezwłocznie. — Przekona się niebawem sam, że to wszystkim i jemu także wyjdzie na dobre, — rzekł dla własnego uspokojenia.

— Miejmy nadzieję, — odparła Anna i zabierała się do odejścia. Wszelako nagle odwróciła się i, płacząc rzewnie, rzuciła mu się na szyję: — Przebacz, że dzisiaj nic nie robię, tylko beczę; przecież naprawdę nie mam tego zwyczaju, ale ja już nie wiem co począć. Zaczynam się obawiać, że tu u nas już nigdy dobrze nie będzie.

— Ale przecież jest dobrze, wszystko się ułożyło, ty kochany głuptasku.

Potrząsnęła głową. — O nie, nie, nie jest dobrze, jest źle, strasznie źle, gorzej niż kiedykolwiek, — i rozplakała się rzewniej jeszcze.

Gdy daremnie usiłował odgadnąć, co ją tak zasmuca, uwagę jego odwrócił szczególny hałas, dobiegający z sypialni, naprzekór wesołej biesiadzie. Strzaskane niewidzialną pięścią, padły z brzękiem na ziemię deszczem ostrych szczątków szyby ze środkowego piętra, jedna po drugiej. Z wnętrza izby zaś dobiegały zwierzęce odgłosy, to żalosne, niby beczenie cielęcia, to znów gniewne, jak ryk podnieconego byka, gdy schyla rogi.

— Co to jest? — spytał Konrad marszcząc brwi i tocząc oczami, które wybiegały z orbit.

— Wyklina ciebie, — biadała Anna, tracąc za-stanowienie z wielkiego bólu.

Konrad zbladł i zadrżał. — Jeżeli on mnie wyklina, — wybuchnął lodowatym głosem, — to i ja jego wyklnę. Zobaczę, czy sprawiedliwe wyklęcie udręczonego syna nie zagrzmi głośniej w sklepieniach piekielnych, niż niesprawiedliwe przekleństwo okrutnego ojca.

— Nie, nie, — błagała Anna, czepiając się palcami jego ramienia, — nie, ty tego nie zrobisz, pomnij, że to człowiek stary, chory, który nie wie co czyni, nie zapomnisz, że, pomimo wszystko, pozostanie ojcem twoim i moim.

Zmagala się w nim walka. — Masz słuszność, — odezwał się wkońcu stłumionym głosem, — nie wyklnę go jednak.

— Zaufaj mi, — odparła z wdzięcznością, — ułagodzę go; ułagodzę go napewno, — i pośpieszyła co tchu do domu.

On zaś podążył do biesiadników, którzy, zatopieni w wesolości, ogłuszeni wrzawą, jakiej byli sprawcami, oszołomieni winem, nie zauważyli wcale walki dobrych i złych duchów, stoczonej poza ich plecami. Ale, jakkolwiek wszedł w najliczniejszą gromadę, wydał się sobie jak samotna kula armatnia w ogródku kwiatowym. Nie słyszał co mówią, nie widział tego, na co patrzyły jego oczy, dostrzegął tylko jedno, i to ustawicznie: bezkształtną czarną plamę, która unosiła się przed nim w powietrzu, nisko, w pobliżu jego stóp. A gdziekolwiek się obrócił, plama wirowała za nim.

Zachowanie się Konrada zwróciło niebawem ogólną uwagę.

— Konradzie, co się z tobą dzieje? — zawołał Leutolf, — jesteś jak nieprzytomny!

— Wino daje mu się we znaki, — odezwał się ktoś tonem znawcy. — Chianti to mocny jego móść.

— Albo może myśli o swojej pięknej Bernence — zauważyła Berta.

Wszelako obserwacja i znajomość duszy nie dorosły do potrzeby chwili. Radowano się nim, otoczono go wesolością, przeciągano z jednego

stolu do drugiego, obsypywano zapewnieniami przyjaźni i szacunku.

— Ty jesteś bohaterem, tobie należy się hełm, — mówił Leutolf, zdjął mu kapelusz i wsadził na głowę swój hełm, wachmistrz przepasał go wstęgą, kelnerki przystroili jego mundur w kokardy i kwiaty, niby w ordery. „Rycerzem błękitnego pawia” nazwała go Józefina, przypinając niezapominajkę; nie, „białej gwiazdy,” poprawiła Berta, podchodząc z bukietem marzanki. Niebawem wyglądał, jak strojne jagnię, na ofiarę przeznaczone.

Pozwalał cierpliwie na wszystko, albowiem za smutny był, żeby brać za złe jakikolwiek żart. Natomiast, gdy Cathri z wymownem spojrzeniem potajemnego porozumienia skubnęła go za palce, odwrócił się z gniewem, sam nie wiedząc dlaczego.

---

**Z**nienacka spadł na drzewa owocowe grad kamieni, strząsając liście i kwiaty, łamiąc gałęzie, kalecząc korę.

— Podstępne tchórze! — rozległy się okrzyki, gromada zapalała wzburzeniem i, zwinni jak strzelcy alpejscy, zerwali się setką mężczyzn, by pomścić napad. Wyprzedzili ich chłopci miejscowi, którzy ztyłu, za bankietem, bliżej doliny na gościńcu zgromadzili się jako widzowie i teraz chcieli schwycili sposobność, by powetować sobie to, co ich ominęło w sali tanecznej. Jak wyrzuceni z lufy armatniej pędzili ze zbocza, by ukarać wroga, który teraz w szalonej ucieczce rozproszył się na polach. Złapali zaledwie pół tuzina maruderów, których zbili potężnie i powalili na ziemię. Raz, dwa, trzy załatwili się z napastnikami. Potem powrócili w spokojnym pochodzie, rozstawiwszy uprzednio, jako że byli w żołnierce wyszkoleni, garstkę posterunków u stóp wzgórza.

Grzmiący oklask Waldishofczyków wynagrodził szybki czyn. — Porządna robota, — pochwalili

Leutolf. Wezwano chłopów, przyjęto ich podniesionemi kieliszkami wśród serdecznych pochwał. — Muzyka! — wrzasnął wachmistrz — ale zagrać coś, co czuć ogniem i prochem, nie taką nędzną, kulawą, płacziwą jeremjadę. — Zabrzmiała tedy wesola galopada, elektryzując ciało i duszę, tak że wszystkiemi porami tryskała radość życia.

Konrad spóźnił się, wyrwany z głębokich otchłani posępnych myśli. Gdy powrócił duchem do rzeczywistości, zastał siebie stojącego bezczynnie, a sprawę załatwioną. Natomiast zauważył teraz spustoszenie i oceniał z zawziętością szkody. Niezbyt znaczna, ale zato niepowetowana część zbioru owoców przepadła, kilka wspaniałych okazów drzew okaleczono i zniekształcono, szlachetna latorośl brzoskwiniowa otrzymała nieuleczalną ranę. A gryzła go nietyle strata materialna, ile zniszczenie malowniczego widoku, uszkodzenie licznych delikatnych, czułych tkanek roślinnych, złośliwe zniweczenie błogosławieństwa, jakie przyroda zsyła na człowieka, w nagrodę za cierpliwą, troskliwą opiekę.

Gniew jego potęgował się stopniowo, nierównyważąc jeszcze całkowicie napięciem swoim doniosłości popełnionego zbrodniczego występku, gdy padł znów kamień, potem, po chwili, drugi i nieco później trzeci. Każdy pędził tą samą,

mniej więcej drogą lotu, tak, że widocznie pojedynczy strzelec celował z jakiegoś odległego, a bezpiecznego, jak mniemał, ukrycia.

I zdawało się, że cel stanowi on sam, Konrad, chodzący w odosobnieniu u skraju balustrady, bo gdziekolwiek stąpnął, miał zawsze przed sobą linię lotu w tym samym skrócie, jakkolwiek pocisk padał w trawę, poniżej miejsca, gdzie stał: widocznie sądząc z niepewnego chwiania się kamienia, brakło strzelcowi wszelkiej siły.

Dosyć długo nie udawało mu się odszukać sprawcy, głównie dlatego, że jaskrawy blask zachodzącego słońca olśniewał jego oczy. Wogóle mniemano, że to jeszcze dzień, a przecież światło było już nieco przyćmione. W dolinie zapadał mrok; grupy przedmiotów zlewały się w jedną masę o wspólnej, ostro zarysowanej linii; dokoła dachów szeleścił przedwczesny nietoperz.

Nakoniec dostrzegł Konrad winowajcę, i to nie poniżej swoich stóp, ale z boku, poza aleją wiśniową, przy stodole stolarza Hansjörgena, pod drzewami orzechowemi. Chcąc go schwytać, należało zejść z tyłu, od pola, aby mu odciąć linię ucieczki. Jednak wogóle czy warto? Właściwie tak; wszak warto zawsze ukarać złoczyńcę; ale, mówiąc otwarcie, Konrad był nieco zmęczony fizycznie, zaś dusza ciągnęła go w innym kierunku,



rwała się do walki, obchodzącej go bliżej, tam, skąd groziło mu większe nieszczęście, niż strata materialna. — Wtem przypadek zrządził, że ponowny pocisk, słabszy jeszcze od poprzednich, wpadł w źródło. Kamień w płytkiej wodzie plusnął obrażającym odgłosem, jak policzek. A może to zanieczyszczenie przezroczystej wody albo zbeszczeszczenie błogosławionych ust góry tak go wzburzyło? Dość, że plusk zadecydował. Teraz Konrad zapragnął winowajcę ukarać.

Możliwie obojętnie, z rękami wtył założonemi, jakgdyby spacerem, przeszedł na drugą stronę, od domu, i przesuwiał się wzdłuż muru, jak myśliwy, podkradający się do zwierzyny.

Pociski kamienne padały w początkowym kierunku, co znaczyło, że nieprzyjaciel nie zauważył jego zniknięcia.

Anna wyjrzała z jadalni.

— Która to bije? — spytał niedbałym tonem, byle coś powiedzieć, gdy odezwał się właśnie dzwon kościelny.

— Ósma, — odpowiedziała.

— Przyrządź mi co do zjedzenia, — to mówiąc, stanął przed nią. Spoglądała pogodniejszym wzrokiem.

— Uspokoił się trochę, — szepnęła mu, uśmiechając się pierwszy raz po długich godzinach. —

Mam go u siebie na dole w świetlicy, razem z doktorem.

Naraz, właśnie gdy chciał iść dalej, usłyszał dobiegający ze świetlicy poprzez jadalnię płaczliwy głos ojca, zawodzącego jak dziecko, torturowane przez chirurga. Przystanął, powstrzymał oddech, a dusza jego spochmurniała. „Co to znów ma znaczyć? Może znów skarży się na niego? Z jakiego powodu?”

Zrazu nie mógł wcale słów rozróżnić, albowiem jednocześnie doktor mówił do starego, tak że wyrazy obu plątały się w uszach. Nareszcie stary przez chwilę biadał sam. „Zadał mi cios śmiertelny” usłyszał. Nic więcej, tylko urywek jednego zdania; ale ten urywek jak błyskawica oślepił go i zmiążdżył.

A więc to tak? Poza męczennika i oskarżające westchnienia, spojrzenia, ruchy, aluzje do końca życia? A potem nagrobek, i na nim wiecznem, niezatartem pismem: „Ty, mój własny syn, ty jesteś moim mordercą!” Jakże się wobec tego zachować? Złe obejście można znosić albo się przeciw niemu buntować, na łajanie można odpowiadać, ale od milczących wyrzutów niema ratunku. Wzdrygnął się i czarna rozpacz zasępiała jego duszę. „A jednak ja go wyklnę”, odezwał się w nim krzyk i ręce jego podniosły się gwałtownie

groźnym ruchem, lecz wnet osłabły i opadły wzdłuż ciała. Nie wiedział już, co czyni i co zamierza. Ale wola, która go stamtąd odpędziła, pchała go dalej po przeznaczonej drodze, jak maszynę na torze.

— Konradzie, daj pokój, już dosyć na dzisiaj, — wołała za nim siostra, która z jego początkowego zachowania się, gdy chyłkiem szedł wzdłuż muru, odgadła co zamierzał, nie dostrzegłszy wszakże zmiany, jaka w nim zaszła, albowiem nie widziała jego twarzy. Natomiast oparła się jej Cathri.

— Pan Reber będzie najlepiej wiedział sam co ma robić, — odpowiedziała impertynenckim tonem.

Poszedł tedy dalej i znikł za rogiem domu.

\* \* \*

Tymczasem strażacy, którym brak było Konrada, zostali przez Cathri zawiadomieni o domniemanej przyczynie jego zniknięcia, i wyciągnęli szyje, chcąc się nacieszyć widokiem kary, lekko-myślnie zaciekawieni, jak gdyby oczekiwali uciesznego widowiska. Ponieważ mrok zapadał coraz gęstszy, przeto Leutolf wydobył lornetkę polową, by lepiej widzieć. Nie chcąc wszakże samolubnie korzystać ze swoich lepszych warunków obserwacji, dzielił się jej wynikami: — Tkwi

tam, za orzechem przy stodole... ma w rękach pełno kamieni. Ale nie jest pewny, szuka celu... Długi, obdarty hultaj, ma pysk jak ślimak, a uszy jak słoń. Albo bardzo się mylę, albo to ten sam lotr... — Nożownik? — Michał Matthiesen? — pytały oburzone głosy.

— Pokaż, dawaj, — zażądał wachmistrz i zabrał Leutolfowi lornetkę. — Przecież to ten sam wygolony, wstrętny lajdak! — pinił się, tupiąc nogami. Odrzucił gniewnie lornetkę i krzyczał na Leutolfa: — Macie teraz swoją dyplomatyczną powściągliwość. I co wam z niej przyszło? Gdybyście mnie nie byli przeszkodzili, nie stałby teraz pod orzechem z kamieniami, tylko leżałby tam gdzieś i zbrakłoby mu niejednej kosteczki, a doktor musiałby go na nowo zlutować.

— Nie straci nic na czekaniu, — odparł Leutolf spokojnie, — Konrad Reber odda mu napewno to, co mu jest winien; zapłaci mu odrazu za wszystko razem.

Wachmistrz zachnął się gniewnie.

— Gdzietam! — piorunował, — Konrad nie jest taki, jaki mógłby być i jakim chciałbym go mieć. Mięśnie ma jak lew, nerwy jak postronki, a serce jak panienka. W pierwszej chwili zdaje się, że zbije na miazgę cały świat, a zaledwie zdobędzie przewagę, przebacza winowajcom. Taka

podstępna, złośliwa hiena nie zasługuje na łaskę; w tym wypadku wspaniałomyślność jest tylko słabością.

To rzekłszy, odwrócił się markotny, opuścił zagniewany kolegów i chodził opodal w tę i w tamtą stronę, mrużąc coś pod nosem.

Tymczasem lornetka wędrowała dokola; tylko Cathri odrzuciła ją wyniośle. Nie potrzebuje pomocy dla oczu, twierdziła lekceważąco, i tak widzi na świecie więcej niżby pragnęła. Naraz ucieszyła się, jak gdyby ujrziała kogoś miłego.

— Temu dałam podczas tańców dwa razy w pysk — chełpiła się z zadowoleniem. — Żal mi tylko umytej ręki; gdybym była to przewidziała, włożyłabym rękawiczki.

— Hurra! idzie Konrad, — radował się jakiś głos, — widzicie go w polu, jak się skrada dokola stodoły?

— Chce go schwytać z tyłu. — Brawo, Konradzie. — Teraz już mu się z rąk nie wyślizgnie. — Cicho tam; spokojnie! do diabła! Siadać! Zejść ze stołów! Zdradzicie przecież wszystko! — Teraz, teraz, Konradzie, dalej! Chwytaj go za gardło. — Na co on jeszcze czeka? — Zatrzymał się... niepojęte. — Macha rękami, jak gdyby się z kimś klócił, a jednak jest sam. — Stracił nagle rozum, czy co? — Już tu wkońcu był taki dziwny. —

Musiał mu ktoś nieżyczliwy nagadać coś głupiego, co go gryzie, — zawyrokowała Cathri twardym głosem, marszcząc brwi i posyłając wrogie spojrzenie do jadalni.

— Tak, naturalnie, teraz za późno! teraz tamten go spostrzegł... Ciska kamień. Można się wścieknąć. — Bo i dlaczego skupiacie się tak wszyscy jak stado baranów! — Wszystko jedno! umknąć mu jednak nie może. — Nareszcie, nareszcie, Bogu dzięki! Hurra! Już go ma! — Bij go! powal na ziemię. — A to co? gubi hełm. — Tamten pada na ziemię. — Tak, ale znów wstaje. — Dlaczego pozwala mu wstawać? — Dalibóg, nie, niepodobna na to patrzeć! Patrzcie, puszcza go! — Basta! Skończone! nie udało się!

— Com ja powiedział? — wrzasnął wachmistrz. — Miałem słusność czy nie, co?

I źli, jak gdyby to oni ponieśli porażkę, zasiedli znów do picia, hałaśliwie trącając kieliszkami, chcąc zapomnieć i przeboleć.

Cathri jednak nie ruszyła się z miejsca, bacząc pilnie. Po chwili zauważyła:

— Coś mi się tu nie podoba.

— Dlaczego? jakto? wszak wraca! Jest już przecież na gościńcu.

— Tak, ale jakoś dziwacznie się trzyma.

— Wszak mówiliście sami, że go coś we wnętrzu dręczy?

— To nie to. Byleby tylko wkońcu nie oberwał co złego!

— A jakże, zaraz! W sali, podczas tańca łatwiej było! Taki mocarz, jak Konrad Reber, i oberwać co złego! od jednego człowieka! i jeszcze od jakiego!! Zresztą zaraz nam to sam najlepiej wyjaśni, patrzcie, już jest na rogu.

— Jezusie słodki! — wrzasnęła Cathri, — gdzie wy macie oczy! Przecież on blady jak chusta! — I roztrącając stojących przed nią, pobiegła ku niemu olbrzymiemi susami.

W tejże chwili wyjrzała z jadalni Anna, rzuciła wzrokiem na Cathri, potem na brata, zbladła i wyskoczyła przez okno.

— Konradzie, co ci? — spytała, chwytając go w objęcia. — Powiedz, powiedz mnie, siostrze! — Jednocześnie odepchnęła nadbiegającą Bernenkę.

Usta Konrada drżały: — Jestem zraniony, — szepnął, poczem rozległ się wstrząsający krzyk, który przeraził wszystkich. Tylko muzyka rzępoliła dalej.

— Zgubiłem hełm, — mówił po chwili. — Leży pod orzechem. To hełm Leutolfa. Nie chcę teraz jeść, nie mam apetytu. Gdzie matka? Ja przecież nie wiedziałem, że miała melancholję. Powiedz

jej to. Ojciec jest potworem, dzikiem zwierzęciem bez serca, tak, to potwór. Przynieścież helm, przecież to nie mój, tylko Leutolfa. Nie mogłem już, niestety, sam go podnieść.

— Panie Reber, — odezwała się Cathri płacząco.

Zwrócił ku niej głowę, ale nieprzytomne jego spojrzenie błękało się po jej twarzy, jak po obcym, martwym przedmiocie. Odepchnięta ponownie przez Annę, cofnęła się do muru zawstydzona, upokorzona, obrażona.

Tymczasem nadbiegł przerażony tłum ludzi, a wśród nich zadyszany doktor.

— Gdzie? — spytał, badając drżącymi dłońmi ciało Konrada. I przechylił się wtył: — Przestać grać! — krzyknął gniewnie. — Przestać grać! — powtórzyło liczne echo.

— Dlaczego przestać? — pytał Konrad zcicha. — Dlaczego tu wogóle tyle ludzi?... Dlaczego wszyscy patrzą tak na mnie?... Czego właściwie chcą ode mnie? Niech doktor sobie odejdzie, sprawia mi ból... Anno, chodź, pójdziemy razem do domu, chciałbym być sam.

Zaledwie to wypowiedział, pobladł śmiertelnie i załamał się w rękach doktora, jak stos drzewa na ogniu, a potem padł nawznak na ziemię.

Anna rzuciła się na niego, wołając nieustannie



jego imię najtkliwszym głosem, idącym z najdalejszych głębin serca.

Tłum umilkł w skupieniu, doktor zaś padł na kolana, wyrwał z kieszeni futerał z narzędziami, rozłożył je na ziemi, poczem badał uważnie puls, na przegubie ręki, potem, odsunawszy Annę, tętno serca. Na twarzy jego malowało się coraz silniejsze zafrasowanie. Wkońcu wstał wolno, chowając narzędzia. Oczy wszystkich zawisły na jego ustach, a on szepnął stłumionym głosem, jak gdyby mówił tylko dla siebie:

— Tu już niema co operować.

Anna usłyszała te słowa i zrozumiała. Twarz jej wyciągnęła się, padła na ziemię. Lecz, zanim ktokolwiek zdążył ją podnieść, już zerwała się sama i wzniosła nieprzytomne oczy ku do-mowi.

— Macie teraz! Jesteście nareszcie zadowoleni? — krzyczała, jak gdyby chciała krzykiem przebić mury. — Teraz nie przyczyni wam już zmartwienia! teraz nie da już nikomu powodu do skargi! teraz nie jest już za wyniosły! teraz już nie chce nic wiedzieć lepiej, teraz nie roześmieje się już nigdy nie w porę, wasz lżony tylo-krotnie Konrad, biedny, biedny Konrad!

I znów padła na zwłoki, tym razem z dzikim rykiem, jak zraniony jaguar.

A wśród tłumu powtarzano uroczyście jedno tylko słowo: „Umarł.” W pierwszych szeregach szeptem, w głębi stłumionym głosem, a z tamtej strony z oburzeniem i niedowierzaniem.

— Co? — Gdzie? — Kto? — Gospodarz z „Pod pawia?” — Nie stary, tylko młody, Konrad, porucznik. — A jakże, zapewne! — To niepodobna! to być nie może! — To nie ma sensu.

I ze wszystkich stron nadbiegający zadyszani ludzie zapełnili taras aż do wsi. Kelnerki, płacząc zcicha, stały dokoła na przedzie, i ukryły twarz w złożone dłonie, jak gdyby chciały, żeby oczy ich nie widziały strasznej prawdy.

— Co się to nie dzieje! — Czy to możliwe? — Że też ja musiałam tego dożyć! — Biedny gospodarz! I taki dobry! Taki dobry! Jezu! Jezu! — A jak to ojciec i matka zobaczą!

Cathri, z wypiekami na twarzy i drżącymi ustami, stała z boku, pod murem i, osłupiałym wzrokiem, patrzyła w próżnię.

— Och, nędznik, łotr!... Najlepszy, najzaczniejszy, najpoczciwszy chłopiec pod słońcem!... I z ręki takiego marnego łajdaka!

Mówiąc to, szturchała nieustannie nogą w mur, coraz gwałtowniej, ze wzrastającym wzburzeniem. Palce jej zaś szarpały kurczowo wstążkę fartucha, aż ją przerwały.

W pobliżu Cathri, również pod murem, odłączeni od reszty tłumu, stali gromadą Waldishofczycy, do których wachmistrz przemawiał półgłosem. Ilekroć przyłączali się nowi przybysze, szeptano im coś, poczem zamieniali ponure spojżenia i mocny uścisk dłoni jak do przysięgi.

Widocznie tworzył się tu spisek.

Naraz powstał ruch, otworzyło się przejście. Powstrzymywany przez współczujących, ostrzegających, pocieszających ludzi, którzy mu zagradzali drogę, przeszkadzali, posuwał się chwiejnie stary gospodarz, jak liszka, napadnięta przez mrówki, dźwigająca na sobie ciężar dreczycielek.

— Puśćcie mnie, — dyszał, — puśćcie mnie do mego syna! idę do swego syna!

Przytem złorzeczył śmierci, jak wyrokowi sądu najwyższego, broniąc swojej słusznej sprawy, zapewniając o swoim pokojowym usposobieniu.

— Przecież ja już dla siebie nie żądam niczego! Przecież ma już wszystko, co chce! — Gdy wszakże ujrzał córkę, leżącą na zwłokach, potrząsnął głową, jak byk. — Że też zawsze i wiecznie nie mam z niego nic prócz zmartwienia! — ryknął.

A wtedy Anna podniosła ku niemu zboliałe oblicze, które wierna aż poza grób miłość opromieniła nadziejską pięknoscią:

— Patrz ojcze, to jest teraz nasz Konrad, — rzekła łagodnym tonem męczennicy, drgającymi konwulsyjnie ustami.

Teraz stary wyrwał się przemocą i, utykając, skierował się ku zwłokom. Chciał paść przy nich; ale opuchnięte stawy odmówiły posłuszeństwa. Dreptał tedy przed trupem, jak postrzelony słoń. Nagle z wściekłością uderzył doktora w pierś: — Niech ożyje! Wskrzesić mi go!! — wrzeszczał.

— To, niestety, nie jest w naszej mocy, — odparł doktor uroczyście, z kapłańskim namaszczeniem.

Z pod muru zaś rzuciła Cathri ostrym tonem: — Tak, wskrzesić teraz już za późno! Trzeba było korzystać ze sposobności, kiedy jeszcze był czas!

Anna zerwała się i cisnęła na Cathri spojrzenie przesywające, jak włócznia.

Napróżno usiłowano zabrać starego, wściekłość jego zamieniła się nagle na żalosne zawodzenie. Zauważył żonę, która szła, a raczej posuwała się, wzdłuż domu; kolana uginały się pod nią, rękoma czepiała się ściany. „Czy to istotnie prawda?” błagała trwoga z jej zagasłych oczu.

Poczem, gdy niedwuznaczny widok: zgromadzenie ludzi dokoła jednego, niewidzialnego miejsca, cień nieszczęścia, który, padając stamtąd, zasępiał każde oblicze, — potwierdzał straszliwą

prawdę, wpiła konwulsyjnie palce w mur, żeby nie upaść.

Anna pobiegła ku niej, za nią dążył ociężałe stary, wyprzedzany przez współczującą służbę i sąsiadów.

Padła w przyjazne objęcia. — Konradzie, — kwiliła, — dlaczegoś ty mi taką krzywdę wyrządził?

Stojący dokoła zamienili zdziwione spojrzenia. A Berta zwróciła się do Cathri: — Zdaje jej się widocznie, że sam to zrobił, — szepnęła.

— Ma nieczyste sumienie, — odparła Cathri z goryczą.

A powiedziała to w zwykły, bezwzględny sposób, zupełnie głośno. I znów Anna wysłała jej spojrzenie, tym razem groźne.

Stary zaś tłumaczył się pokornie przed matczynym bólem.

— Przecież dałem mu wezystko, czego tylko żądał. Nie mogę pojąć. Nie miał najmniejszego powodu. Mówią, że żgnął go ktoś w kłótni.

Doktor, porucznik straży wraz z innymi, których przyjaźń, współczucie albo też przypadkowa bliskość do tego zniewoliła, otoczyli gospodynię i odprowadzili ją, nawpół posuwając, napoły niosąc, od zwłok syna do domu. Ojciec włókł się, kulejąc i popłakując za nimi, Anna

wała naada nad obom. Szli niżli niby szak

z boku czuwała nad obojgiem. Szli niby orszak pogrzebowy.

— Muszę go przecież pożegnać; muszę go poprosić o przebaczenie, — biadała matka.

— Tak, teraz to lamentuje i wzdycha, — zawołała Cathri mimowoli, w popędzie do mówienia prawdy.

Teraz Anna oderwała się od rodziców i rzuciła się ku niej.

— Człowieku bez duszy, kobieto bez serca! — wrzeszczała jej w twarz. — Egoistko! twardsza od kamienia i żelaza! Wy, wy, nikt inny, macie go na sumieniu: zamiast go powstrzymać, podburzaliście go jeszcze!

Cathri z zimną krwią mierzyła przeciwniczkę pełnem nienawiści spojrzeniem.

— Zawsze lepsze w domu nieszczęście, — odparła, — niż zbrodnia.

— Co chcecie przez to powiedzieć? — krzyknęła Anna w najwyższym uniesieniu.

— Chcę powiedzieć, — odrzekła Cathri stanowczo, — że skoro już raz stać się musiało, lepiej zawsze, że z obcej ręki, niż... — tu urwała.

— Niż? — domagała się Anna. — Niż? — Poczem nagle, nie czekając wyjaśnienia:

— Precz stąd! Obludnico! Intrygantko! Zalotnico! Precz! Precz w tej chwili! Ja, jako

córka tego domu, rozkazuję wam, służącej: Wy-  
nosić się z „Pod pawia”, i to natychmiast!

Cathri wyprostowała się dumnie.

— Protestuję wyraźnie przeciw temu, — rzekła,  
— żeby mnie na łeb na szyję wypędzano sro-  
motnie, jak gdybym była złodziejką. Nieprawda,  
że przywiódł mnie tutaj jakikolwiek samolubny  
ze zamiar. I nikt nie ma prawa odprawiać mnie  
przed ostatnim pociągiem, skoro do ostatniego po-  
ciągu byłam zamówiona. Zresztą, niech i tak bę-  
dzie, nie mam nic przeciw temu, dobrze, odchodzę.  
Ale nie dlatego, że wy mi rozkazujecie, tylko do-  
browolnie, dlatego, że obrzydł mi ten przeklęty  
dom nienawiści i zwady, dlatego, że wolałabym  
służyć u żebraków, w najmarniejszej chacie pod  
strzechą, gdzie panuje pokój i zgoda, niż tutaj,  
pod wyniosłym dachem ceglanym. Niech was  
trawi skrucha i żal! Zrzucajcie wzajemnie na sie-  
bie odpowiedzialność! Ja idę w swoją stronę. Ale  
to wam powiem jeszcze: wasza wina, wasza wina  
i wasza jedynie, nie moja. Gdyby mu ktoś nie był  
wsączył jadu, co go gryzł we wnętrzu, nikt nie  
byłby mógł zrobić mu najmniejszej krzywdy.  
Zresztą stało się tak, jak się stać musiało. Gdyby  
nie stało się dzisiaj, byłoby się stało jutro albo po-  
jutrze, jeśli nie w ten sposób, to w inny i prawdo-  
podobnie jeszcze gorszy.

To rzekłszy, odrzuciła hardo głowę wtył i pomaszerowała do izdebki portjera, tam cisnęła sakiewkę, wzięła kapelusz słomkowy, włożyła go przed lustrem i ruszyła ku wyjściu.

Ale kucharka, stara wierna Lisabeth, zastąpiła jej drogę.

— Wasza zapłata, — przypomniała lodowatym głosem, podając w możliwie najobraźliwszy sposób złotą monetę.

Cathri zachnęła się z oburzeniem, gotowa odepchnąć wyciągniętą rękę. Ale zastanowiła się natychmiast:

— Zarobiłam te pieniądze uczciwie pilną pracą, — rzekła — nie mam potrzeby ich się wstydzić. Przyjmuję, bo to nie podarunek. — Wzięła zatem złotą monetę i wsunęła do kieszeni. Poczem wyprostowana wyszła przez drzwi na taras.

\* \* \*

Gdy doszła do zgromadzonych ludzi, oznajmiła donośnym głosem:

— Świadczę się Bogiem i sumieniem, że stała mi się krzywda, że nie zasłużyłam na takie niecne obejście.

W tej chwili przenoszono obok niej zwłoki Konrada do domu. Tułów zasłaniali wprawdzie ci, co go nieśli; a ona odwróciła się też mimowoli,



zdjęta rozpaczą i zgrozą; niemniej jednak spojrzenie jej padło na but lewej nogi, którego koniec włóki się po ziemi, a na ten widok stanął jej przed oczyma brat, Baschi, przyniesiony na marach do domu. Wobec podwójnego bólu, który ją opadł tak jednocześnie, prysła jej moc panowania nad sobą i nadmierna jej niedola wypłynęła z serca falą rozpaczliwego szlochu. Szlochając tak, szła wśród tłumu ku winnicy, gdzie ruch był najmniejszy; szła dumna i wyprostowana jak zawsze, nie obdarzając nikogo spojrzeniem ani ukłonem.

Ludzie, wstrząśnięci do głębi, usuwali się z drogi, kierowani różnemi uczuciami, pełni podziwu i zgrozy jednocześnie, współczując i potępiając. Zdawać się mogło, że to sąd doraźny, albo znów, że ktoś wyższy poczuciem niewinności idzie, sądem ludzkim nieskalany, prostą drogą.

Józefina i Berta pobiegły za nią.

— Nie powinniście brać tego tak dosłownie, — pocieszała Józefina, — nie myślała tak źle.

— Nie powinniście przykładać takiej surowej miary, — przestrzegala Berta, — musicie też położyć coś na karb rozpaczy siostry.

Inne kelnerki spoglądały na nią chłodnym, obojętnym wzrokiem.

Cathri dążyła niepowstrzymanie naprzód. Przy drwalni weszła w samotność. Samotność

była zimna, beznadziejnie zimna; i rozległa, bez końca; i pusta, rozpaczliwie pusta, — dziewczynie zdało się, że się zabłąkała gdzieś w wieczność.

Przy kręgielni ujrzała dwie unoszące się postacie, złączone splecionymi dłońmi, a piękne jak marzenie, — głowy promieniały szczęściem i nadzieją: ona i Konrad. Wobec tego obrazu rozplynęła się jej dusza w takim szalonym niepoohamowanym bólu, że zdało jej się, iż powali ją na tę pięć poświęconej ziemi, gdzie przed godziną zaledwie zasadzili drzewo radosnego przymierza, strojne w wesołe chorągiewki. Zdało jej się, że ziemia przyciąga ją setkami silnych rąk, aby tam, na tem świętem miejscu wyplakała swoją niedolę, pokornie i żarliwie. Ale duma powstrzymała, a hardość pognała ją dalej. Ukryła twarz na ramieniu i oblewała łokieć łzami.

— I właśnie w takiej chwili, — łkała, — kiedy człowiek myśli... kiedy mu się zdaje... że szczęście...

Potem zanurzyła się w mrok, schodząc wzdłuż winnicy, równym, szybkim krokiem, a wieczór rozbrzmiewał jej głębokiem, melodyjnym łkaniem żalobnem. Niebawem wszakże z bólu powstał gniew. „Poco przychodzą,” buntowała się, „i szukają mnie i proszą, i błagają, żebym zechciała być łaskawa? Przecież było mi doskonale w zdro-

jowisku. Tam mnie szanują i umieją mnie ocenić. Tak, gdybym chciała, gdybym tylko dała najdrobniejszy znak!... „Intrygantka”! „Podstępna zalotnica”! Kto? ja? Nie potrzebuję podstępem łapać sobie męża; przecież wszyscy ofiarowują mi się sami! Ale czy to moja wina? Ja doprawdy nie należę do tych, które się narzucają... Pragnę tylko jednego jedyne, który byłby mi miły i którego mogłabym szanować; a do tego mam święte prawo, tak dobrze jak każda inna. — Prawda, ona ma pełnomocnictwo, ona ma prawo zabronić mi wstępu do domu, chociaż — jedno moje słówko, a byłby przedstawił mnie publicznie jako swoją narzeczoną, przecież taki miał zamiar! A wtedy chciałabym widzieć tego, któryby mi wzbronił zająć należne miejsce przy zwłokach mego narzeczonego! Niewolno mi popatrzeć na niego ani go dotknąć! nawet złożyć pocałunku na jego białych ustach! — pierwszego i ostatniego! — Ale mniejsza o to, czy byłam z nim zaręczona, czy nie; istnieje tylko jedna prawda i jedna wierność. Słowo jest słowem, bez względu na to, czy zostało wypowiedziane publicznie, czy w cztery oczy. A skoro dwoje uczciwych ludzi słowo zamieniło, jest ważne i bez obrączki i świadków, bez proboszcza i urzędnika stanu cywilnego. Mam jego przyrzeczenie, że należy do mnie, do mnie

jednej na wieki, umarły czy żywy, i do żadnej innej, choćby z niego zrobiła Bóg wie jakie śmieszne bożyszcze! Że mnie na ostatku nie poznał, niczego nie dowodzi, ale to niczego, zupełnie niczego, bo przecież to zrozumiałe: kto walczy ze śmiercią, nie może umysłu zaprzętać czem innym."

I ogarnął ją nowy przyływ żalu, i jęknęła głośno; ale w tym jęku odzywały się zgrzytliwe dźwięki gniewu. Naraz odwróciła się i wzniosła głowę w stronę „Pawia”.

„A zresztą, czy ona jest zaręczona?” Zacisnęła przemocą usta i kilkakrotnie wtoczyła w gardło złośliwe słowa. Wkońcu jednak nie mogła sobie tej satysfakcji odmówić.

„Gdyby pewna osoba wiedziała,” wymknęło jej się szeptem, „jakie pewien doktor robił do mnie oczy”... Poczem powędrowała dalej. „Wrócę poprostu do zdrojowiska,” postanowiła wkońcu.

Na dole w gęstwinie, gdzie Herrlisdorfskie szczepy winne cofają się na zagony Rubisthalu, dobiegł ją drwiący śmiech z winnicy.

Byli to niewątpliwie Waggingeńczycy, bo tylko wróg triumfuje nad niedolą. Błyskawicznie odwróciła się twarzą i piorunowała, wymachując rękami, jak pastor w kościele, prawiący kazanie pokutne w Wielki Piątek.

— Przekleństwo i hańba na was, bezbożni

mordercy! Bodajby każdemu z was w godzinie śmierci sumienie utknęło w gardle, niechaj was ogień piekła, któremu napewno nie ujdziecie, smaży i przypieka już na tym świecie. Nie modłę się o to, żeby was piorun z nieba zabił, bo błyskawica Pana Boga jest o wiele za czysta na takich brudnych łajdaków jak wy. Gdyby błyskawica was dotknęła, cuchnęłaby do końca świata!... I to mają być mężczyźni? Mężczyźni ten koślawy, potworny pomiot bękarci, te niedoleżne rzezańce bez odwagi, bez siły, bez mięśni, bez głosu? Ale bądźcie spokojni. Widziałam na własne oczy jak i kto go przebił, a wraz ze mną widziały setki innych ludzi. Znają go i wiedzą jak się nazywa. To Michał Matthiesen z dolnego Waggingenu, nikt inny. W sali tanecznej dałam mu w mordę, a w sali sądowej wpakuję mu w oczy palec wskazujący i powiem: „Tyś zabił i podejmuję się potwierdzić to przysięgą.” A na wypadek, gdyby własna rodzina nie chciała skarżyć, będę skarżyła ja, i pójdę do prokuratora, i nie ustąpię, i zażądam sprawiedliwości i kary. A jeżeli prokurator nie zechce, to go zmuszę, i odwołam się do jego obowiązku, do radcy rządowego i do gazet. — Wtem mignął przed nią dla przestrogi, kamyczek; wskoczyła jednym susem na przy-murek, zerwała wic ze szczepu winnego i, grożąc

nią, jak się grozi psu, zawołała: — Tak, tak, jestem tylko słabą dziewczyną, ale w razie potrzeby poradzę sobie jeszcze z pół tuzinem takich jak wy.

Przez chwilę stała jeszcze w wyzywającej pozycji, poczem pogardliwym ruchem cisnęła wic i poszła dalej, wzdłuż toru kolejowego, ku dworcowi.

Człapiące kroki podążyły za nią i ktoś dotknął zlekka jej ramienia.

Pomimo ciemności poznała orędownika Waggingeńczyków.

— Słuchajcie Cathri, czy jak się tam nazywacie, czy aby jesteście świadomi odpowiedzialności, jaką bierzecie na siebie, obciążając sumienie przysięgą? czy wiecie co to znaczy? — bąknął.

— Wiem, — odparła drwiąco, nie zwalniając kroku. Orędownik pociągnął ją za spódnicę.

— Przecież macie także współczujące serce; nie zechcecie napewno wtrącić niepotrzebnie w nieszczęście człowieka, który może bardziej z młodzieńczej swawoli, . . . — jednocześnie zamigotała w jego dłoni duża biała pięciofrankówka. Na to pchnęła go łokciem w brzuch, moneta upadła z brzękiem na kamienny chodnik, a orędownik zatrzymał się klnąc, by odszukać swoją pięciofrankówkę.

Przy przejściu do stacji przesadziła jednym susem spuszczoną barjerę: — Hola, hej! stój, stój! — wołał dróżnik wzburzony. — Pociąg idzie. — A niech sobie idzie! — odpowiedziała krótko, będąc już po drugiej stronie toru.

Sporo ludzi zebrało się przed stacją, a wszyscy w uroczystym nastroju, jak na pogrzebie; mówili przyciszonym głosem, przejęci grozą wypadku, i łaknący nowin. Jakkolwiek stąd widać było tylko kawałek „Pawia”, a i ten kawałek tonął w mroku, niemniej wszyscy patrzyli ku gospodzie, stojąc na krańcu poczekalni, zamieniając objaśnienia o warunkach miejscowych widowni niesłychanego zdarzenia. Przybycie Cathri wywołało szepty, wszystkie oczy zwróciły się na nią i z czcią usuwano jej się z drogi.

Zawiaadowca zdjął czapkę, kłaniając się uprzejmie.

— Czy to istotnie prawda? — odważył się ostrożnie.

Cathri podniosła głos:

— Prawda, — zawołała, — że na tym świecie najlepsi giną, a najgorsi są górą.

Gospodyni z pod „Półkwatka” wzięła ją łagodnie za rękę. — Czy nie wolelibyście poczekać zdala od tłumu, dopóki nie nadejdzie wasz pociąg? Potrwa jeszcze z dobry kwadrans. — Pociąg numer dwunasty ma nadto dwadzieścia dwie

minuty opóźnienia, — objaśnił zawiadowca u-  
przejmie.

— Pójdźcie, — nalegała oberżystka. — Po-  
siedźcie trochę, potrzeba wam spokoju.

Cathri pozwoliła się zaprowadzić do ogródka,  
do altanki. — Tutaj nikt wam nie przeszkodzi,  
— zapewniała oberżystka; — musicie, oczywiście,  
być bardzo wyrozumiali, — tłumaczyła się, —  
u nas jest strasznie ubogo, w porównaniu z wami,  
w eleganckim zdrojowisku.

Ale Cathri zmieszała się i skrzywiła nos nie-  
chętnie. Kobieta w obdartej spódnicy, rozczoch-  
rana klęczała w ogródku, a położywszy ręce na  
ławce, ukryła na nich twarz i szlochała. Oberży-  
stka popychała leżącą, trzęsła nią, szturchała, po-  
magając sobie przytem nogą. — Jucundo, wstań-  
że, — wołała gniewnie, — nie wskrzesisz go tem  
szalonym wojowaniem.

Jucunda pozwoliła trząść sobą, tułów jej chwiał  
się to w jedną, to w drugą stronę, ale nie dawała  
znaku życia, tylko łkanie jej przeszło w krzyk  
rozpaczy.

Oberżystka, uznając swoją bezsilność, zanie-  
chała dalszych usiłowań.

— Nie zwracajcie na nią uwagi, — prosiła  
wzdychając; — przecież to Jucunda. Głupie  
zwierzę ma więcej rozumu.



Cathri usiadła na krańcu ławki, rzucając nieufne spojrzenie na Jucundę, jakgdyby się obawiała oczy zanieczyścić jej widokiem.

— Czy mogę wam podać szklaneczkę wina?  
— przymilała się oberżystka.

— Nie, dziękuję.

— A może dać świecę? Ściemnia się już zupełnie. — Cathri odmówiła.

Oberżystka jednak skrzyżowawszy ręce, stała w miejscu, milcząc, tylko od czasu do czasu wydławując westchnienie.

— Nieszczęśliwa to niedziela, — jęknęła. — Będą o niej mówili lata, i nietylko w Herrlisdorfie ale w całym okręgu.

Poczem zaczęła się wywiadywać:

— Jak to właściwie było? — spytała poufnie stłumionym tonem.

— To się wykaże w sądzie! — odparła Cathri szorstko, przecinając dalsze pytania.

Oberżystka podrapała się, by zyskać na czasie. Poczem zaczęła na nowo: — Co też powiedział na to ojciec, gospodarz z „Pod pawia”! A dopiero matka! ona już i tak widzi wszystko w czarnych kolorach! A siostra, piękna Anna, nikt nie mógł się równać z jej Konradem!... Ta historia z doktorem Inderwylerem, te zaręczyny, też będą pewnie teraz odłożone na bezrok...

Ponieważ jednak Cathri nie dała się złapać na żadną z tych wędek, oberżystka odwróciła się nieco, jakgdyby zamierzała się oddalić. Ale nie mogła zdobyć się na opuszczenie tego posterunku wywiadowczego. A gdy mały Konradek przydreptał, kołysząc się na niepewnych nóżkach, wzięła go na rękę i wskazując mu „Pawia” biała: — Wyobraź sobie, chłopczyno, ten piękny pan, co to dziś o południu przeskoczył na koniu przez barjerę... pamiętasz?... już nie żyje.

Przy tych słowach Jucunda podniosła wrzask w najwyższym tonie, jak prosię zakłówane przez kucharkę, Cathri zaś utkwiała w jej karku wrogie spojrzenie. A chłopczyna podrygiwał na rękę i belkotał: „La, la.”

Nareszcie oberżystka odeszła, jakkolwiek niechętnie. — Przyjdę wam powiedzieć, jak pociąg nadejdzie.

Zaledwie Jucunda odczuła, że jest sama z Cathri, wyciągnęła, nie podnosząc głowy, dłoń, pochwyciła rękę Cathri i uścisnęła ją konwulsyjnie. Podobnie, jak krewni przy zwłokach kogoś z rodziny, by zaznaczyć wspólny ból, gdy im słów zbraknie. Ale palce Jucundy były wilgotne od łez i flegmy. Cathri wyrwała rękę, wstała i ocierając starannie miejsca zbrukane palcami Jucundy, oświadczyła z oburzeniem:

— Zabraniam podobnych poufałości! — Poczem usiadła, ale jeszcze dalej na samym krańcu ławki. Chcąc wszakże zapobiec powtórzeniu się tych poufałości, zauważyła surowym tonem i z naciskiem: — Nie lubię natręctwa obcych osób.

Jucunda nie wzięła jej za złe obelżywej odprawy, lecz podnosząc pokornie zalaną łzami twarz:

— A więc to was kochał, — podniosła tonem pełnej szacunku uległości.

— A wam nic do tego! — krzyknęła ostro Cathri.

Jucunda opuściła znów głowę na ręce.

— Tam, przy tamtym stole, przy tamtym stole, tam siedział, — opowiadała śród rozdzierającego płaczu. Poczem wyciągnęła zranioną dłoń, ale lzy dławily ją i nie mogła dodać objaśnienia.

— Och, pocóżem pozwoliła mu odejść! — łkała. — Dlaczego byłam taka zimna! taka wstydliva! taka powściągliwa! Dlaczego nie poleciałam za nim, nie dogoniłam go, nie padłam przed nim na drodze i nie powstrzymałam go za nogi! Siedziałby teraz tu, w ogrodzie, zdrów i żywy... I tak bez słowa, bez pożegnania! Och!... I obejrzał się za mną, a ja się nie pokazałam! Och!... — Wyrывała włosy i rzucała się, jak obłąkana.

Poczem nie mówiła już nic, tylko płakała bez przerwy. Zdawało się, że rozpaczliwiej już nikt płakać nie może. A jednak, gdy od czasu do czasu zwracała nawpół przytomne spojrzenie na „Pawia”, którego białe mury jaśniały jeszcze w mroku, pękały coraz to nowe tamy jej bólu, a łzy i łkania podwajały się nagle. Jej szerokie, grube palce mimowoli wysuwały się na nowo, chcąc uchwycić rękę Cathri, jak okaleczone zwierzątko, które wyciąga kikut, ale cofa go znów lękliwie, bo przekonało się, że dotknięcie boli.

Oberżystka przydreptała zadyszana:

— Słyszaliście! — oznajmiła. — Wzięli się za łby jeszcze raz... Waggingeńczycy z Waldishofczykami... za winnicą w Rubisthalu. Waldishofczycy poszli lasem i zastąpili im drogę. Mówią, że gospodarowali podobno jak szaleńcy, jak dzikie zwierzęta, nie jak ludzie, zwłaszcza Chrystjan, ten wachmistrz. Ale co to, to już naprawdę niesłusznie. Przecież ostatecznie i Waggingeńczycy to także ludzie; jakkolwiek może za wielkie z nich zawadjaki. Ale są młodzi. My przynajmniej nie mieliśmy powodu uskarżać się na nich, ilekroć tu wstąpili... Podobno kilku padło w winnicy; orędownika z górnego Waggingenu odwieźli do domu na furze, a Michała Matthiesena musieli do Herrlisdorfu zanieść; mówią, że się już nie wyliże.

— To dobrze, to mnie cieszy, — zauważyła Cathri.

Wtem zadrgało powietrze, wstrząsnęła się ziemia, zadźwięczały sygnały elektryczne, a wśród syku i łoskotu wtoczyła się przez mrok jakby powstała z ziemi bezkształtna czarna masa z czerwonymi ślepiami, urastając nagle do olbrzymich rozmiarów.

— To wasz pociąg, — oznajmiła oberżystka. Cathri zabrała się śpiesznie, rzucając krótkie podziękowanie.

— A więc i wy chcecie mnie opuścić! — zawodziła Jucunda, — więc nie mam już nikogo na świecie, któryby mnie choć trochę rozumiał i nieco pocieszył!

\* \* \*

W chwili, gdy Cathri przechodziła śpiesznie przez drogę, nadjechała, brzęcząc dzwoneczkami, bryczka na cichych kołach, zaprzężona w zwinnego konika.

— Czy Konrad jest jeszcze pod „Półkwatkiem”, czy już w domu? — zawołał Benedykt wesoło.

Cathri nie zatrzymała się dla odpowiedzi, lecz podążyła dalej na stację, gdzie pociąg właśnie stawał.

Koła nie ucichły jeszcze do ostatka, a już wybiegały na wszystkie strony wzburzone okrzyki.

— Wiecie już? — Co? — Gdzie? — Kiedy? —  
Niepodobna!

Ale zawiadowca krzyczał:

— Nie mamy teraz czasu na wiadomości bieżące. Pociąg opóźnił się o pół godziny przeszło. Wysiadać, kto chce wysiąść, a wsiadać, kto ma wsiąść! — Przytem, jak warjat, potrząsał dzwonkiem.

Nastąpił nieprzytomny zamęt biegających w tę i w tamtą stronę ludzi.

— Trzecia klasa, — wołała Cathri.

— Do trzeciej klasy wsiadać w tyle, — wskazał ordynarnym tonem konduktor. — Ale prędzej, prędzej.

— Trzecia klasa, — powtórzyła zadyszana, dobiegając do tylnego wagonu. Ale tu konduktor wpadł na nią wściekły.

— Trzecia klasa na przodzie! — ryknął.

— W chlewie jest więcej porządku! — zawołała Cathri, wzburzona.

Stąd wywiązała się obelżywa potyczka słowna między konduktorami, Cathri zaś zażądała kategorycznie wezwania zawiadowcy.

Przybiegł, rozjątrzony ponowną zwłoką. Skoro jednak poznał Cathri, ukłonił się uprzejmie

i zaprowadził ją osobiście do przedziału pierwszej klasy.

— Gotowe, jazda! — zawołał charczącym głosem.

— Fiuuu! — potwierdziła świstawka maszynisty.

Sapiąc potężnie ruszył z miejsca ciężki pociąg, wśród ćwierkania świerszczów i migotania gwiazd, i potoczył się w stronę zdrojowiska, tuż mimo Lissi, która, chciwie wężące stajnię nozdrza wysuwała nad barjerę, i mimo „Półkwatka”, skąd drgający odgłos rozpaczliwego zawodzenia Jucundy wybiegał daleko w czarną noc.

K O N I E C .





*GUSTAW*  
*SELANKA*



---

## ROZDZIAŁ I.

### Ściął się!

Pójdę jednak do moich blacharzy, — szepnął stary pastor Rebenach z Heimlingenu, — żeby się dowiedzieć, czy istotnie nie mają jeszcze żadnej wiadomości od Gustawa. Dzisiaj jest dwudziesty kwietnia — a może mamy już dwudziesty pierwszy?... egzamin zaś zaczął się czternaściego.

Z temi słowy wydobył, potrząsając głową, kalosze z pod pieca.

— Ale przecież nie dzisiaj wieczór? Tak późno, o ósmej? — zauważyła pastorowa, — w taką ulewę, i pogo? Jeśli wiadomość jest dobra, doniosą sami.

Wszelako pastor wsadził już bandycki kapelusz na aksamitną myckę kapłańską i wyłowił jedwabny parasol z kąta.

— Nie mam spokoju; w imię Boże! Zresztą w mig będę z powrotem; a więc do widzenia!

\*

\*

\*

U blacharzy było jeszcze światło na górze, na pierwszym piętrze nad sklepem, w świetlicy. Blacharzowa w gorączce niepokoju wycinała nożyczkami ptaki z papieru, a jej mąż blacharz „czarodziej“ czytał po raz setny wstępny artykuł w „*Oberländer Montagszeitung*“ o Portugalczykach w Afryce, przyczem wzdychał, raz po raz, jak gdyby mu ładunek lamp naftowych zatonał w zatoce Delagoa.

Pastor został przyjęty, jak Nadzieja u łoża chorego. Blacharz, drepcąc z gorączkową usłużnością, przysunął mu kanapę, przyczem potknął się kilkakrotnie o własne pantofle, nie mógł bowiem nigdy porozumieć się ze sobą, gdzie kończyły się jego nogi a zaczynało obuwie. Blacharzowa pochwyciła wierną prawicę pastora tyłu rękami, ile naprędce mogła zebrać i już jej nie puściła.

Niechże, na miłość boską, nie bierze jej za złe, — łkała; jest już z natury taka lękliwa, prosta kobiecina, jakkolwiek wie dobrze, jak bezbożnie grzeszy tem swoim niedowiarstwem. Ogarnia ją takie samo uczucie, lepiej porównać nie może, jak w wigilję ślubu, kiedy było jej tak samo ciężko i kłiwo na sercu, że byłaby gotowa uciekać przez lasy i góry do Genewy; a potem Wszechmocny odwrócił jednak wszystko na dobre.

Pastor, postępując, usadowił się wygodnie na

kanapie i pokrzepił przekonującymi słowy zatrzwożone serca. Wyliczał wymownie nadzwyczajne zdolności chłopca, dla którego od małego dziecka zabawką było to, czego inni nie zdołali z trudem i móżolem doprowadzić do skutku; przypomniał świetne *curriculum vitae* podczas lekcji confirmacyjnych, które było wprost nieporównane — powtarza teraz jeszcze to samo, nie może tego inaczej nazwać — przez swoją oryginalność i naiwność — prawdziwie konkursowe. Zresztą dlaczego to on, pastor, jest taki spokojny? Może Gustaw nic go nie obchodzi? Przeciwnie, poczują się do specjalnej odpowiedzialności, ponieważ on to przecież nalegał ciągle na to, żeby Gustaw wstąpił na uniwersytet i został doktorem. Zresztą, gdyby tam się stało coś niedobrego, syn jego, Filip, który przecież również studjuje medycynę i codziennie jada obiad z Gustawem, napisałby napewno. Ale widocznie nic nie zaszło, bo pastorkowa otrzymała dopiero wczoraj list od Filipa; gdyby było co o Gustawie, powiedziałyby mu niezawodnie. Słowem, niech przestaną martwić się niepotrzebnie; jest pewien, że Gustaw dopiekle więcej swoim egzaminatorom, niż oni jemu.

Wyłożył to wszystko patriarchalnym głosem duszpasterza, tak, że drżący rodzice odtajali, jak przy ciepłym piecu, a blacharz chciał przemocą

wmusić w pastora butelkę najlepszego czerwonego wina, żeby wypić za zdrowie Gustawa.

W chwili, gdy blacharz zaklinał się po raz siódmy, że wino czerwone jeszcze nikomu nie zaszkodziło, że może je pić nawet chory na szkarlatynę, dzwonek od drzwi wejściowych, przeprowadzony górą ponad sekretarzykiem do świetlicy, zadygotał kilka razy niepewnie, jakby nie wiedział, czy chce, czy nie chce się odezwać, i zdecydował się wkońcu zadźwięzczyć nieśmiało, niby pociągnięty pokornie przez ubogiego bosonoga, niosącego luczywo.

— Chyba to nie on? Spodziewam się, że to nie on? — zawołał przerażony pastor i oparł stopy o kanapę, zamierzając wstać.

Blacharzowa tymczasem nagłym szarpnięciem otworzyła zasuwane okienko we drzwiach i wściubiła w nie głowę. Nagle podniosła chustkę do oczu i, łkając, wybiegła do sieni.

— Aha! a więc tak rzeczy stoją, — mruknął blacharz, wsunął ręce w kieszenie spodni i zaczął chodzić nachmurzony po pokoju, przyczem jego posłuszna twarz potulnego człowieka zmarszczyła się groźnie.

Pastor, gestykulując, deptał mu po piętach. Teraz albo nigdy, nauczał, nadeszła chwila okazania dowodnie poddania się woli Bożej i pano-

wania nad sobą. Przedewszystkiem zadanie polega na tem, żeby się wystrzegać każdego nierozważnego słowa, równającego się wyrzutowi, zwłaszcza wobec wrażliwości Gustawa. Zagadkowy fakt wymaga najpierw nietylę nagany, ile wyjaśnienia. Do rozpaczy niema najmniejszego powodu, pominawszy to, że człowiekowi nigdy rozpaczać nie wolno. Wszak Gustaw jest jeszcze młody, a przed utalentowanym chłopcem cały świat stoi zawsze otworem. Zresztą radby pomówić z samym Gustawem, w razie, gdyby się zdecydował w taki deszcz dzisiaj jeszcze przyjść na plebanję; pastor i tak nie kładzie się nigdy spać przed jedenastą. — I, zniewoliwszy naszrożonego nieco ojca do przyrzeczenia, iż wytrwa w cierpliwości chrześcijańskiej i umiarkowaniu, pożegnał się.

— Nie mogę doprawdy pojąć! doprawdy, nie mogę pojąć! — szeptał, idąc uważnie po schodach na dół, gdzie dolatywał go z najwyższego piętra, z sypialni Gustawa, płaczliwy głos blacharzowej.

\* \* \*

— Nie mogę naprawdę pojąć, — powtórzył wzdychając, gdy otrząsał parasol na plebanji.

— A mnie zdziwiłoby, gdyby się stało inaczej, — wybuchnęła w odpowiedzi pastorkowa. —

Gustaw nigdy w życiu nie będzie doktorem. Powinniby byli mu pozwolić, żeby został muzykiem, jak zawsze mówiłam.

— To wszystko niczego nie dowodzi! Zdał egzamin już niejeden taki, co mniej umie od niego! — odparł skwapliwie pastor. — Zresztą przyjdzie prawdopodobnie sam, więc dowiemy się niebawem.

\* \* \*

— Powiedzno, na miłość boską, Gustawie, jakżeś ty zrobił, jakżeś się wziął do tego! — wpadł na swego ulubieńca, gdy ten, w godzinę później, wkroczył nieśmiało.

— Nie uczyniłem nic osobliwego, — brzmiała żalosna odpowiedź.

— Czy notowałeś wykłady?

— Dosyć starannie, — odpowiedział Gustaw z wahaniem.

— Na papierze nutowym — objaśniła pastorkowa, która samowolnie była obecna przy badaniu.

— Albo może, jak mówią w gwarze studenckiej: „chodziles na wagary?”

— Niezbyt często. Od czasu do czasu w zimie, po balu akademickim. Myślałem, że skoro profesorowie sami bal urządzają i tak uprzejmie dziękują, gdy zaprasza się ich córki do tańca, niemo-



żliwe jest, żeby robili z tego zarzut podczas egzaminu.

— Mówią, — zauważyła pastorowa złośliwie — że kolej na górę Ūtli miała w tobie gorliwego pasażera.

Wobec tej przymówki delikwent się uniósł. Nie chce bynajmniej się usprawiedliwiać, przyjmie też wszelkie nagany i łajania. Ale nie zniesie, żeby ktoś sobie samemu przeczył, od dziecka bowiem ma do tego wstręt, idjosynkrazję i nazywa to poprostu obłudą. Dzień w dzień, jako pierwszą zasadniczą regułę, prawiono mu z katedry i uczono go w książkach — i to z jakim naciskiem — że człowiek jest „zwierzęciem powietrznem”; że w mieszkaniach oddycha się „powietrzem pudełkowym” albo „powietrzem zarażonem wydzielinami”, że każdy człowiek powinien przynajmniej sześć godzin dziennie spędzać na świeżem powietrzu, na dworze. „*Mens sana in corpore sano.*“ Niechże więc pan pastor i pani pastorowa łaskawie policzą: Pięć godzin kolegów i anatomji w pomieszczeniach, gdzie niebardzo odczuwa się dezynfekcję; nadto dwie godziny na trzykrotny posiłek; nie może przecież jadać obiadu na ulicy Dworcowej, pod rozpiętym parasolem, bo kelnerka oparłaby się temu, a policja zabroniła. To zajmuje już siedem godzin, nie licząc wizyt, które trzeba przyjąć

lub oddać, albo listów, które należy napisać, albo czekania w bibliotece i mnóstwa podobnych, nieodzownych bzdurstw. Dlatego uważał sobie za obowiązek spędzać parę pozostałych godzin dnia na górze Ütli, aby wypędzić truciznę z ciała i stać się normalnem zwierzęciem powietrznem. Czynił zatem tylko to, co mu nakazywano, dlatego więc, jeżeli mają mu to poczytywać za postępek zdrożny, musi powiedzieć, że jestto wołająca do nieba o pomstę niesprawiedliwość.

— Zupełnie słusznie! — wtrącił pastor podrażniony. — Spychaj tylko winę na innych! Najlepszy sposób dojścia do samopoznania!

— Niech ci lepiej opowie o swoich piśmiennych pracach egzaminacyjnych, — drwiła pastorowa uszczypliwie.

Gustaw zbladł.

— Cóż to było z pracami piśmiennymi? — domagał się zaniepokojony pastor.

Odpowiedzi podjęła się jego żona.

— Opowiadają, że odkąd świat istnieje, żadna komisja egzaminacyjna nie znalazła się w takim położeniu, żeby musiała czytać prace, w których kandydat naigrawa się z książek swoich egzaminatorów.

— Coraz lepiej! — jęknął stary Rebenach, poruszając się na krześle.

— Sądziłem, — objaśnił Gustaw z najgłębszym przekonaniem, — że dam tym panom dowód wyszukanej grzeczności, mniemając, iż są wyżsi nad pospolitą wrażliwość zranionej próżności.

Pastor, wzdychając, przesunął myckę na lewe ucho.

— Teraz zaczynam rozumieć, — rzekł.

— Zresztą, — uśmiechnęła się pastorowa, przymykając jedno oko, a drugim mrugając wesoło, — artystycznemu wykonaniu oddał każdy sprawiedliwość. Atrament czerwony, papier kancelaryjny, pismo, naśladowujące druk, esy floresy, inicjały i winiety, arcydzieło kaligraficzne. W tym względzie panuje tylko jeden głos uznania. A nad każdym rozdziałem śliczny rysunek, podmalowany, z doskonałą podobizną odpowiedniego profesora.

— Nie pociesza mnie to wcale! — jęknął pastor i opadł bezsilnie na kanapę. — Idź ty teraz do domu, Gustawie, na dzisiaj wiem dosyć. Tak, tak, osobliwy z ciebie czyściciel! Tak, tak... tak, tak! Idź już teraz... Tak, tak! Ładne ty mi rzeczy wyprawiasz!

— A to ci setny chłopak! — mruknął tkliwie i mlasnął językiem, skoro tylko Gustaw wyszedł.

— Niech daje tymczasem lekcje muzyki naszym dzieciom, — orzekła pastorowa otwarcie i stanowczo.

— A wiesz, co? Dobra myśl! Ale przede wszystkim przemówię mu do sumienia z ambony, żeby z niego wypędzić tę zarozumiałą pychę. Trzeba ziemię zorać, zanim się ziarno w nią wrzuci.

A ponieważ zapal gniewu rozpętał mu myśli, tak, że nie mógł się spodziewać zdrowego snu, przeto wysłał żonę do łóżka, poczem niezwłocznie naszkicował kazanie pokutne, pełne gorzkich prawd i zbawiennych, jędrnych sentencji. Niebawem poniósł go rwący prąd, w którym jedna ponętna ryba myślowa holowała tuzin pokrewnych, i tak się przedziwnie składało, że mądrość sentencji biblijnych znakomicie stosowała się do Gustawa; jak gdyby z niego brano wzór.

Pastor wyobrażał już sobie, jak następnego ranka niedzielnego dobroczynne błyskawice umysłowe, jedna tuż za drugą, godzić będą w krzesło Gustawa w kościele, jaką burzę wzniecą w zakamieniałem sercu, i spustoszą świątynię pychy, która rozpadnie się w drzazgi, jakby z zapalek wzniesiona, a to wyobrażenie usposobiło go stopniowo niesłychanie wesoło; stąd też długo po północy, nuąc i pokrzykując półgłosem, pracował

nad użytecznem dziełem nawrócenia, jak to miał niehigienicznie w zwyczaju, gdy nawiedziło go natchnienie w stanie lotnym.

— Tak dobrze jak dzisiaj rzadko bywam usposobiony, — mruknął, wchodząc nareszcie z zadowoleniem do sypialni.

---

## RODZIAŁ II.

### Złe dni.

**N**azajutrz rano całe Heimlingen wiedziało, że Gusti blacharzów ściał się na egzaminie.

Zrazu wypadek ten wywołał wzburzone zdumienie, połączone z niejasnym przeczuciem, że podczas egzaminu nie wszystko działo się tak, jak dziać się było powinno. Zgromadzono się liczniej niż zwykle w knajpie na poranny kufel piwa, chcąc dopomóc sobie wzajemnie do określenia niewyraźnych przypuszczeń.

I wynikło ogólne oburzenie przeciw doktorowi Spirillusowi, prezesowi komisji egzaminacyjnej. Innym można było od biedy wybaczyć, są przecież z dolnego kantonu. Ale, że dr. Spirillus, rodem z Oberlandu, nadto ożeniony z obywatelką Heimlingenu, pozwolił ściać tego Gusti, który ma matkę z domu Graberównę — to jest patrijotyzm? To jest wdzięczność za stypendjum, które mu okręg przyznał przed trzydziestu laty, a bez którego nie byłby wogóle mógł się kształcić; chodziłby teraz obok wołów za pługiem i nie nazywałby

się dr. Spirillus, tylko „Spirillendäni” z Hinterfingen. A oni byli jeszcze tacy dobroduszni, że go wybrali do rady kantonalej! z przywiązania do jego żony! A ktokolwiek jechał z Heimlingenu do stolicy, odwiedzał dra Spirillusa i zawoził mu kosz pełen gruszek, albo jabłek, albo kartofli, jak wypadło, i moc pozdrowień. A teraz, przy pierwszej sposobności, gdy mógł okazać swoją wdzięczność, pozwolił ściąć Gustawa na egzaminie! Już oni tak mu zmyją głowę, że będzie czyściejszy niż rekrut po tureckiej łaźni!

Coprawda, tak zupełnie usprawiedliwiać Gustawa nie chcą. Wina jest, jak wiadomo, zawsze z obu stron. Od małego był z niego egzaltowany chłopak, mówili mu dosyć często, i ostrzegali go, i przepowiadali mu, że jeśli się nie weźmie na pazury, to zostanie wkońcu jeszcze poetą, albo jakim innym popychadłem. A z tą muzyką to też przesadził. Muzyce jako takiej nie mogą przecież nic a nic zarzucić; sztuka to niezaprzeczenie piękna, zwłaszcza w rodzinie. Wszak sami grywają na gitarze, albo na trąbie. Tylko wszystko o swojej porze; w niedzielę, po południu, po kościele, albo zresztą i w sobotę wieczorem. Ale to wieczne brzdąkanie na fortepianie w biały dzień, kiedy wszyscy pracują, nie prowadzi do niczego dobrego, to było można przewidzieć.

Uważali sobie zatem za obowiązek, skoro tylko Gustaw się ukaże, powitać go karcącym spojrzeniem pedagoga, jakkolwiek wykonanie tego postanowienia przyszłoby im z trudnością, gdyż w gruncie byli mu życzliwi. Naradzali się też, przy sposobności, jaki możnaby z czasem urzędzik dlań wykombinować.

Tymczasem kobiety Heimlingeńskie składały rodzicom wizyty kondolencyjne, jak gdyby po czyjejs śmierci. I nie bez powodu; albowiem poczciwi ludziska omal ze strapienia nie wyzionęli swego maluczkiego ducha. Zapragnęli jak najprędzej umrzeć, to znów ubolewali, że nie umarli już dawno, zanim tego dożyli, a nawet niekiedy w myśli byli bardzo bliscy żalu, że Pan Bóg nie zabrał ich Gustawa, kiedy był jeszcze małym, niewinnym chłopięciem, bo wtedy mogliby przynajmniej myśleć o nim bez rozgoryczenia. I, jak to w wypadkach takich bywa, dowody współczucia wbijały jeszcze silniej cierń zgryzoty w ich duszę. Jeden pytał, co teraz poczną z Gustawem, inny zwracał uwagę, że listonosz jest stary i kuleje i że może Gustaw otrzyma kiedyś jego posadę.

Cukiernik zaś, kuzyn blacharzowej, ofiarował swojej krewniczce czarny jak węgiel, placek czekoladowy, z napisem z lukru różowego: „Nie rozpaczaj!” Zaś na wierzchu placka tkwiły mi



gdały gorzkie, w środku słodkie, a na spodzie osmażone w cukrze.

\* \* \*

Gustaw zamknął się na całe dwa dni, w nadziei, że niepożądane współczucie z powodu doznanego niepowodzenia znuży ludzi.

Napróżno. Z tą samą wytrwałością, z jaką ludzie czekają na przewiezienie dwukrotnego mordercy, czekały kobieciny z sąsiedztwa na pierwsze wyjście Gustawa, ciekawe, jak też wygląda taki, który przepadł na egzaminie.

Stąd też, gdy trzeciego dnia, o zmierzchu, odważył się wyjść ostrożnie na ulicę, poddany został drugiemu, daleko przykrzejszemu jeszcze egzaminowi. Mężczyźni wprawdzie, pomimo postanowienia pedagogicznego, ukłonili mu się wcale uprzejmie; natomiast kobiety, którym przecież wszelkie fakty, a zwłaszcza napiętnowane, niesłychanie imponują, rzucały mu już surowsze spojrzenia.

Niemilosiernie i okrutnie obchodziły się z nim dzieci. Podlotki, które bawiły się w piłkę obok chodnika, usunęły się lękliwie w bok, z odcieniem odrazy, jak gdyby nadszedł cuchnący wódką włóczęga z kaprawemi oczami. Wisusy, szamoczące się na ławkach wśród swaru i wrzasku, zawierali

nagle pokój, przycichali, patrzyli mu zuchwale prosto w twarz i, skoro tylko ich mijał, mruzczyli, najpierw pocichu, a potem coraz głośniejszym, rytmicznym chórem: „Ściał się! ściał się!”

W tem wszystkim razem nie było nic tak bardzo złego. Wszelako wyobraźnia hańby, przede wszystkim pomysłowa, wyolbrzymiała w oczach jego obelgę, a wrażliwość jego uogólniała ją tak, że mniemał, iż wędruje wśród samych wrogich i niesprawiedliwych ludzi. Stąd też, gdy wkońcu spotkał się z prawdziwą złośliwością, zrozumiał ją nie jako wyjątek, czem była istotnie, lecz jako logiczny punkt kulminacyjny naigrania się.

Złośliwość spadła nań z gospody „Pod wołem.” Siedział tam w otwartym oknie młynarz, Jonas Hauri, który, niewiadomo dobrze, dlaczego i jakim sposobem, obok swego młynarstwa uprawiał za ogólną zgodą zawód sędziego obyczajów w Heimlingenie. W małych miejscowościach przeważnie istnieje takie, utarte zwyczajem, prawo do moralizowania; raz przypada w udziale całej rodzinie, w której przechodzi z pokolenia na pokolenie, to znów przywiązane jest do jednej osoby. Do uzyskania tego przywileju potrzebne są różne przymioty: przede wszystkim pewien dobrobyt, potem dany osobnik winien być na-

leżycie wyszczekany, a wreszcie niewzruszenie zuchwały.

Młynarz Jonas Hauri zawdzięczał swój urząd cenzora, obok wspomnianych warunków, głównie swemu owłosieniu. Chodził mianowicie latem i zimą nietylko bez surduta i kamizelki, ale nawet w rozpiętej do pępka koszuli, tak, że kudłata, nakazująca szacunek pierś widoczna była w całej wyniosłej szerokości; czerwonemi, do łokcia obnażonemi i również gęstym włosem obrośniętymi rękami, drapał się, w stanie spokoju, nieustannie w ramię. Ten ruch nosił tak wyraźnie i przekonująco piętno cnoty rycerskiej praojców, że Heimlingeńczycy czcili młynarza jako symbol prawości i w milczeniu pozwalali mu piorunować na grzechy każdego mieszkańca publicznie, tj. w gospodarstwie. Przytem ujawniał znajomość najtajniejszych wydarzeń rodzinnych, która przyniosłaby zaszczyt najzawziętszej plotkarce z za-ulka.

Wspomniany Hauri nienawidził oddawna Gustawa, i to nienawiścią stopniowo podsycaną kilku przyczynami jednocześnie. Działy tu wspólnie złość chłopca do inteligenta, zawiść robotnika, który pracuje mięśniami, względem człowieka uduchowionego, jadowita nienawiść trzeźwego handlarza dla idealisty, a nie najmniej za-

zdrość starości o młodość. Porażka Gustawa na egzaminie dostarczyła tedy młynarzowi Hauri przyjemności triumfu osobistego. Skoro tylko zatem spostrzegł „świętego” na ulicy, wskazał go wyciągniętymi rękami tak, że wszyscy goście „Pod wołem” podążyli do okna, i opowiedział im donośnym głosem, tak, żeby ofiara mogła usłyszeć całe zajście; w przenośni, z charakterystycznymi opisami i mądrymi sentencjami swoistego stylu.

Przyjęty w taki sposób, Gustaw schronił się do gospody „Pod gwiazdami”, gdzie poprosił szeptem o szklankę wina, ale nie śmiał jej dotknąć. Ładna kelnerka wykrzywiła drwiąco usta, zmierzyła go pogardliwie ćwierć spojrzeniem; zadarła nosek, skrzypiąc pantofelkami, odeszła w róg, pod piec, i pochyliła się nisko nad gazetą. Widocznie uważała, że nie jest godny patrzenia na jej ponętą twarzyczkę. Gospodarz wszakże złązał porządnie panienkę, przysiadł się do pogardzonego, podał mu rękę, pokonawszy wrodzoną małomówność, wdał się w dłuższą z nim rozmowę, usiłował rozweselić go wszelkimi możliwymi sposobami i wkońcu poklepał go życzliwie po ramieniu.

— Gusti, odwagi! Nie bierz sobie tego bzdurstwa do serca! Zostaniesz, mimo to, takim samym dzielnym, zacnym chłopcem, jakim zawsze byłeś;

tę ci egzaminatorzy ukraść nie mogą, a to przecież grunt. A jak który lajdak powie ci co przykrego — przy tych słowach wysłał spojrzenie do gospody „Pod wołem” — to powiedz mu, żeby wymiół śmiecie z przed własnych drzwi; a jak ci zrobi krzywdę, to się broń... jesteś przecież duży i silny... albo jeżeli nie chcesz z takim zaczynać, to przyjdź tutaj i wezwij mnie; już ja sobie z nim poradzę.

Gustaw popatrzył na mówiącego wielkimi oczyma, szukał słów, ale ich nie znalazł. Wreszcie wyjąkał niezrozumiałe podziękowanie i wysunął się nieśmiało do domu.

Ale od tej godziny przywiązany był do gospodarza „Pod gwiazdami” jak do bliskiego krewnego.

Chcąc uniknąć różnorodnego karcenia i nie pokazywać się publicznie, siedział teraz w domu, ale niebawem przekonał się, że ze wszystkich męczarni najtrudniejszy do zniesienia jest widok bólu, jaki sprawiamy najbliższym!

Każdy ruch, każde westchnienie rodziców było mu wyrzutem, a tem samym torturą dla duszy.

Coprawda ani słowa nagany nie usłyszał, blacharzowie byli na to za dobrzy i delikatni. Wszelako nie zdołali ukryć zgryzoty, która pozbawiała ich całej radości życia. Przy stole panowało milczenie, a każdą rozmowę, jeżeli wogóle rozma-

wiano, — zdarzało się to bowiem tylko w razie koniecznej potrzeby — prowadzono szeptem. Jakże długie wydawały się dni! jak każdy sprzęt domowy wpatrywał się nieubłaganie w Gustawa, który miał wrażenie, że tak będzie już wiecznie, że on już nigdy w życiu nie wydostanie się z kleszczów, jakimi stały się dlań te cztery ściany! A wieczorem urządzała mu rodzice w swej wzruszającej prostocie jeszcze scenę, której okrucieństwa nie domyślali się nawet. Rozłożywszy, jak zwykle, biblię, wzywali Gustawa, sadzali go obok siebie, podawali mu z obu stron rękę i drżącym, często łzami zdławionym głosem czytali rozdział o marnotrawnym synu. Następnie całowali go ze wzruszeniem i z ciężkim, troską przygnębieniem sercem udawali się na spoczynek, lecz sen ulatywał z ich powiek.

Gustaw znosił to przez dni trzy od czwartku do soboty. W niedzielę rano wszakże, gdy śród szarego, brudnego, dżdżystego świtu, natrętny dzwonek jęczał mu dokoła uszu zapowiedź święta bez końca, kiedy nikt nie wie, co ma począć ze sobą, a tem bardziej z bliźnim, ogarnęła go taka rozpacz, że uświadomił sobie, iż głębiej na dno zapaść się chyba nie może. I nagle wydało mu się, że stanie się z nim jak z człowiekiem w wodzie bieżącej, kiedy po najsilniejszym spadku fala

podnosi go znów powoli, w chwili, gdy mniema, że jest bliski uduszenia. To wrażenie dodało mu poniekąd otuchy i gdy zaczął spokojnie rozważać okoliczności, doszedł do wniosku, że z tej sytuacji: siedzenia w domu albo pokazywania się publicznie, przechadzka w samotności jest pożądanem wyjściem.

Ponieważ zaś był z natury człowiekiem rozumnym, przeto wykonał niezwłocznie to, co uważał za pożyteczne i, nie bacząc na deszcz, podążył za róg, do lasu, gdzie z zadowoleniem wyobrażał sobie mękę, której uniknął, dzięki swej mądrości, a która daremnie czekała nań w domu; z rozkoszą słuchał odgłosu dzwonów, wzywających na kazanie, gdzie go nikt nie znajdzie.

\* \* \*

Tymczasem czcigodny Rebenach, pełen odwagi i zaczepnego ducha, kroczył w otoczeniu siedmiu córek ku kościołowi, jakkolwiek stopniowo ogarniała go skrycie litość, albowiem zdawało się, że zbyt niemilosiernie obszedł się z biednym Gustawem. Wszelako na widok, że miejsce Gustawa pozostało niezajęte, tak że liczne subtelne aluzje i trafne porównania konały bez echa w pustem miejscu ławki kościelnej, ogarnął go niepokromiony gniew proroka i piorunował na cztery wiatry.

— Pan Bóg musi widocznie jeszcze głębiej zanurzyć Gustiego w tyglu, żeby z niego wysmażyć do reszty to zakamieniałe zuchwalstwo.

Tak prawił po powrocie do domu, gdy żona zdejmowała zeń kapłańską szatę.

O lekcjach muzyki nie chciał już wcale słyszeć; cofnął swą rękę opiekuńczą, pozostawiając Gustawa na łasce srogiego losu.



---

## ROZDZIAŁ III.

### Błogie lenistwo.

**S**rogi los przybrał najpierw postać kapryśnej pogody kwietniowej, która pozwalała tylko na marne, urywane przechadzki i często obdarzała obuwie i spodnie Gustawa grudami ziemi rolnej i leśnej.

Gdy wszakże około połowy maja słońce zaczęło opromieniać tonący w soczystej zieleni krajobraz, Gustaw wyfrunął jak jaskółka i latał od wczesnego ranka do późnego wieczora, wracając tylko jeść do domu.

Zrazu nawet od czasu do czasu nie przychodził na obiad; ale, gdy powracał, matka prosiła go tak usilnie, żeby jej tej przykrości więcej nie przyczyniał, że wkońcu, skoro tylko doleciało go o południu drgające echo dzwonka, zbiegał pędem ze stromych stoków poprzez kamienie i odłamki skał, byle się nie spóźnić.

Blacharzowa bowiem nawróciła się i nie myślała już, że lepiej byłoby może, gdyby Pan Bóg

był dzieckiem powołał do siebie Gustawa, a stało się to, gdy pewnego dnia po południu przeczytała w gazecie, że jakiś student wyskoczył oknem z czwartego piętra, bo nie zdał egzaminu. Tego samego popołudnia pobiegła, jak ścigana sarna, aż do skał przy wodospadzie, a gdy za powrotem zastała swego Gustawa w domu, pogłaskała go po twarzy i drżącym głosem pochwaliła za to, że, wobec jego miłości synowskiej, może być przynajmniej pewna, iż nigdy żadnej krzywdy sobie nie zrobi.

Odtąd, skoro przekroczony został punkt kulminacyjny wspólnej niedoli, — syn, po całodziennej nieobecności, witany był mile wieczorem. Ustało też od tego dnia czytanie przypowieści o synu marnotrawnym.

Gustaw, pomimo całej rozpacz, skutkiem ustawicznego łażenia po górach w słońcu, nigdy jeszcze nie wyglądał tak zdrowo, nie miał takiej świeżej cery, a jeżeli niekiedy kładł się na ziemię na odległym pagórku w głąb lasu i łkał, działo się to nietylko ze zgryzoty, ale również i z przeczucia nieznanego, rzewnego szczęścia, które snuło mu się przed oczyma, a którego nigdzie w lesie uchwycić nie mógł. Przed każdą stromą ścieżką zdawało mu się, że musi z dołu dążyć ku niemu cudna kobieta w błękitnej szacie aksamitnej, piękniejsza

niż wszystkie córki profesorskie w mieście uniwersyteckiem. Na wierzchołkach przeciągały przed nim korowody nadziemskich istot, jak cyrkówki na białych i czarnych rumakach, w srebrnych i złotych zbrojach. I zdarzało mu się często, że oglądał się, czy nie czai się za nim z tyłu jakieś rajskie widmo. Gdy następnie nie znajdował nic prócz stada mrówek, wdrapujących się po okrągłaku, ocierał jak jeleni rozpalone policzki o gładki pień buku.

\* \* \*

Rajskie oczekiwania nie przeszkadzały mu zresztą odczuwać milej swojskości w chłopskich wioskach wśród gór i lasów, o ile przecinały mu drogę. Gdzie tylko coś się ukazało, wpatrywał się rozmarzonymi oczyma, a gdzie mignął ogródek, osnuł go swoją wyobraźnią. Każda ludzka siedziba stawała się dlań wydarzeniem, a w każdym wydarzeniu działały się przedziwne cuda; cuda te wszakże nie miały warkoczy ani pukli. Tu i owdzie przyłgnał i powracał. Niewielka gospoda na szczycie góry, gdzie zachodzące słońce bawiło się w rozgawianie szyb okiennych, tak że nagi wierzchołek tonął zupełnie w ogniu, służyła mu przez dni kilka za postój wieczorny. Nie zamawiał tam wprawdzie ani wina, ani piwa, rozkoszował się

natomiast zakurzonym szpinetem, w którym brakło różnych tonów, a niejeden klawisz był pólamany.

Gustaw nie zwrócił nawet na to uwagi, zadowalając się tem, co istniało, i to podsunął swojej brzemiennej radością wyobraźni, która, dzięki temu, stanęła w trzech czwartych w rzeczywistości. Coś ujmującego, z poczciwemi oczami, czego nie znał nawet z imienia, zajaśniało gdy wchodził, siadało z robótką przy nim, dopóki grał, nakazywało gościom milczenie i odprowadzało go do drzwi, skoro się oddalał. Nigdy nie zawiązywał rozmowy; niechętnie i krótkie dawał odpowiedzi. Tam, gdzie przyjmowało go zaczepne powitanie lub wyzywające spojrzenie — nie powracał. Albowiem nastrój jego był zawsze uroczysty, oko upojone słońcem, serce pełne śpiewających przeczuć.

Ale spłoszyć między szpalerem brzoskwiniowym a płotem pigwowym młodocianą kształtną postać, która na jego widok wyprostowała się i wytrzymała jego szukający wzrok, przeciwstawiając mu przekornie pytające spojrzenie, tak że przy mijaniu się dusza przelotnie otarła się o duszę, jak aksamit o jedwab — było mu uciechą; i taką uciechę wyznaczał sobie jako nagrodę za każdy rzetelnie zdobyty pomysł muzyczny. W ten sposób wędrował, bez celu i zamiaru, w obrębie

górnego kantonu, jak Adam w ogrodzie Edenu, jak gnany wiatrem kwiat kasztanu, który nie zna dróg ani ścieżek na ziemi, ale zadrży, ilekroć powiew przyniesie woń kasztanową.

\* \* \*

Skoro potem o zmierzchu wracał do Heimlingenu, mając wzrok olśniony długim przebywaniem wśród balsamicznego czaru leśnego, skórę wytrawioną powietrzem i krwią młodzieńczą elastycznie wyprężoną, a każdy mięsień wzmocniony rozkosznym zmęczeniem, czuł się przyjacielem wszystkich ludzi, a każda rzecz była mu swojska.

Gdy szedł od dolnej bramy, witał go podskokami jamnik leśniczego, wił się z życzliwości, jak jaszczurka, machał ogonem i tłukł nim o chodnik. Jeżeli z góry schodził do miasteczka, zielona papuga majora skrzeczała przez okno: „Marjasz, ty durniu! Serce to atut!” A studnia, która u wejścia w boczną ulicę tryskała w cieniu wieczornym, czerpała światło z jego oczu, tak że wpływ z rury mienił się tysiącem kolorów.

W domu witał go cichy, ciepły nastrój gniazda, który dlatego, że na krótko przedtem panował w nim bezrozumny zamęt uczuć, stawał się jeszcze serdeczniejszy. Chyba, że furczały chłopcu chrapaszczce w rękawie, czego blacharzowie bez-

warunkowo nie znosili. Dlatego też Gusti poddawany był co wieczór szczególnej rewizji, zanim mu w zupełności zaufano.

\* \* \*

W dziecinnej prostocie ducha Gustaw nie myślał zupełnie o tem, że ta włóczęga, która stopniowo zaczęła mu się wydawać rzeczą zupełnie naturalną, może kiedykolwiek się skończyć. Ojciec wszakże tłumaczył to rozkoszowanie się zielenią upodobaniem do botaniki i niejednokrotnie powtarzał żonie, że, jeżeli już chłopiec nie jest zdatny na doktora, trzeba istotnie uznać za rzecz najrozsądniejszą, żeby skierował oko na aptekę.

Dopóki pewnego wieczora domniemany aptekarz nie przyniósł gencjany jako niezapominajki, a wtedy zaświtało w umyśle blacharza dręczące przeczucie, że syn jego marnuje czas w górach.

Odtąd czarodziej patrzył krzywem okiem na codzienne wycieczki syna, a nieufność jego potęgował jeszcze głos opinii publicznej, która pod niemiarodajną postacią zapytań coraz troskliwiej zajmowała się Gustawem, gdy blacharz po wieczery sprawował obywatelskie obowiązki „Podwołem,” albo w „Zgodzie.” Kiedyż nareszcie skończą się „wakacje egzaminowe” i co ostatecznie zamierza zrobić z nieudanego studenta? Czy nie

uważa sam, że byłby nareszcie czas zdecydować się i obrać uczciwy zawód? Albo może jego żona, blacharzowa, odziedziczyła potajemnie spadek, i dlatego on, blacharz, może pozwolić sobie na taki zbytek, żeby jego dzieci, jak arystokratyczne próżniaki, kradły Panu Bogu czas w lasach?

Blacharz miał woskową naturę, tak że każdy energiczny sąd zostawiał swój odcisk na jego przekonaniach. Stąd też podczas obiadu każdą zasłyszaną od gminy mądrość wykladał jako myśl własną, skutkiem czego niemiły nastroj ponownie zapanował w domu. Gustaw bowiem czuł się dotknięty w swoim gnuśnym idealizmie wonią piwiarni tej zaściankowej filozofji, i nie krył się z tem. Matka zaś, występując w charakterze pośredniczki, omal nie wywołała wojny między ojcem a synem.

\* \* \*

Mniemała mianowicie, że przecież Gustaw mógłby ostatecznie równie dobrze zostać muzykiem, skoro od najmłodszych lat okazywał do muzyki takie niepohamowane upodobanie. Stąd więc oraz dlatego, że żadne inne wrota otworzyć się nie chciały, wydobyte zostały wszystkie, najdrobniejsze nawet strzępki nut, wałęsające się między zeszytami szkolnemi, przepisane lub do-

pełnione śpiesznie, złożone w tece i wręczone do łaskawej oceny panu Steckliemu, nauczycielowi szkoły średniej, dyrektorowi chóru mieszanego. Wytworzyło to krótki okres gorączkowego oczekiwania, który wyzyskała nadzieja, żeby się ponownie czasowo zakraść. Wszakże czwartego dnia czarodziej spotkał Stecklego, nauczyciela szkoły średniej, który go zaczepił, mówił popularnie o tem i owem, o rewizji konstytucji, o objaśnieniach do Bacha, o Bułgarji i Paragwaju, o Seppeludim, który zmarł nagle w nocy, po pijanemu, o Jonasie Haurim, który od dzisiejszego ranka siedzi w więzieniu, albowiem zdaje się, że miał nieszczęście roztrwonić fundusze gminy, i o tem, jakie ogólne współczucie towarzyszy powszechnie temu szanowanemu mężowi.

Wkońcu wspomniał też mimochodem o Gustawie. Przeprasza bardzo, że jeszcze nie napisał, ale to wielka odpowiedzialność; można się tak łatwo omylić. Musi jednak wyznać otwarcie, że ze swojej strony nie znalazł w tych, coprawda, nieco pobieżnie skreślonych kompozycjach nic takiego, coby go upoważniło do zachęcania ojca, by powziął brzemienne w skutki postanowienie i pozwolił synowi obrać ciernistą karierę artystyczną, która w bardzo rzadkim wypadku, jaki w danym razie zdarzyć się chyba nie może, usłana



jest różami. Jednakże, jak powiedział, odpowiedzialność jest ciężka; radzi zatem blacharzowi, żeby dla zupełnej pewności złożył akta panu kapelmistrzowi Storchowi w Obsigen, dyrektorowi zeszłorocznej uroczystości śpiewackiej, którego wyrok na ślepo podpisze.

Tak się też stało. Ale gdy po dwóch tygodniach nadeszło oczekiwane z upragnieniem pismo ze znaczkiem pocztowym Obsigen — pocztą południową podczas obiadu — blacharz stanął w oknie, odczytał list w milczeniu, wetknął go do bocznej kieszeni, milczał w dalszym ciągu i dokończył zupę. Odsunął wino i nie chciał jeść mięsa.

Przy wstawaniu od stołu żółć go zaląła:

— Tu nic i tam nic i wszędzie nic!

Oczy Gustawa roziskrzyły się, mięśnie twarzy zadrgały. Ale błagalne ruchy matki sprawiły, że połknął odpowiedź.

Blacharz, po odejściu Gustawa, rozkazał zbołałym głosem przynieść z powrotem mięso z kuchni.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Na plebanji.

Pastor uważał, że teraz nadeszła odpowiednia chwila do wystąpienia z atutem.

Z przykrością musiał zauważyć, że los, bez względu na jego plany strategiczne, operował samodzielnie i że penitent, zamiast smażyć się w tyglu, z każdym dniem bujniej rozkwitał. Stąd mniemał, że lepiej będzie nie powierzać niebu jedynie nawrócenia, lecz wciągnąć grzesznika do swego otoczenia, tak, aby atmosfera domowa plebanji mogła nań oddziaływać. Szukał tylko, jako wytrawny kapłan-dyplomata, odpowiedniego pozoru dla zmiany polityki.

Skoro tylko zasłyszał o nieprzychylniej krytyce obu muzyków narodowych, do których miał serdeczną urazę jako do wychowawców seminarjum, schwytał tę okoliczność, żeby jednocześnie dopomóc swemu Gustawowi i dać prztyka w nos znienawidzonym bakałarzom.

Podreptał zatem do blacharzów i wyłożył im osobliwym, nawpół świszczącym, napoły grzmią-

cym głosem — sposób mówienia, nazwany w Heimlingenie gdakaniem — swój plan w sprawie lekcji na plebanji. Co też o tem myśla?

Blacharzowie rozplywali się w uniesieniu wdzieczności. Niemniej jednak sumienie nakazywało im zwrócić uwagę pana pastora na to, że Gustaw jest bardzo słaby w muzyce, tak przynajmniej zapewnili pan nauczyciel szkoły średniej Steckli, i pan kapelmistrz Storch.

Pastor podniósł stentorowy głos: pan nauczyciel szkoły średniej Steckli może sobie rozprawiać o zaletach guana wobec najnowszego kantonalnego regulaminu szkolnego, tylko nie o muzyce. A pan kapelmistrz Storch niech się najpierw nauczy od Gustawa alfabetu nutowego, zanim się odważy wydawać o nim sądy! Tak powiedział zezując ze wzburzenia.

Poczem dodał spokojnie, udobruchany jerychońskimi tonami własnej krtani:

— A więc niechno tylko Gustaw zacznie zaraz jutro rano. Tak między dziesiątą a jedenastą, albo i wcześniej; zresztą jak mu będzie dogodnie.

\* \* \*

Następnego dnia Gustaw w najnowszym garniturze, starannie wyczyszczonym i niezliczone razy wygładzonym przez blacharzową, która sku-

bała go raz wraz to w nogę, to w rękę, ruszył w drogę na plebanję. Matka kupiła mu nawet na tę uroczystą wizytę nowy kapelusz słomkowy, który, ile że był trochę za duży, wypchała starannie gazetą zamiast podszewki.

Skoro ruszył w drogę taki wysztafirowany, ściagała go wzrokiem, dumna z przystojnego niedoszłego studenta i ufała Bogu, że wszystko jeszcze odwróci się na lepsze. W cichości ducha zaś żywiła nadzieję, że Gustaw będzie dosyć mądry żeby się zakochać w jednej z siedmiu pastorówien, skoro nastęcza mu się teraz taka piękna ku temu sposobność.

Gdy nowo upieczony nauczyciel muzyki przedstawił się na plebanji, doznał osobliwego przyjęcia. Helena, najstarsza pastorówna, wchodząc do salonu, gdzie czekał skromnie z kapeluszem w ręku, nie ośmieliwszy się przeglądać fotografii w albumie o złoconych brzegach, — zdumiała się na jego widok, ukloniła się, powstrzymując śmiech, i niezwłocznie znikła.

Poczem ukazała się reszta pastorówien, jedna po drugiej, najpierw Mina, trzecia, potem Emma czwarta, a wreszcie trzy najmłodsze razem. Weszły, spojrzały na niego, krzyknęły głośno z uciechy i wymknęły się co rychlej z powrotem, omal nie przewracając się wzajemnie z wielkiej wesołości.

Aż wkońcu pani pastorowa z Marją, drugą z kolei, powitała go uprzejmie, ze spokojnym uśmiechem podając mu rękę. Gustaw brał swoje posłannictwo poważnie, tak że dawał krótkie i banalne odpowiedzi, dopóki Marja nie zasiadła do fortepianu, aby wykorzystać jego wiedzę i umiejętność. Niebawem zapomniał o wszystkim, układał jej palce jak należy, poprawiał uderzenie, podskakiwał podrażniony, jak gdyby go ukąsiła pszczoła, ilekroć opuszczała krzyżyk, albo bemol, nie szcędził natomiast okrzyków zachwytu, gdy przyszła kolej na świetnie odegrany pasaż. Marja zachowywała się nieśmiało i była posłuszna wszystkim uwagom nauczyciela, przy czem jednak unikała wytrwale patrzenia na niego.

A przez ten czas drzwi otwierały się raz po raz, ukazując zaciekawione głowy dziewczęce, które niezwłocznie znów znikaly. W korytarzu zaś rozlegał się ustawiczny szept i wołanie, przerywane nawpół tłumionym, wesołym śmiechem.

I gdy Gustaw najmniej się tego spodziewał, Marja utkwiała wzrok w klawisze, złożyła dłonie na kolanach, wzruszyła ramionami, zagryzła usta — i wybuchnąwszy wkońcu spazmatycznym śmiechem, co rychlej opuściła pokój. Gdyby pani pastorowa nie była mu podziękowała najuprzejmiejmiemi słowami i gdyby go nie była usi nie

zaprosiła, żeby przychodził codziennie, nie powróciłby prawdopodobnie.

Gdy stanął w progu domu, z ust blacharzowej wyrwał się lekki okrzyk przerażenia.

— Chyba nie pokazałeś się tak na plebanji!  
— zawołała i zaprowadziła go do lustra.

Na czole miał przyklejony kawałek gazety, na której wydrukowane było, między innymi, co następuje:

„Dla pań!!! Wykształcony młodzieniec, ujmującej powierzchowności, poszukuje, nie mając znajomych pań, na tej dosyć zwykłej już drodze odpowiedniej towarzyszkii do wspólnej wędrówki życiowej. Do urody nie przywiązuje takiej wagi, jak do łagodnego charakteru i pewnego posagu. Oferty proszę przysyłać do redakcji dziennika pod lit. A. N. Najściślejsza dyskrecja zapewniona.”

Była to owa gazeta, którą troskliwa blacharzowa powtykała mu w kapelusz i która, skutkiem upału, przyklepiła się do czoła. W ten sposób nazbyt gorliwe usiłowania blacharzowej, pragnącej, aby jej syn przedstawił się na plebanji w najlepszym świetle, okryły go śmiesznością.

Jedna z pastorówien wszakże, trzecia, imieniem Mina, zakochała się odrazu w Gustawie, jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie. Chodzi bo-

wiem tylko o to, — gdy się jest młodym i przystojnym, żeby w sercu dziewczęciem wywołać wrażenie, mniejsza o to, czem.

\* \* \*

I odtąd Gustaw chodził codziennie na probostwo, zrazu na godzinę, potem na dwie, potem na pół dnia, a wkrótce potem na cały dzień.

Było mu tam dobrze; rozumiano jego charakter, ceniono jego talent i przebaczano mu jego dziwactwa. Człowiek o bujnej wyobraźni znalazł opiekę w domu urzędowni przez państwo uwierzytelnionego znawcy metafizyki wschodu, określonego nazwą „plebana.” Nie przeszkadzało bynajmniej, że metafizyka subwencjonowana była zupełnie inna niż metafizyka Gustawa, że pleban wszystko, co nadprzyrodzone, wywodził z Kanaanu, on zaś po wszelkie abstrakcje sięgał w sfery Parnasu i Arkadij; główna rzecz, iż każdy z nich za najwyższy cel człowieka uważał coś, co nie służyło do jedzenia i do zapłaty, słowem, że obaj mieli jakiś ideał. Plebanja stała się dla wyrodnego młodzieńca tem, czem niegdyś w wiekach średnich kościół dla ludzi podobnego usposobienia: schroniskiem wśród świata realizmu i barbarzyństwa. Albowiem ubóstwo i przygniatające duszę troski pieniężne, które mu towarzyszą, jest

również barbarzyństwem, jakkolwiek niezasłużonem.

Nie można jednak powiedzieć, żeby Gustaw wśród swoich współobywateli nie miał sympatji. Lubili go jako rodaka i krewnego, pomimo nieszczęścia na egzaminie, i niejeden, przechodząc, rzucił mu życzliwe słowo, które przejmowało go wdzięcznością. Ale przy tej całej życzliwości zrobiliby go pisarzem gminnym lub w najlepszym razie pocztmistrzem, gdyż dla jego talentu artystycznego nie mieli ani zrozumienia, ani go mogli użytkować, jakkolwiek Gustaw posiadał ten sam gatunek wyobraźni, jaki jest właściwy Heimlingeńczykom, tylko w wyższym stopniu.

Nie było to oczywiście ich winą, ale było jego nieszczęściem, i to okrutnem nieszczęściem. Bo czuć, że w sercu wygasa promienny talent, to boli.

\* \* \*

Na plebanji mógł tedy Gustaw grać na fortepianie i rozkoszować się pięknem wedle woli i ochoty.

Liczny miejscowy świat kobiecy dopomagał mu do tego, a stary Rebenach, radując się bogactwem duchowego życia swego Gustawa, którego uważał za własnego syna, nie zapominał o katechizacji.



Ostrożne, podstępne zapędy w tym kierunku, podejmowane nader rzadko, z zamiarem napadnięcia na wroga od tyłu, kończyły się za każdym razem żałościwie. Gustaw bowiem miał za każdorazowym usiłowaniem nawrócenia następującą przemowę w pogotowiu:

— Dobrze! — oświadczał z przekonaniem, — zamieszkajmy razem w jaskini pod wodospadem, jak 'prawdziwi pobożni chrześcijanie; tam, ale w żadnym innem miejscu, rozprawiać będziemy o grzechach doczesnych. A rozumie się, panie pastorze, żonę i córki zostawi pan w domu; bo kobiety dla chrześcijanina stanowią balast świecki. A pieczeni cielęcej również nie będzie można prowadzać, bo byłoby to babilońskie obżarstwo; o winie bordeaux mowy nawet być nie może, jedynem pożywieniem pańskim mogą być koniki polne, no, może i glisty, w sosie z zimnej wody. Niechno pan pastor pożyje tak przez tydzień, to może mnie pan nawróci, ale nie wcześniej; napewno.

Napróżno wysiłał się pastor na kulturalno-historyczne dowodzenia o różnicy między tamtą epoką a obecną, daremnie analizował pojęcia, by ulubieńcowi swojemu dowieść, że prawdziwa ucieczka od świata polega właśnie na tem, żeby od świata nie uciekać. Gustaw wskazywał zawsze

uparcie wodospad, aż wreszcie pastor, który umiał toczyć walkę przeciw przyczynom i zasadom, ale nie przeciw jaskiniom, ocierał pot z czoła i posyłał buntowniczego logika do fortepianu.

Skoro zaś Gustaw wracał do domu, rodzice jego mrugali i drobnymi pytaniami usiłowali z niego wydobyć, która z siedmiu córek najlepiej mu przypada do gustu. Bo im dłużej trwały lekcje, tem mniej wątpili o tem, że, ponieważ Gustaw ciągle tkwi na plebanji, wkońcu jedna z pastarówien go się uczepli.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Ida.

**C**oraz częściej mówiono na plebanji o tem, że teraz już wkrótce przyjedzie Ida z Neuenburga.

Pastorówny pokazały też Gustawowi fotografię młodej dziewczyny, pytając natarczywie, niemal groźnie, czy nie uważa, że jest nad wszelkie porównanie cudowna.

A gdy wyraził chłodno swój podziw, podniósł się wielki gwałt. Jak to wogóle możliwe, żeby na świecie znalazł się ktoś, kto nie zachwyca się Idą! Potworność! hańba! objaw prawdziwie honolulskiego gustu! Takie serdeczne, takie miłe, takie urocze stworzenie, że one naprawdę wszystkie razem są w niej rozkochane!

Ida była przyjaciółką Mineli, która zawarła z nią znajomość w Neuenburgu, gdzie była na pensji.

Takie głupie ceregiele wyprawiano z tą Idą na plebanji, że Gustaw powziął lekką urazę do

nieznanej przyczyny nedorzecznego entuzjazmu. Stąd też, gdy stałe zdanie: „Teraz już niedługo Ida przyjedzie!” zamieniło się wreszcie: „Ida przyjedzie pojutrze” — postanowił pozostać w domu.

W tym samym czasie powiedziano, jakby mimochodem: „Filip wraca na przyszły tydzień”.

Posłuszny kapryswi, jak zawsze, Gustaw w dniu przyjazdu Idy pozostał tedy wyjątkowo w domu i pomagał ojcu na podwóreczku od strony potoku lutować, aby mu pokazać, że i on może się na coś przydać, gdy trzeba.

Dziwne to było podwóreczko, takie tylko w Heimlingenie spotkać można: niewielka wolna przestrzeń, na wysokości trzech pięter, zacieśniona ze wszystkich stron, w rogach spadziste schody, sześć-, dziesięć-, dwudziestostopniowe, dokoła trzy ganki, jeden na parterze, dwa na pierwszym piętrze, z których frontowy biegł dokoła samego domu, tylny zaś dokoła drwalni, na górze; na trzecim piętrze most, prowadzący na taras, złączony z dachem drwalni, na każdej kondygnacji jakaś schnąca sztuka bielizny i kilka doniczek kwiatów, od góry do dołu zaś, zarówno na domu jak na moście i schodach, dzikie wino i różne pnącze. A na wąskim placyku samego podwóreczka, tuż obok tylnych drzwi domu, mnóstwo naczyń i na-

rzędzi, żerdzie, tyki, grabie, siekiery i różnorodne towary blacharskie. Minjaturowym ogródkiem w kierunku potoku podzieliły się sałata, pietruszka, ostróżka, oraz okazy flory letniej i jesiennej. Do ogródka prowadziło pół tuzina ścieżek, jedna przez środek drwalni, pełnej zapachu sosny, druga przez pralnię, trzecia szła od ganku, czwarta z tarasu; można też było przecisnąć się na prawo i na lewo w bok, mimo kurnika, przez furtkę w płocie. Płot służył także do ochrony przed drobiem, aby kaczkę, idąc od potoku, nie dreptały po rabatach kwiatowych.

I w tym spiętrzonej nieładzie, w tych licznych zakątkach i rogach błakał się blask słoneczny, nie wiedząc sam, skąd się tu dostał i dokąd się zwrócić. Jak ryby do węża: wślizgnął się łatwo, ale wyślizgnąć się było mu trudno. Godzinami całymi wygrzewał przed południem deski, jak-gdyby chciał je podpalić, a jednocześnie pralnia wysyłała chłodny powiew, i ogródeczek, ocieniony lasem z tamtej strony potoku, spoczywał w mroku, tak że tylko kwiaty i główki cebuli jaśniały na czarnej ziemi. Około południa promienie iskrzyły się, padając zgóry przez szpary ganków, albo ostremi, cienkimi linjami migocąc jak srebro i diamenty na wszystkie strony, albo wskos szeroką, przyćmioną, złotawo-brązową smugą, w któ-

rej wirował pył i krążyły muchy. Po południu zaś blask tryskał przed domem, albo spływał z dachu na schody i ganki, tak że podwóreczko zalane było figurami świetlnymi i cienistymi wszelkich od-cieni i kształtów, jak gdyby wysypano je z dwóch pudełek zabawek geometrycznych. Gdziekolwiek było spojrzeć, migotał deszcz promieni, cze-piały się złote plamy, jak przygwożdżone, obracały się blade, nieokreślone krążki. Wszelako, żeby zobaczyć samo słońce, które wyczarowywało te wszystkie cuda, trzeba było obrócić głowę.

Gustaw w swem błogiem lenistwie lubił prze-bywać całemi godzinami na podwóreczku, tonąc w miłym nastroju, wynikającym w części z odle-głych wspomnień, w części z rozkosznego odosob-nienia. Tutaj nawiedzały go najpiękniejsze har-monje, albowiem fantazja jest najlotniejsza wtedy, gdy oko ma przed sobą tamę. Jeżeli zatem dopo-magał niekiedy ojcu, czarodziejowi, lutować, nie było to dla niego prawie żadną ofiarą, albowiem blask słoneczny zaczynał w sercu jego śpiewać, a złoto promieni zamieniało się na akordy, sto-sownie do systemu wolnego handlu, i celnego tra-ktatu zamiennego, który obowiązuje na całym wielkim obszarze związkowego państwa piękna.

\* \* \*

Była trzecia po południu i Gustaw rozniecał właśnie niebieskawy płomyk ołowiu, którego rozżarzoną woń metaliczną wdychał z rozkoszą, niby zgęszczone lato, gdy nagle ganek ztyłu domu ugarnirował się półtuzinem dziewcząt, wyglądających tak wesoło i ujmująco, jak gdyby zamierzały na tej swojej estradzie zatańczyć walca wiedeńskiego.

Były to cztery pastorówny, a obok nich jakaś nieznajoma w kostjumie marynarskim w białe i granatowe pasy, który stanowił taką zuchwałą sprzeczność z jej delikatną, wykwintną twarzyczką, że Gustawowi zdawało się, iż musi koniecznie pobiegnąć po schodach, by tę sprzeczność wyrównać pocałunkiem.

Teraz wysunęła się z sieni blacharzowa i szepnęła czarodziejowi do ucha, że pastorówny przyszły go prosić, żeby w tych dniach, przy okazji, jak będzie miał czas, naprawił rynnę na dachu plebanji, dopóki jest jeszcze pogodnie. Przytem panny radeby chętnie pokazać przyjaciółce z Neuenburga podwóreczko z gankami i ogródkiem i potokiem; bo to nawpół malarka i strasznie lubi takie stare, zatęchłe kąty.

Tymczasem dziewczęta zeszły dwiema grupami po różnych schodach, unosząc się na nierównych, chwiejnych i przedziurawionych sto-

pniach, jak artystki cyrkowe, i przepaszając usilnie za natręctwo.

— Moja przyjaciółka Ida z Neuenburga — oświadczyła Mina.

Ida wypowiedziała ciche powitanie, przyczem mówiąc, wchłaniała powietrze, co na Gustawie, który nigdy jeszcze nic podobnego nie słyszał, wywarło oszołamiające wrażenie. Brzmiało to jak westchnienie słowika, tylko bardziej uduchowione.

Nie był jednak bynajmniej onieśmielony, albowiem znał całe plutony córek profesorskich i zauważył przytem, że przeważnie daleko lepiej można dojść do ładu z córkami niż z ojcami; przeprowadził tedy wesołe grono najpierw do ogródka, potem na taras, wkońcu, ponieważ panny objawiły po temu ochotę, na strych, gdzie, jak gołębie, wyglądały z okienek w dachu na las, który był taki czarny, że dęby i wierzby miały odcień niebieskawy.

A za każdym nowym obrazem Neuenburżanka śmiała się, ile tylko mogła. Ale kąciki jej warg były tak energicznie odgraniczone od jej lic przecinkiem z każdej strony — jak kiedy architekt oznacza koniec wygiętej linii cienką kreską — że usta jej nie mogły się złożyć do uśmiechu; więc tylko górna warga unosiła się w samym środku



niecو w góęę, i własciwie uśmiechały się tylko o-  
lśniewająco białe łopateczki jej zębów.

Piękna panna chciała nawet obejrzeć sklep  
blacharski, jakkolwiek czarodziej zaklinał się na  
wszystkie świętości, że od miesięcy nie sprowadzał  
nic nowego, nic godnego widzenia. O odbłasku  
mosiądzu, o czarownych smugach światła i olśnie-  
wającym połysku wanien cynkowych, o okienkach  
na szklankach i kwadracikach złota na bronzie nie  
mieli oni wszyscy oczywiście pojęcia, za często  
bowiem je widzieli, by je kiedykolwiek dostrzec.

I gdy precudne dziewczę śledziło zachwy-  
conem okiem te tajemnice świetlne, nie przecu-  
wając, że w tej chwili wygląda daleko czarowniej,  
niż wszystko co podziwia, Mineli pieściła przyja-  
ciółkę ręką i ustami, to wążąc na dłoni jej pukle,  
to składając ukradkiem pocałunek na jej karku.

A blacharzowa widząc, że obca panna zacho-  
wuje się tak po ludzku, zdobyła się na odwagę  
i wystąpiła z prośbą. Z jakiego też materjału zro-  
biona jest jej suknia, szepnęła. Przyczem skubnęła  
Idę za rękaw i, z czcią nawet, przesunęła badawczo  
palce po materjale; młoda dziewczyna, wobec ta-  
kiego podziwu, zarumieniła się żywo ze skro-  
mności i wymownemi słowy obniżyła najhianiebniej  
wartość swojej sukni, jak gdyby chodziło o jej  
kupno.

Gdy powabne towarzystwo, przepraszając raz jeszcze usilnie, pożegnało się, podwóreczko wydało się zupełnie odmienione. Piękne zjawisko w dalszym ciągu błyszczało na ganku, jak gdyby ktoś szybę kolorową nasunął na jasny mur, a Gustawowi wydało się, że ten powiewny cień nie zniknie nigdy, choćby zmieniło się wszystko, od strychu do piwnicy.

Kogo to przypomina mu Ida? Zastanawiał się długo. Prawda: amazonki w błękitnych aksamitnych szatach, które galopowały przed nim, gdy wałęsał się po lesie.

\*            \*            \*

Ida zaś z córkami pastora odbywała dalej podróż eksploracyjną po Heimlingenie.

Nie pragnęła iść w okolice. Nie, radowała ją główna ulica, gdzie odwieczarz zaczął właśnie swoje rozkoszne igraszki.

Bok gospody „Pod gwiazdami” spoczywał już w zupełnym cieniu, ale przeciwległy szereg domów promieniał niedozwolonemi, czarodziejskiemi malowidłami. Były tam, na subtelnie cieniowanym tle murów, wędrujące krążki słoneczne, jak gdyby złote rybki zataczały w wodzie koła. Wysokie, awanturnicze postacie, kroczące jak widma po powierzchni, które nagłym skokiem przerzucały

się z chodnika na dach, albo z góry do dolnej bramy. Przez okna wystawowe maszerowali do sklepów ludzie, lilipuciego wzrostu. Nieopodal bramy górnej, nieco dalej niż gospoda „Pod wołem”, widniał czerwonymi jak cynober literami wypisany szyld: „Magazyn obuwia i mebli Amadeusza Grubera”. Na początkowe M padła plamka blasku słonecznego, która rozjaśniła cynober do barwy ceglastej, wytwarzając w ten sposób wśród innych liter pomyslową odmianę. Wkońcu, w miarę jak złociste światło wycofywało się na dachy, zaczynały też na ulicy zabarwiać się cienie, ukradkiem, tylko na krańcach ujawniając szafir i fiolet.

— Co to jest? — zawołała Ida wesolo, z dobrotliwym uśmiechem, z jakim patrzymy na niezręczne zachowanie się umiłowanego dziecka.

Chodziło jej o bicie zegara. Dzwonił on mianowicie w Heimlingenie w nierównych przerwach każdy kwadrans dwukrotnie, raz tonem wyższym, potem niższym.

Wrażenie, jakie Ida wywarła swoją niezwykłą postacią, nie obchodziło jej wcale. Wieczna troska mieszkańców małego miasteczka, aby, o ile możliwości, zwrócić na siebie uwagę, była jej nieznaną, a gdy po gruntownej naradzie ze zwierciadłem mogła sobie powiedzieć, że jej strój nie grzeszy ani przeciw modzie, ani przeciw skro-

mności, użyczyła każdemu, kto miał na to ochotę, przyjemności gapienia się na nią.

\* \* \*

— Słuchajcie dzieci — zawołała Mineli, gdy skręcały razem w tylną uliczkę — powinnybyśmy właściwie wpaść, przechodząc, do ogrodników.

I, dla uzasadnienia swojej propozycji, wypaplała przyjaciółce naprędce najważniejsze ze spisu cnót córek ogrodnikowych. Życie rodzinne jest wogóle w tym domu najdoskonalsze, jakie sobie wyobrazić można na ziemi.

— Najpierw ogrodnik... od czterech lat chory na podagrę...

Ida podniosła zlekka brwi.

— Matka już od niepamiętnych czasów chora obłożnie...

— I to nazywa się u was najdoskonalszym życiem rodzinnem? — drwiła Ida miękkim, pieszczotliwym głosem altowym, nie śmiejąc się.

— Ach, jacyście wy Waliyczycy nudni z tem nieznośnem czepianiem się słów, zamiast zwracać uwagę na rzecz samą! Nie kanwa jest najważniejsza, tylko haft.

I Mineli paplała teraz w zapale, bez zająknienia:

— Codzień, przynajmniej gdy słońce świeci, trzy córki, Anettli, Loreli i Kaffireli, wynoszą, po-

mimo wprawnych pielęgniarzy, ogrodnika przed dom, na ławkę, skąd może przez okno rozmawiać z żoną, leżącą w łóżku w pokoju, i radować się widokiem utrzymywanych w największym porządku roślin w grządkach; i kolejno, jedna zostaje zawsze przy nim, a druga piele raźnie grabiami i motyką, albo szczepi róże, albo w domu gotuje. Interes na tem nie cierpi i wesołość również. A co piątek, najmłodsza, Kaffireli, wózkiem młynarza jedzie z koszem kwiatów na targ do stolicy, powożąc własnoręcznie i wstępując śmiało po drodze do piwiarni, gdy jest spragniona. Wyjeżdża z domu z pełnym koszem, a wraca z pustym. Ładne zaś są wszystkie trzy, nie możnaby powiedzieć, która najładniejsza. Ruchy mają takie wdzięczne, że oko z przyjemnością na nie patrzy, czy pracują, czy też odpoczywają, a gdy wieczorem rozpuszczą włosy, to spadają im na plecy tak nisko, że mogą na nich usiąść. Obcy przeważnie nie mogą odróżnić Anettli od Loreli. Tylko najmłodsza Kaffireli jakby odrodziła się zupełnie, żwawa jak chart, a szczebiotliwa jak kanarek. Kaffireli ma właściwie na imię Berta. Dlaczego ją przewali Kaffireli, nie wiem; prawdopodobnie po lalce, którą sama tak ochrzciła. Przecież dzieci zawsze trzeba nazwać innem imieniem, nie tem, które im się nadaje. Więc poco imię nadawać?

— Prędko! chodźmy do ogrodników! — nagiła  
Ida.

Tedy dziewczęta podążyły tylną ulicą do ogrodnika, gdzie biegały po okwieconym ogródku jak sarny po parku, ułożyły wygodnie chorą ogrodnikową, zrywały maliny i porzeczki, czerwone i białe, i omal nie zacałowały na śmierć Kaffireli. Bo młode dziewczęta są niesłychanie chętnie do całowania usposobione.

Powróciwszy do domu, na plebanję, uprawiały w dalszym ciągu miłe próżniactwo, to bębniąc na klawiszach obrzydliwą polkę, rade, że surowy Gustaw jej nie słyszy, to spacerując wśród krzewów, to racząc się ciastkami.

W nocy, gdy spoczęły w łózkach, życie towarzyskie rozpoczęło się na dobre. Odwiedzały się wzajemnie, przechodząc boso z jednego pokoju do drugiego, tuliły się do siebie i szeptały sobie tajemnice.

Teraz rozweseliło Idę zabawne wołanie stróża nocnego; zakradając się z jednego łóżka do drugiego, wszędzie przyjmowana z radosnem uniesieniem, to opowiadała sama o osobliwościach Heimlingenu, to słuchała, co jej opowiadano. Mina zaś raczyła swoją najukochańszą przyjaciółkę anegdotami o synu blacharza, począwszy od nieudanego egzaminu i gazety, która mu się

przylepiła do czoła, poczem cofnęła się do jego lat dzieciennych.

Tam z tyłu, przy ogródku, gdzie widziały go dzisiaj po południu, omal kiedyś, dzieckiem będąc, nie utonął, bo wziął dosłownie to, co powiedział ich ojciec, że dla wierzącego niema cudu niemożliwego — i myślał, że może spacerować po wodzie.

I nietylko jako dziecko ale i później był zawsze narwany. Raz, podczas przechadzki szkolnej, wziął tak na serjo swoją rolę wodza rozbójników, że zabłąkał się między skałami i strzelcy i obywatele Heimlingeńscy musieli w nocy urządzić istną obławę, żeby go odnaleźć.

Wogóle nigdy nie umiał odróżnić żartu od rzeczy poważnych, urojenia od rzeczywistości, frazesu od pojęcia. Gdy nauczyciel historii w szkole sławił demokratyczną równość obywateli, Gustaw zaprzyjaźnił się ze świniopasem gospodarza z „Pod wołu“, mówił mu ty i przez kilka tygodni widziano ich ciągle razem, eleganckiego Gusti i obdartego świniopasa Jokeba. Z ciężkim trudem zdołano mu wyjaśnić niestosowność tej przyjaźni i niewiele brakło, a byłby rodzicom wziął bardzo za złe, że tak pogardzali świniopasem Jokebem. Gdzież jest wysławiana równość demokratyczna Szwajcarów? Czyż twierdzenie, że

zawód świniopasa poniżej człowieka, nie jest przesadą kastowym?

Najpocieszniejszy jednak był w czasie konfirmacji, na kilka miesięcy przed pójściem na uniwersytet. Wówczas rodzice jego sprzedali szpinet, bo czarodziej skarżył się, że granie przeszkadza mu w robocie blacharskiej; Gusti mógł zatem grywać tylko u papy, u którego brał lekcje greckiego. Natomiast znalazł starą robaczywą gitarę, relikwię z lat młodzieńczych blacharzowej, która była podobno najlepszą gitarzystką w Heimlingenie.

Przewiesił tę gitarę na błękitnej wstążce jedwabnej przez ramię i włączył się z nią po zachodzie słońca wzdłuż potoku, śpiewając i brzdąkając, jak żydzi nad brzegiem Eufratu. A gdy po drodze spostrzegł gdzie na ganku jaką znośnie przystojną dziewczynę, wchodził bez ceremonji na górę i kazał jej śpiewać razem, tak że dziewczyna była najpewniejsza, iż Gusti chce się z nią żenić, — wydobywała swoją gitarę i jodlowała na całe gardło, a rodzice, pełni pobłażliwości, usuwali się dyskretnie i znosili ser i wino. Tymczasem Gustawowi ani się śniło o małżeństwie i jedynie muzykę miał na myśli.

Ale, gdyby chciała wyliczać wszystkie pocieszne kawały Gustawa, nie starczyłoby całej nocy. Zresztą i tak Ida pozna go sama, bo przecież przychodzi codzien na plebanję na lekcje muzyki.



---

## ROZDZIAŁ VI.

### Szczęście.

**J**uż następnego ranka ukazał się blacharz, żeby zalutować rynnę na dachu plebanji.

W przystępie władzy ojcowskiej zabrał ze sobą na pomocnika Gustawa, pomimo jego oporu. Niech się zawczasu przyzwyczai, wywodził czarodziej, robić coś praktycznego, wcale mu to nie zaszkodzi. Bo i czemu innemu chce zarabiać na chleb? Niech popatrzy na harfistki, które wałęsają się w Heimlingenie na jarmarku. Może ma ochotę włóczyć się z nimi po świecie? Albo może chce sobie wynająć psa i przygrywać na skrzypcach? Grać na skrzypcach nie potrzebuje, Bogu dzięki, bo nie jest ślepy. Albo może woli w gospodach grać na trąbie do tańca i później chodzić z talerzem po jałmużnę? Niech dziękuje Bogu, że jego ojciec ma interes, i że, jeżeli z posady pisarza na pocztę nic nie będzie, będzie mógł przynajmniej jako blacharz zarobić uczciwą pracą na kawałek chleba.

Zapasał mu tedy wielki fartuch na czyste, dobrze skrojone ubranie miejskie, a blacharzowa, w której niezwykła siła woli męża wzbudziła szacunek sprawiając jej skrytą radość, nie odważyła się tym razem przemówić w obronie Gustawa.

Powędrowali tedy razem na probostwo, na przód czarodziej, uzbrojony w swoje sprzęty, a za nim Gustaw z olbrzymią drabiną pod pachą.

I niebawem ojciec i syn, długim sznurem do siebie przywiązani, wisieli okraciem na rynnie.

Gustaw pocieszał się jedynie tem, że piękna Neuenburżanka nie pokazywała się w dziedzińcu ani w żadnem oknie.

Ale za nim, z obu okienek strychu, cała armja dziewczęca, niby dwie barwne gromady gwiazd, przyglądała mu się uważnie, w głębokiem milczeniu, żeby robotnicy się nie przelękli i przypadkiem nie spadli.

Wkrótce pastorowa wezwała na pierwsze śniadanie; blacharz i Gustaw zleźli tyłem przez otwór w dachu, jak kominiarze w komin, a w kwadrans później ukazał się już tylko sam czarodziej.

Pastor powiedział mu, że Gustawa, jako nauczyciela muzyki, zatrzymuje u siebie, nadto zaś dał do zrozumienia, że Gustaw przed dziewiątą wieczór pewnie do domu nie wróci, a fartuch odniesie służąca.

Przepowiednia pastora spełniła się w całej rozciągłości. Albowiem Gustaw pozostał na plebanji do dziesiątej nie tylko tego dnia, ale i następnego i trzeciego i czwartego.

Gdy zaś krótki czas przebywał w domu, kierowany uczuciem rodzinnem, dziewczęta niechybnie wpadały znienacka do mieszkania blacharza jak stado synogarlic, a wtedy ciche podwóreczko rozbrzmiewało ich dźwięczną paplaniną. Temu przecież nie można było się sprzeciwić.

Gustaw, na pytanie, co przez cały dzień robi na plebanji, zdziwił się.

— Nic, — brzmiała odpowiedź.

Pastor Rebenach umiał cenić wartość próżniactwa. Wiedział, że myśli prawdziwej wartości łowi się nie naganką, ale siecią. Kto sieć rozłoży i więcej się o nią nie troszczy, a zcicha dokoła niej chodzi, ani się spodziewa, ile smacznej zwierzyny w niej uwięźnie!

Jednakże nie był artystą; wymagał paszportu dla próżniactwa, jakiejkolwiek urzędowej pieczęci, żeby je usprawiedliwić. Przechadzka i owszem; porządna wycieczka w góry, to orzeźwia ciało i duszę. Dlatego prawił towarzystwu nieustannie tkliwe morały, nalegając, żeby wobec wspaniałej pogody nie tkwili wiecznie przy grzędach kwiatowych i w altankach, lecz żeby puścili

w ruch zwinne postacie, jakimi ich Pan Bóg obdarzył i odważyli się na coś, co byłoby warte zachodu i przyniosło im pokrzepienie.

I pewnego ranka poparł swoje przestrogi takimi grzmiącymi argumentami, że cały rój wyfrunął śpiesznie poza bramę, niby stado spłoszonych kuropatw.

Przewodnika doświadczeńszego od Gustawa nie mogłyby dziewczęta nigdzie znaleźć, albowiem znał on każdy uroczy zakątek w całej okolicy tak dokładnie, jak poduszki własnego łóżka. Najpierw poprowadził je przez ogródek ojca do chwiejnej kładki na potoku, którą każda z osobna przekroczyła z drżeniem i trwogą, uczepiona u jego ręki.

Stamtąd wdrapywali się po urwistem zboczu na zalesioną górę, przyczem za każdym krokiem wchodzili z cienia w słońce i znów napowrót w cień, gdyż tam żarzyło się przez cały ranek w zaroślach, jak w kuźni. Dopiero na samej górze, za wodospadem, wydostali się z płomiennego kotła i dotarli do łagodnego światła dziennego i powiewnych barw.

Tuż nad miasteczkiem, tak że słyhać było stuk warsztatów szmuklerskich oraz głos kobiet, zwołujących swoje dzieci, przy drodze, która od górnej bramy, niby wąż olbrzymi, zbiega przez

zieloną murawę prostopadle zgóry nadół — pokazał dziewczętom Gustaw, za zasloną z buków i wierzb, przewiewną dolinę, przeciętą szemrzącemi strumykami, pełną barwnych kwiatów i wirujących motyli. Błękitne niebo zaś zstępowało tu aż na sam dół, na ziemię.

Dolinę tę nazwano Okienkiem, bo z którejkolwiek strony było przyjść, z mroku lasu czy z jaskrawego światła dziennego, łagodny, czysty lazur nieba czarował niespodzianie wzrok i przynosił ukojenie. Widok otwierał się tu wyłącznie ku górze. Nie była to jednak perspektywa lotu ptasiego, ale jakiś radosny obraz, wytworzony w wyobraźni dziecięcej, jak gdyby w dali, w głębi, gdzie zamykała się dolinka, musiał czekać pod drzewami wózek, a z przodu babcia i z tyłu stękająca prababcia pchały cię w górę na ucztę niebiańską, przepraszając ustawicznie, że się spóźniły.

Gdy Ida dotarła do bramy Okienka i ujrzała naraz, że jest odcięta od całego świata w samotnym zakątku nieba, pociekły jej z oczu lśniące łzy radości, niby rosa z kwitnącego drzewa migdałowego. Wkońcu, przy rozstaniu przed plebanją, spytała z wahaniem, jak gdyby dopuszczała się zuchwalstwa:

— I tam w górze, w tym raj, spędził pan swoje dzieciństwo?

— Tam uczyłem się chodzić — potwierdził Gustaw z uśmiechem.

Wzrok jej spoczął na nim, nie ukradkiem, ale swobodnie, pytająco, jak to miała w zwyczaju. Pragnęła wiedzieć, czy zachował Okienko w pamięci i czy je potajemnie często otwierał. A gdy z oczu jego wyczytała, że zdarzało się to istotnie często, nabrała uspokajającego przekonania, że Gustaw musi być człowiekiem dobrym, choćby umyślnie udawał, że tak nie jest.

\* \* \*

A skoro raz rozpoczęli te wycieczki, dalszy ich ciąg wynikł tak naturalnie, jak przy jedzeniu wiśni.

Nie dlatego, żeby „entuzjasmowali się dla natury”. Ów prerafinowany, a w gruncie taki niesłychanie prozaiczny pęd do uciekania od ludzi i ich dzieł, nie mógł stać w naiwnym i pełnym ochoty do życia gronie. Przeciwnie, niewątpliwie choć jeszcze niewyraźnie skryształizowany zmysł piękna sprawiał, że przeczuwali ową prawdę, iż tylko takie okolice posiadają wartość uczuciową, które noszą ślad jakiegokolwiek pracy człowieczej. Dlatego też nie zapuszczali się nigdy dalej niż wskazywała im świadomość, iż krążą dokoła Heimlingenu, bądź, że dobiegał ich jeszcze jaki dźwięk, czy też, że kłębił się nad doliną lekki obłok dymu,

albo, że pozostała na widowni zapadlina pagórków, wśród których ukrywało się miasteczko.

Ale rozkoszować się nieskończonym łańcuchem radości, pejzażami nazwanym, niewyczerpaną pełnią obrazów, które trzeźwe spojrzenie układa w topograficzne panoramy, lecz które oko artysty umie zestawić w zwarte, odrębną duszą drgające jednostki, w symbole kosmiczne — oto do czego zmierzały ich tęskne pragnienia. Czego nie pochwyliło oko, zbierały inne zmysły, a każdy z nich miał nadmierną obfitość radosnej pracy.

Czy szli wężozem, czy dążyli przez zagony i pola, zawsze odczuwali tchnienie różnorodnego życia i ową znamioną woń zapłodnienia, unoszącą się z żyznej ziemi i jej atmosferycznej osłony. Nie wymagali bynajmniej, aby powietrze było wolne od bakcyliów, przeciwnie; nawet świerszcze i koniki polne, chrząszcze i pszczoły, raki i pstrągi brali chętnie w darze.

Wędrowniaki ich wszakże zawsze zmierzała mimowoli do tego, co ziemia może dać najcudowniejszego, tam, skąd wyobraźnia czerpie swój polot: na górską równinę. I wyszukiwali wygodną płaszczyznę choćby najmniejszą albo klinem wsuniętą w las albo na skraju miedzy, bezpośrednio pod niebem położoną, tak że stokrotki migotały na błękitnym sklepieniu, jak gwiazdy dzienne;

i leżeli godzinami całemi, w najdalszej głębi zakątka, żeby żaden niepożądany widok nie zakłócał błogiego nastroju, natomiast piękno, wonnemi krokami sunąc po trawach, mogło ze wszystkich stron do nich dotrzeć.

I wśród owych zakątków na wysokościach oddawali znów pierwszeństwo tym, które miały znane, przyjazne oblicze ziemi, która, według prawa i przepisów, należała do plebanji. Nazywa się to na papierze „własnością.” W rzeczywistości panuje tam lepsze powietrze, a wszystkie barwy jaśnieją cieplejszym odcieniem. Widzi cię to zdaleka jak wierny pies, a gdy się zbliżysz, przyjmuje cię wszystko, co jest mile i martwe.

Do pastora należały trzy skrawki ziemi, wszystkie od domu daleko i wzajemnie od siebie oddalone. Jeden łan pszenicy za wzgórkami leśniczego, dalej i w górze, ukryte w lesie, obszerne zbocze owocowe, a po drugiej stronie miasteczka, nad ogródkiem, w skałach, soczysta łąka — wszystko razem wzięte obszar mały, ale państwo wielkie, niezmierzone.

Pastorówny znały tu każdą piędź ziemi; ale ilekroć przyszły, znajdowały na każdym kroku coś nowego. Jeżeli za ostatnim ich pobytem drzewa wiśniowe pokryte były puchem śnieżnym, jabłonie osypane bladoróżowemi i złocistemi pączkami, to



teraz paradowały wszystkie w zielonem ulścieniu, a dokoła ich pnia, na ziemi, padał gęsty cień, który z każdym kwadranssem rozkładał się inaczej.

Ida i Mina, zdolnemi będąc rysowniczkami, oddawna już porzuciły partackie malowanie kwiatów i skierowały uwagę na majestatyczne tajemnice kształtu drzew.

Tutaj, na zaprzyjaźnionym gruncie, patrzyły na wszystko jeszcze serdeczniejszym okiem. Liściaste pęki drzew wiśniowych zwieszały się z gałęzi okrakiem jak jeźdźcy, sztywne palce liści orzechowych, szarawe srebro wierzb i topoli, strzępiaste liście dębów mówiły im tysiące miłych rzeczy. A szczęście chciało, że dziewczęta różniły się w przyznawaniu pierwszeństwa jednym cudom nad drugimi, tak że dzięki ich entuzjastycznym sporom i inni mogli brać udział w ich wrażeniach i wraz z nimi uczyli się patrzeć. Ale skoro każde drzewo i każdy krzew i każda woń i cień każdy wkraczały do serca, czyż mogła kończyć się błoga radość?

A bardziej jeszcze niż to, czem rozkoszowały się za każdym razem, przejmowała je szczęściem świadomość, że setki innych obrazów czekały na nie w innej stronie, że miały na dni następne zapas niezliczonych zaproszeń. Wiśnie, które teraz twarde i sztywne, niby czerwone kamyki,

lśniły między liśćmi, zaokrąglą się niebawem na ciemne, miękkie soczyste kulki, między gałęzie wsunie się wysokie drabiny i będzie się zbierało aksamitne perły, żółtawo-czerwone i czarne i zmieszają się razem, a wtedy nie znajdziesz wspanialszej wiązanki kwiatów. Potem przyjdzie kolej na gruszki, którym każde drzewo daje inną duszę — inny smak, odrębny aromat. Potem sianokosy, a w pełni lata, wśród roziskrzonego żaru, przyświecają złote żniwa.

I co stoi na przeszkodzie, żeby Ida pozostała aż do jesieni, albo lepiej i przez zimę? Terminy można odraczać, a rodziców ubłagać.

Że później, w rzeczywistości, dziewięć dziesiątych tych wszystkich planów nie zostało urzeczywistnionych, że przeszkodziło im niezadowolenie i słota i namiętność, że serce wkradło się do przyjaźni i rozproszyło zgodne grono, tego nie mogli jeszcze teraz wiedzieć i dlatego osnuwali teraz — zniechęceni — tęczą słodkich możliwości.

I na tem polega urok życia. Nikt nie pragnie przeżywać powtórnie swego ograniczonego istnienia, ale raz jeszcze, w pełni zmysłów i pożądań duszy, stanąć wobec nieskończonych możliwości — to co innego. Najlepsze w każdej linii życiowej są kropkowane kreski.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Jeſzcze więcej ſzczęścia.

**W**szakże w tę harmonję wrzucił Gustaw obcą, gwałtowną nutę, ton niezadowolonego ſzukającego talentu, błędzącą poomacku wolę, która, zanim wyſledzi właściwe zadania życiowe, ujarzmi tymczasem niewinnych i spokojnych bliźnich, jakby dla rozrywki i dla wprawy, jak młodociany jaguar. Gustaw nie umiał ani gawędzić ani mówić. Małomówność jego była nawet w niezbyt gadatliwym Heimlingenie oſławiona; w porównaniu z nim wydawał ſię nawet gospodarz z „Pod gwiazd” rozmowny. Jeżeli jednak miał przy ſobie człowieka tak ſamo jak on uſposobionego, jak na przykład teraz Ida, wówczas wszystkie jego myśli wyzwały ſię z pęt, a ſkoro raz tama pękła, okazywało ſię, że potok jeſt obfity.

Nie była to paplanina o sztuce, młócaąca językiem nazwy pojęć, i przepisy na ſławę, powożąca papierowym wozem drabiniastym poprzez ſtulecia, — na prawo i na lewo przyczepiająca etykiety, lecz

były to własne, iskrzące się, obrazy myślowe, zrodzone z serca i kraju ojczystego, wykarmione wonią siana z łąk i nagromadzone od najwcześniejszego dzieciństwa.

Niejedno zwał podmuch wiatru, a niejedno przyniosły świeżo burze, i spoczywało to wszystko razem w nieładzie, nieuporządkowane, ale jaśniejące, niby skarb ziaren umysłowych w słodkiej powłoce uczucia.

Ida, poruszona już w głębi serca wyróżnianiem Gustawa przez pastorówny i podbita czarem jego rozmarzonego, goniącego za pięknem spojrzenia, nie zdołała stawić oporu temu bezwzględnemu zalewowi myślowemu. Z pełnem skupienia zdumieniem wsłuchiwała się w chaotyczne objawienia młodej, wprawdzie nieujętej jeszcze w karby, ale oryginalnej indywidualności, w której samorodny duch twórczy mimowoli i nieświadomie sypał dokoła zapładniające myśli, jak balsamina pochewki nasienne.

Ida znała i ceniła licznych wybitnych malarzy dokoła błękitnych jezior Jury, od Bielu aż do Genewy; pochodziła bowiem ze starego rodu malarzy. Dotychczas wszakże widziała zawsze talent rozwijający się jedynie wśród rabatów kwiatowych, starannie pielęgnowany i strzeżony; zaś ta bezpośrednia siła żywiołowa, która usilnie dążyła na wyżyny,

śródm kamienistego gruntu poprzez kurz gościńca i ciernie handlarskiego skąpstwa, budziła w niej wraz ze współczuciem i podziw.

I złożyła Gustawowi w darze to, co dziewczyna może najszlachetniejszego dać mężczyźnie — wiarę w niego.

Przytem nie drażniło jej, że Gustaw, jakkolwiek jej nie odstępował, był dla niej tylko uprzejmy, bynajmniej nie składając holdów, i że za jej biegłe granie dziękował jedynie milczącym ukłonem, w którym wyczuwała aż nadto wyniosłą, wrogą pogardę. Nie siebie samą bowiem, lecz jedynie Gustawa miała na względzie. Co światu zależy na przystojnej dziewczynie? Jest ich tysiące. Ale nie dopuścić, żeby prawdziwy męski talent zmarniał — to rzecz doniosła.

W duszy delikatnej, ładnej dziewczyny, którą można było wziąć za wytworną modną laleczkę, istniało tyle wzniosłego uczucia, że mniemała, iż utoruje mu drogę poprzez własne serce, w razie, gdyby zdołała tą drogą doprowadzić go do zwycięstwa.

Tak mniemała. W rzeczywistości jednak żadna kobieta, nawet najlepsza i najskromniejsza, nie ścierpi dla ukochanego innego miejsca, niż przy swoim boku, choćby miał przez to zginąć.

\* \* \*

Gustawowi samemu to co mówił nie dawało zadowolenia, pobudzało go raczej do stwierdzenia, czem jest, i uświadomienia, czem mógłby być; ta świadomość zaś bolała go. Ów niespokojny, zjadliwy pająk, który zwykliśmy nazywać dzwicznym mianem „talentu”, zaczął nagle znów dawać znaki życia. Po bezsilnem, miesiące trwającym próżniactwie zbudził się pęd twórczy jak cyklon, który wirował dokoła pierwszego lepszego, tymczasem jeszcze nieokreślonego pomysłu, rozniecał wolę Gustawa, lecz szerzył dokoła niego lodowaty chłód.

Zanim się ktokolwiek spostrzegł, Gustaw stał się w zachowaniu nieznośny, nikt nie wiedział dlaczego; odrzucał wszelkie zaproszenia, mówił z obrażającą szorstkością i, nachmurzony, wędrował samotnemi ścieżkami, szczerząc zęby na każdego, jak jamnik podczas swoich rozbójniczych wypraw. Jedynie cierpliwość kobieca i kobieca pokora mogły to nietylko znosić, ale jeszcze przytem kochać.

Równie szybko wszakże odmienił się znów jego nastrój.

Słońce promieniało mu z oczu, gdy po pięciu mrukliwych dniach zgłosił się znów z arkuszem nut w ręku na plebanję.

I, jakgdyby nic nie zaszło, z całą uprzejmością

zmusił dziewczęta, żeby mu zaśpiewały to, co skomponował. I to w lesie na skale, nad kamieniolomem.

Cóż było robić? Że w końcu staną się posłuszne, czuły odrazu. Dlaczegoż więc nie zaraz i chętnie?

Na skale Gustaw nie zadał sobie nawet tyle trudu, żeby takt wybijać.

Nie bardzo wogóle lubił „dyrygować”, wywijając paleczką; w części dlatego, że mu to przypominało nauczyciela Steckli, który, stojąc przed chórem, bił po sobie łokciami, jak zazdrosna czajka skrzydłami, w części dlatego, że przypisywał wykonawcom również iskierkę samodzielności, w części zaś skutkiem jakiejś niesłychanej niefrasobliwości. Pewnego razu na uniwersytecie był świadkiem, jak obcy kompozytor podczas próby orkiestrowej wpadł w szal, bo jakaś trąba się opóźniła, a to wstrętne widowisko pozostawiło w nim takie niezatarte wrażenie odrazy, że przysięgł sobie, iż gdyby kiedykolwiek wypadło mu dyrygować własnym utworem, zrobi umyślnie błąd w partyturze, żeby nie stać się podobnym do owego źle wychowanego niedołęgi.

Słowem, usiadł na ziemi obok Idy, która, pomimo czarującego głosu w mowie nie umiała absolutnie śpiewać, spuścił nogi nad przepaść i słuchał z takim spokojem, taki zadowolony, jak gdyby

kto inny napisał ów utwór, na jego rozkaz, według jego życzenia i wskazówek.

Pastorówny były muzykalnie wykształcone, a głosy miały nieźle wyszkolone, tak że koncert wypadł wcale znośnie.

Kompozycja Gustawa była glorią na chór żeński, w którym usiłował odnaleźć niebiański śpiew radosny, pełne ekstazy upojenie, jakie w dziełach Stradelli i Pergolesego zachwycało go do tego stopnia, że mu dech zamierał w piersi. Sztuka, w jego pojęciu, dawała szczęście, a śpiew był radością duszy. Czy uchybiał przez to komu lub czemu — było mu obojętne.

Biegła tedy gloria ze skały w dolinę melodyjnymi solfedżjami, wzbijała się w niebo oktawami i czarodziejskimi trylami, tak że można było pomyśleć, iż ktoś wysypał na miasteczko klatkę pełną kanarków.

Ze skały widać było ulicę, gdzie ludzie przystawali, zadzierali głowy do góry i wymachiwali kapeluszami. Z okien powiewały niebieskie i czerwone chustki; dzieci zaś zbierały się w gromadki i podnosiły wrzask radosny.

Plebanji nie można było wzrokiem odnaleźć. Ale na górze, nad izdebką ogrodnika, przy grocie pod kasztanem, zjawiała się Kaffireli, wymachując grabiami, żeby na siebie zwrócić uwagę.



Poczem zaczęła jodlować z całych sił: „*Mi Muoter isch e Schwizeri, tallera, lallera, Hodirilu*“ i kręciła się w kółko jak chochlik, przyczem drąg od grabi służył jej za tancerza.

Gdy Kaffireli zakończyła swój taniec, pastorynowy zaczęły znowu glorię, a gloria wywołała na dole znów polkę.

Trwało to przez pewien czas ze zmienną wesołością. Naraz głos Mineli, która dotąd najpiękniej śpiewała altem, załamał się i zaczęła głośno szlochać.

Wywołało to popłoch wśród towarzystwa, a ona, bez żadnego wyjaśnienia, wymknęła się do domu.

\* \* \*

Heimlingeńcy nie gorszyli się bynajmniej wędrówkami pastorynowym z Gustawem, chociaż na samą myśl, że ich własne córki mogłyby się odważyć na coś podobnego, ogarnęłyby ich zgroza. Rodzina pastora stała ponad wszelkimi podejrzeniami i ponad krytyką. A z tego przywileju korzystali i ci, którzy się do niej przyłączali, a więc Ida i Gustaw.

Gdy zgodna gromadka przeciągała ulicą, spotykała wszędzie życzliwe twarze. Dzieci schodziły z drogi, uczennice dygały, a uczniowie uchylali czapek. Kobiety, które nie zdążyły cofnąć się co-

rychlej do sieni, zażenowane, zdobywały się na odwagę i witały mieszkanki plebanji zachęcającem pozdrowieniem, przerażone po chwili własną śmiałością. Mężczyźni zarówno w górze jak i w dole miasteczka wymijali gromadkę, albo wchodząc w boczną ulicę albo też zbaczając ku potokowi.

Ponieważ jednak maszerowali przeważnie ze spuszczoną głową i tylko wtedy podnosili wzrok z pod czarnego bandyckiego kapelusza, gdy wystraszył ich cień postaci ludzkiej, przeto zdarzało się często, że spotykali pastora gromadkę. Wówczas, zwyczajem ojców, przykładali palec wskazujący do piłśniowego kapelusza, spoglądali w bok na mur i pomrukiwali uprzejmie, aby wyrazić życzliwość. Poczem niezwłocznie wzrok ich padał znów na obuwie.

Nawet w tem, że z nastaniem pory deszczowej, od początku sierpnia, Ida z Gustawem przebywali niemal dniami całemi sami przy wodospadzie, nie widzieli ludzie nic złego, jakkolwiek nie mogli pojąć, jaka w tem przyjemność. Pocieszali się wszakże, iż o tem wiedzą tamci oboje.

I w istocie wiedzieli albo przynajmniej odczuwali. Inaczej nie staliby godzinami, nieruchomi, nad parującą kotliną, obryzgiwani pianą, wśród szumu i łoskotu, tak że wkońcu ogarniał ich zawrót głowy i musieli się wzajemnie podierać.

Gustaw o ile nęcił go malowniczy widok, drwił z wiatru i deszczu, chociaż ociekał wodą jak Neptun i marzył, jak Ganimed. Ida zaś osłaniała się obcisłym, czarnym płaszczem nieprzemakalnym, w którym wyglądała jak lśniący posąg spiżowy.

Gdy się wypogodziło, zamierzali ponowić wycieczki.

Wszelako wycieczki przekształciły się już tymczasem na wspomnienia, które swoim blaskiem duchowym zawstydzają teraźniejszość. A ponieważ nikt chętnie nie przeżywa powtarzań i nie zastępuje odpisami oryginałów, przeto wytworzyła się milcząca umowa, żeby przeszłość chronić jak świętość.

Nadto stało się, że osiedliła się w miasteczku letnia banda obcych obieżyświatów, która w ubóstwie ducha swego przebiegała przez ciekawość wszystkie drogi i ścieżki, zwłaszcza wdół od gospody w ogrodzie majora; skoro zaś tylko dostrzegali Gustawa wśród ośmiu dziewcząt obok pięknej Idy, rzucali mu takie płocze, zachęcające spojrzenia, że oburzał się za swoje towarzyszeki.

Szczęście czyste jest skromne i prawdziwie utalentowany człowiek nie ma nigdy czasu na próżność. Rola poskramiacza serc, jaką mu te spojrzenia niejako podsuwały, wydawała mu się odpowiednią dla bezdusznych fircyków albo dla

szubrawców, nadto zaś Ida i pastorówny były mu takie drogie, że nie mógłby znieść, iżby je uważano za jego zdobycz.

\*            \*            \*

Wzamian za przechadzki utworzyli sobie poza murami plebanji pokojowy czynny tryb życia.

Ranki spędzano na poważnej pracy, przy fortepianie, przy krosnach, nad zeszytem rysunkowym. Gustaw szperał też między książkami pastora, albo pomagał mu wygładzać kazanie, przeciw niemu właśnie wymierzone. Pastor Rebenach bowiem stale z ambony, gdzie nie miał potrzeby obawiać się sprzeciwu, rzucał podstępnie, a w najlepszej myśli, tkliwe przycinki Gustawowi.

Niekiedy wkraczały do kościoła dziewczęta i kolejno stawały przy miechu, żeby Gustaw mógł grać na organach, z zakrystjanem bowiem nie można było dać sobie rady: ilekroć opadło go wzburzenie, dął w miech gorączkowo, skoro zaś ogarnęło go wyczerpanie, przestawał dąć zupełnie.

I bywało, że gdy wzbierające dźwięki fugi rozbrzmiewały nad dachami, błogi nastrój ogarniał szmuklerki w skromnych izdebkach. Nawet czarodziej i blacharzowa okazywali synowi pewną cześć, gdy po grze na organach wracał do domu.

Czas między obiadem a kawą popołudniową, o trzeciej, wypełniał niewypowiedziany błogostan, nie wymagający żadnego dodatku; wystarczało wtedy brzęczenie muchy w szklance albo półmrok zielonej okienicy, by wywołać artystyczne zadowolenie i obiecujący nastrój.

Po kawie zaś rozkoszowano się darem Prometeusza, grą.

Pastor, oczywiście, ku niezadowoleniu dziewcząt, sadzał Gustawa na stołku do szachownicy. A ponieważ stary stale przegrywał i irytował się przytem, przeto rzadko uwalniał przed zachodem słońca swego przeciwnika.

A wtedy przygotowany już był na trawniku krokiet.

I zaczynało się miłe stukanie i trwało do wieczora, dopóki tylko zmrok pozwalał rozróżnić geometrję pola bitwy.

Najpierw, gdy słońce opromieniało jeszcze trawy, górowała nad zabawą namiętność, ta wichrzycielka radości. Dochodziło wtedy często do klótni siostrzanych, z czego wynikały gniewy i dąsy; i jedynie podczas gry w krokieta mogło się zdarzyć, że Ida przez chwilę szczerze złoże-czyła Gustawowi, wtedy mianowicie, gdy los przeznaczył ich do wrogich partyj. Ponieważ bowiem Gustaw wkładał w grę całą siłę woli, podobnie

jak w sztukę, przeto doprowadzał nieomylnie swoją partję do zwycięstwa.

Skoro tylko zaś, zamiast oślepiającej kuli, za-jaśniał łagodniejszy blask wieczorny, a cienie wślizgnęły się pod główki kwieciste, tak że zda-owało się, iż wszystkie kwiaty wysokie i niskie, spoczywają na jednej powierzchni, soczyste, go-rejące, jak barwy na dywanie tureckim, a z pośród szmaragdowych traw fiołkowy heljotrop wysyłał słodką, waniljową woń, — wówczas milkła kłótnia i dziewczęta same, wchłaniając w swe jasne suknie ostatni, najbledszy odblask nieba, snuły się jak świetlana Peri po ciemnym ogrodzie.

Jak też mogą, wobec takiego ślicznego wie-czoru, utkwic oczy w głupiej grze, zamiast otwo-rzyć je szeroko i napawać się cudami barw i natury — strofowała pastorowa.

Córki wszakże znały się na tem lepiej. Al-bowiem piękno trzyma się tej samej dworskiej etykiety co szczęście: składa wprawdzie chętnie wizyty, ale nie przyjmuje nikogo.

W ciemne, duszne wieczory ómy i nietoperze przerywały krokiet i gra kończyła się wśród ogólnego przestרחu. Natomiast blask księżycy trzymał graczy aż do widmowych godzin stróża nocnego, jakkolwiek co krok potknął się ktoś o żelazną bramkę; przeszkadzało to wprawdzie, ale gry nie

przerywało — dopóki czarodziej z małżonką nie zjawiał się nieśmiało na widowni, by zapytać, czy zdarzyło się Gustawowi nieszczęście. Wówczas krokiet ustępował miejsca serenadzie.

Pewnego wieczora Gustaw w drodze do domu zapytał siebie, czy też taki spokój może trwać długo.

A myśl odpowiedziała mu: Jeżeli nie długo, to w każdym razie wiecznie.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### W kancelarji.

Pewnego dnia Ida przywdziała strojną suknię wizytową — spódnicę z surowego jedwabiu i bluzkę cynamonowego koloru, przybraną brązowymi wstążkami z takimże paskiem. Nawet pończochy były tej samej barwy, a wycięte pantofelki błyszcząły spiżowym tonem. Wszystko razem składało się tak dalece na jednolite metaliczne wrażenie, że Mina ochrzciła ten strój mianem „złocistej sukni”.

Powodem do przywdziania tego stroju stało się przybycie Filipa, który nareszcie w okólnej podróży przez Tyrol i Graubünden zatrzymał się u przyjaciół w Zurychu.

Filip uchodził na plebanji za konkurenta Idy, albowiem ubiegłej jesieni, gdy zabierał siostrę Minę z pensji, pozostał z zachwyty nad urodą jej przyjaciółki przez sześć dni w Neuenburgu i nie chciał już wcale wracać. Nie stało się też bynajmniej przypadkiem, że Ida otrzymała zaproszenie na



lato, kiedy spodziewano się przyjazdu Filipa. Tymczasem krew studencka i młodociany pęd do podróży sprawiły, że Filip opóźnił swój przyjazd o kilka tygodni. Ida miała przecież zostać do września, wydało mu się tedy, że odroczenie aktu zaręczyn na nic nie wpłynie. Bo i jakże? Obustronni rodzice przychylni byli temu związkowi, co zauważył oddawna; stąd też mniemał, że zadaniem jego jest, — jeżeli nie stawiać przeszkód, to przynajmniej opóźniać decyzję.

Nadto zaś podtrzymywało go w tej taktyce powszechne mniemanie, że przystojny, utalentowany chłopiec z dobrej rodziny, przed którym otwiera się obiecująca przyszłość, wyświadcza nawet najdoskonalszej pannie, prosząc o jej rękę, szczególnie a upragniony zaszczyt. Kto zaś jest oczekiwany, ten nigdy nie przybywa za późno. Pozwolił sobie zatem na jeszcze jedną wesołą kawalerską wycieczkę, celem uroczystego pogrzebania swojej wolności po studencku.

Możliwość, że, ścięty na egzaminie Gustaw mógłby zająć jego miejsce, była jego myślom taka daleka, że gdy po długim zwlekaniu, gnany nagle zbudzoną tęsknotą, powrócił w gorączkowym pośpiechu, z bijącym sercem do domu, doznał okrutnego zawodu.

Wprawdzie, przez grzeczność dla syna domu

i brata najlepszej przyjaciółki, wyróżniała go Ida tak, jak dobrze wychowana panna może wyróżniać mężczyznę, którego ceni. Ale jedna wizyta Gustawa wystarczyła, by ujawnić Filipowi to, co tymczasem zaszło.

Był też taki rozsądny, że nie żywił fałszywych nadziei i nie spodziewał się, żeby nastąpiła zmiana na jego korzyść. Stało się i niema rady; teraz trzeba tylko dbać, żeby ze swojej strony zająć właściwe stanowisko. Nie chodzi o to, czy cierpi z tego powodu czy mu to obojętne, a że nie oświadczył się Idzie zaraz ubiegłej jesieni, to jego własna wina.

„I głupota!” dodawała zgryźliwa myśl. Chciał się oświadczyć sto razy i zawsze przeszkodził głupi rozsądek, szepcząc mu do ucha, że jest jeszcze za młody, żeby się wiązać.

„Wiązać się, przykuwać” — jakże przerażały go te słowa! Ale teraz nagle paliła mu duszę świadomość, że być uwięzionym i nawet zamkniętym na klucz w raju, to los godzien zazdrości.

I, pełen skruchy i tęsknoty, wracał krętymi ścieżkami znów do nadziei, której się był wyrzekł.

Ponieważ jednak był człowiekiem dobrym, prawym i szczerym, przeto nie słuchał podstępnych podszeptów serca, lecz przypuszczał atak do

swoich najmilszych pragnień i walczył z nimi dzielnie i uczciwie.

Zamiast pobożnych sentencji i filozoficznych zasad używał przytem, gdy wróg groził pokonaniem, jędrnych wyrażen studentckich. „*Abest, Absit, Abeat!*” wołał donośnym głosem, wyskakując z łóżka, ilekroć chciał wrzasnąć z bólu, a ojciec jego, który spał obok, dziękował Bogu za zapal, jaki syn jego dla konjugacji łacińskiej ujawniał.

Rano nadzieje były stłumione i Filip stawał przed rodzicami z wesołą twarzą, do ukochanej zwracał się z całą swobodą w obejściu, a rywalowi okazywał koleżeńską życzliwość.

Gustaw nie przeczuwał nawet, jaką krzywdę wyrządził Filipowi i jego rodzicom.

Podobnie jak Filip tak i Mineli nie zdradzała się niczem. Albowiem od owego łkania, które ją napadło na skale, miała się na baczności i oddalała się w porę, skoro tylko uczuła w sercu zaniepokojenie.

Nie było to oczywiście mądrze — sama musiała przyznać — że opowiadała swojej uroczej przyjaciółce od rana do wieczora o Gustawie, nieustannie, jakgdyby oprócz niego nie było żadnego innego mężczyzny w świecie.

Ale cóż była temu winna? Kochała go i musiała koniecznie mówić o nim.

Że on, ze swojej strony, wobec czarującej Idy nie zwracał wcale uwagi na niepozorną Mineli, nie mogła doprawdy brać mu za złe; ona bowiem na jego miejscu postępowałaby zupełnie tak samo.

Gdy zaś rano wstawała blada i smutna, a Ida śpieszyła do niej serdecznie, by ją ślicznie zarysowanymi ustami, głębokim melodyjnym głosem powitać pocałunkiem i słowem, Mineli całowała pokornie jej białe ręce i ramiona, powtarzając szeptem: „Jakaś ty piękna Ido! Jaka piękna!” i na tem kończyła się jej zgryzota do wieczora.

Gustaw zaś w dalszym ciągu był na plebanji, gdzie zniweczył dwie wielkie szlachetne, głęboko zakorzenione nadzieje i zasmucił dwa młode serca — strzeżony i pieoszony jak własny syn.

\* \* \*

Wszelako, jakkolwiek cicho zachowywał się smutek, niemniej jego czarne skrzydła wypłoszyły swobodną uciechę życia, a w ich cieniu rozwijała się powaga. Gustaw zastawał teraz na plebanji blade usta, zagadkowe spojrzenia i wymuszone obejście.

Nie było mu to, oczywiście, przeszkodą w odwiedzinach, albowiem stały mu się one potrzebą, tylko dusza nie odnosiła już z nich takiego pożytku. Ponieważ zauważył, że Ida go unika, przeto wy-

dało mu się, że najprościej będzie, gdy się jej narzuci.

Stąd też odrywał ją przemocą od reszty gromady, jak jastrząb gołębia, aby w cztery oczy zwierzać jej się z myśli, jakie go nawiedzały, dla których potrzeba mu było słuchacza. Że coraz częściej odmawiała mu odpowiedzi, nie przeszkadzało mu bynajmniej, albowiem nie pragnął ani jej uznania ani jej zadowolenia, tylko jej obecności, gdyż piękniejsza była od każdej innej: „Gustaw jest i będzie zawsze samolubem”, orzekła pewnego razu głośno pastorkowa w pokoju przyległym, tak że musiał słowa te usłyszeć.

Naraz, a dzień był ponury i dżdżysty, gdy zamierzał znów, jak zwykle, powędrować na plebanję, ojciec zastąpił mu drogę.

Dokąd idzie? A ponieważ syn podniósł zdziwiony wzrok, przeto ojciec wpadł nań ostro. Być codziennym gościem ośmiu młodych dorosłych pańien, jeżeli się nie łączy z tem poważnych istotnych zamiarów, niema sensu i jest nieprzyzwoicie. Jedyna stąd korzyść, że pastorkówny przez niego dostaną się na złe języki. Zresztą będzie musiał prawdopodobnie w przyszłości nieco skrzętniej rozporządzać czasem, bo od jutra codziennie od ósmej do dwunastej i od drugiej do szóstej zajęty będzie u adwokata Schäggi, który jest taki dobry,

że pomimo nieudanego egzaminu, przyjmie go na próbę jako pisarza; zrazu bez stałej zapłaty, ale z małą gratyfikacją za większe odpisy. Jakkolwiek to tymczasem niewiele, jednak zawsze więcej niż nic.

Był to formalny rozkaz, zamach ojcowski. Gustaw szukał spojrzaniem współczującej matki. Ale ta krzątała się niesłuchanie pilnie w przyległym pokoju, tak że rozumiał, iż o oporze niema co myśleć.

\* \* \*

Powędrował tedy nazajutrz pokornie do kancelarji, uzbrojony w głuchą rozpacz i obciążony kopą uwag ojca, który mu to pójście określił jako pierwszy krok na drodze rozsądku.

Adwokat Szäggi przyjął go z łaskawą miną pryncypała i zasadził bez dalszych ceremonij do biurka, na którem stalówka przerażającej czystości i kałamarz przygnębiającej przezroczyści zniweczyły ostatecznie jego odwagę. Zrozumiał, że tu jedno niewłaściwe słowo byłoby już błędem, a kleks przestępstwem.

Poczem adwokat, z kilku objaśniającemi uwagami, kapiącemi dla lepszego zrozumienia od kuchennej łaciny, podsunął mu manuskrypt do przepisania: *Actum*. W sprawie Gerber-Gräulicher

*contra* Schmutz-Röthlisberger-Läuli. Zanieczyszczenie potoku. Sąd cywilny 4 czerwca 1886, 12, 13 i 21 października 1887. Sąd wyższy 1 sierpnia 1888. Duplika. *Vide Fasc. X. c. Replika. Copia.*

Gustaw z głębokim westchnieniem zaczerpnął tchu i atramentu, i wydało mu się, że droga rozsądku zbacza na żalosne manowce, skoro najpierw prowadzi do zanieczyszczania potoku.

— Jakże ci się właściwie podoba twój nowy zawód? — badał blacharz mimochodem podczas obiadu. A gdy syn odpowiedział wzdychając wymijającym „niezgorzej”, ojciec z zadowoleniem skinął głową. Żywił przekonanie, jak wszyscy ludzie, których dobroduszość pochodzi ze słabości charakteru, że wystarczy, aby coś miało wstrętny smak, by oddziało skutecznie.

Matka zaś rżęsami zgniotła łezkę.

Tymczasem Gustaw umiał odnaleźć jasną stronę i w tem, co się stało nieuniknione. Zwłaszcza miłą niespodzianką było mu doświadczenie, że wolno mu było zanosić ze sobą do kancelarji wszystkie swoje wewnętrzne sprzęty i że jego przyrzady lotnicze korzystały z licznych drobnych szpar i z niejednej większej przerwy w robociźnie, żeby odbywać kilkuminutowe wycieczki wakacyjne w krainę wyobraźni. Od czasu do czasu bywał nawet kilkogodzinny odpoczynek, a po-

południe czwartkowe miał wogóle wolne. Ojciec zaś raczył go teraz po obiedzie filiżanką czarnej kawy i kieliszkiem koniaku, w części w nagrodę za chwalebłą pilność, w części dla wzmocnienia jego budzącej się cnoty obywatelskiej i męskości.

To też dziwił się początkujący notariusz hipokratesowej twarzy pastora, gdy ten pytał go na ulicy, jak mu też kancelarja przypada do gustu. „Bardzo” zapewniał wówczas szczerze; „o wiele lepiej niż sobie wyobrażałem”. Pastor spoglądał na niego zukosa i szedł dalej.

Blacharzowa nie pytała go w tej sprawie nigdy, ale usta jej pobladyły.

\* \* \*

W owym czasie Gustaw miał noc w noc sny, które gorzały takim przepychem barw, jak jeszcze nigdy w życiu. Zanosily go nieomylnie w dalekie kraje, promieniejące czarodziejskim blaskiem. Dążył tam raz okrętem, to koleją, to szybując w powietrzu. Niekiedy były to nieznanne, bezimienne cuda: wonne raje, olbrzymie góry albo święte ścieżki. Przeważnie jednak duch jego nazywał okolicę jakąś określoną nazwą geograficzną, oznaczającą byle jaką miejscowość, wszelako bez wyjątku po tamtej stronie granicy kraju położoną.



Raz płynął Rodanem przez purpurowy kraj Francuzów do fiołkowej Hiszpanji, takiej fiołkowej, takiej nieprawdopodobnie fiołkowej, że łzy mu pociekły na poduszkę; — innym razem kroczył po tarasie pod lipami gdzieś wysoko we Włoszech. W dole, dokoła lazurowego jeziora, wędrował śpiewający lud o pocziwych, życzliwych oczach, który wyciągał ku niemu prawą rękę. „Weź mnie ze sobą Gustawie”, szepnęła blacharzowa, usiadła na kuferku i pofrunęła z miłym uśmiechem, wyprzedzając go i ustawicznie przesyłając ukłony.

Jeszcze innym razem przybył do zatoki sztokholmskiej, otoczonej czarodziejskimi, sięgającymi w niebo tarasami topolowemi i wodospadami. Wytworne grono pięknych panów i pań w strojach balowych siedziało dokoła wybrzeża. „Jest tu jeszcze miejsce”, mówili uprzejmie i podali mu fotel czerwony aksamitny. Poczem pośpiesznym marszem wędrował po Szwecji. Przez Danję kłusował w obłoku motyli krokiem hiszpańskim jak koń cyrkowy.

Jakkolwiek różne mogły być sny, dwie okoliczności pozostawały zawsze jednakie: Ilekroć sen zawiódł go w obcą okolicę, płynęły mu z duszy łzy wyzwolenia, a jakichkolwiek spotykał tam ludzi, wszyscy oni mieli serdeczne, pocziwe oczy.

Barwny tęczyowy nastrój tych snów dźwięczał jeszcze wśród poranku na jawie, znikał około południa pod wpływem interesów, powracał wszakże po południu, gdy rozlegało się z bocznej uliczki o czwartej trzaskanie bata pocztowego, albo gdy wąski skraj górzysty nad dachem osłonił się niebieskim oparem wieczornym.

Łajał siebie często za to, że nigdy, ani we dnie ani we śnie, nie ukazał mu się obraz Idy. Nie wiedział bowiem jeszcze o martwym zakątku serca i o porządku pochodzenia Niewiadomego. Żeby obraz się wyłonił, muszą go najpierw myśli odrzucić. Przed wspomnieniem następuje zapomnienie. Oko duszy jest cielesnie ślepe, nie może widzieć teraźniejszości.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Niespodzianka zwrot.

**W** tym samym czasie dr Spirillus, zniewolony sprawą rozwodową szwagra swego, Leuzingera, przybył na krótki pobyt do Heimlingenu.

Ponieważ nie spodziewał się przychylnego przyjęcia, przeto przybrał najuprzejmieszczą minę kandydata wyborczego, ułożył usta do najdobroczyńniejszego uśmiechu protektora kościoła i szkoły i tak popularnie uzbrojony niezwłocznie pośpieszył, podrygując, do gospody „Pod wołem”, pewien, że zastanie tam zaokrąglonych nieco najwyższych przedstawicieli władz i społeczeństwa, majora, prezydenta, leśniczego i gospodarza zakładu.

Tam przyjął grad wyrzutów ze zwycięską kantonálną uprzejmością i, brakiem sprzeciwu, doprowadził do załagodzenia gniewu. Poczem odsłonił własne baterje, wypalił najpierw wielkie atuty o lenistwie, nieuctwie i bezczelności Gustawa, zapewniał o osobistej nadzwyczajnej sympatji dla pacjenta, o tem, że czeka z upragnieniem sposo-

bności, by dać dotykalne tej sympatji dowody, i wreszcie z lęklivem, złodziejskiem spojrzeniem dał do zrozumienia, że pewien pan, którego nazwiska nie wolno mu wymieniĆ, ale który ma w komisji egzaminacyjnej licznych zwolenników, udaremnił wszystkie jego wysiłki, zmierzające do uratowania Gustawa.

To oświadczenie skierowało niechęć na inne tory. Major wszakże skinął na p. Spirillusa i później omawiał z nim przez godzinę, w cztery oczy, w swojej gospodzie ogrodowej ten sam przedmiot.

Żal mu Gustawa z całej duszy, szeptał major; serce się kraje patrzeć, jak biedny chłopiec butwieje i pleśnieje u adwokata Schäggięgo; wogóle Heimlingen to o wiele za małe pole działania dla utalentowanego chłopca; powinien iść w świat, żeby mu się widnokrąg nieco rozszerzył. Ktoby zatem znalazł sposób umieszczenia chłopca gdzieś w Europie, położyłby wielką zasługę. Sprawa ta ma zresztą jeszcze inną stronę. Mianowicie hodowanie umyślnie do życia państwowego takiego wyniosłego, samolubnego dziwaka, który z nikim nie obcuje i u waży się za lepszego od innych, nie leży zupełnie w interesie gminy i kantonu; pominąwszy już, że panom z komisji egzaminacyjnej napewno nie będzie przyjemnie mieć ten żywy wykrzyknik ustawicznie, jak uosobiony wyrzut, przed oczami.

Tacy wykolejeni i niezadowoleni, gdy później kiedy dojdą do stanowiska, przemieniają się aż nadto skwapliwie w rewolucyjników albo rewizyjników konstytucji; dlatego też i z punktu widzenia polityki należy uważać, że najwłaściwiej będzie wyekspedjować Gustawa przy odpowiedniej sposobności zagranicę, o ile, oczywiście, da się to połączyć z jego własnem dobrem.

Dr. Spirillus zrozumiał i skinął potakująco głową. Niech mu tylko pozwolą działać; znajdzie już coś takiego, co zadowoli obie strony. A gdy wieczorem, na plebanji, stary Rebenbach jeszcze raz złął go nielitościwie, nazywając go przeniewiercą, wybuchnął: Gmina Heimlingen przekona się kiedyś, ku swemu wstydowni, że on, Spirillus, działał jedynie jako najlepszy przyjaciel Gustawa; a jeśli już koniecznie chcą wiedzieć, to oznajmia, że dwa razy już pisał do sławnego kompozytora, profesora Elbingera w Wiedniu o nadzwyczajnym talencie muzycznym Gustawa; jeżeli więc mogliby mu pożyczyć kilka kompozycji jako wzór próbny, w takim razie podejmuje się wyekspedjować je *stante pede* z trzecim listem polecającym. Co prawda, dr. Spirillus nic podobnego w rzeczywistości nie uczynił; ponieważ jednak narazie, w ciężkiem położeniu, w jakim się znalazł, uczuł istotną tego potrzebę, przeto mniemał, iż nie popełni

kłamstwa, jeżeli prawdę nieco wstecz przesunie.

Pastor wydobyl glorie i przycisniety ze wszystkich stron do muru egzaminator wyekspedjował istotnie dokument jeszcze tegoż wieczora pod wspomniany adres.

„Chociaż nic z tego nie będzie, ja przynajmniej spełniłem swój obowiązek!” drwił przebiegle w duszy i postarał się o to, żeby jego miłosierny czyn stał się głośny, zanim niepowodzenie zmniejszy jego wartość.

\* \* \*

W trzy tygodnie później, było to w czwartek po obiedzie, Gustaw, jak zwykle, wraz z ojcem łykał powoli czarną kawę za domem w ogródku nad potokiem, między słonecznikami, astrami, szkarłatnymi balsaminami i ognistymi pelargonjami.

Na lato padał już odcień jesieni, najdrobniejsze zwierzątko nie brzęczało na kwiatach, a powietrze, jakkolwiek ciepłe i złociste jak przedtem, było nieruchome i ciche, jak gdyby oczekiwało doniosłego zdarzenia. Tylko osy łąziły po gorących belkach, a na chropawej, szarej korze jedynej jabłunki admirał, wirując dokoła, rozwijał i składał precudne skrzydła, odblask lazurowy i ognisty

rzucając na ogródek, który, pozbawiony wszelkiego letniego zapachu i oparu, jaśniał gorącemi, soczystemi barwami.

— Przyszedł pan doktor Spirillus, — oznajmiła przyciszonym głosem wylękła blacharzowa i pośpieszyła z powrotem, mąż zaś podążył za nią, niepewny, gdzie i jak najgodniej przyjmie dostojnego gościa. Gustaw zaś chodził niespokojnie po ogródku, miotany gniewem i trwogą.

Trwało to długo. Wreszcie przybiegła promieniająca szczęściem blacharzowa, wymachując rękami w powietrzu, z pełnemi łez oczami, rzuciła się synowi na szyję i oznajmiła mu zadyszczanym głosem, urywanemi słowami, że jakiś obcy wielki muzyk i kompozytor, i profesor, i Bóg wie co jeszcze, w Wiedniu, zachwycił się niesłychanie jego glorią. Przyszedł list, więc musi jak najprędzej jechać do Wiednia, żeby brać lekcje u tego pana. W liście jest jeszcze dużo rzeczy; zresztą przeczyta go sam.

\* \* \*

Gustawowi pilno było rozgłosić na prawo i na lewo wieść o odniesionym triumfie. Wszelako matka poskromiła jego niecierpliwość. Przedewszystkiem musi dowiedzieć się o tem pan pastor Rebenach, a przed nim nikt; doprawdy, zasłużył sobie na to.

Powędrował tedy Gustaw tego samego popołudnia około czwartej na plebanję, niezupełnie bez obawy, albowiem nie pokazywał się tam już od dłuższego czasu i nie wiedział, jak się ma właściwie zachować, albowiem Ida, przechodząc, rzuciła mu kilkakrotnie odpychająco zimne spojrzenie.

— A jak właściwie stoi teraz sprawa z tobą i z Idą? — spytał szorstko, odwracając się nagle pastor, który, wyraziwszy powinszowanie, szperał przez dłuższą chwilę w bibliotecę.

Gustaw spojrział na niego zdumiony.

— Wogóle, Gustawie — zrzędził pastor — w jakim ty świecie żyjesz właściwie? Czy mieszkasz na Syriusie czy na drodze mlecznej, albo gdzie ty ostatecznie masz oczy?

I z całą szczerością, wynikającą z przeświadczenia, że poprzez serce własnej córki przemawia za obcą, zmył mu porządnie głowę, wykazując jaką wyrządził krzywdę niewinnemu młodemu sercu przez swój egoizm, bo on przecież nigdy nie myśli o innych, tylko zawsze własną chwilową rozkosz ma na oku. Niech popatrzy na blade policzki Idy i na czarne obwódki dokoła oczu, żeby się nauczyć, co to znaczy młodej niewinnej dziewczynie zaszczepić lekkomyślnie miłość w sercu, a potem zabrać się i odjechać obojętnie, nie troszcząc się ani trochę o to, jak inni to zniosą.



Gustaw słuchał otwartemi uszami i nasłuchiwał całą duszą. Dotychczas patrzył myślami swemi na Idę tylko z profilu, idąc obok niej i uwagę skupiając na wspólnej rozmowie o muzyce. Że podczas tego wkradło się coś głębokiego i trwałego między niego a nią, nie uświadomił sobie nigdy. Teraz jednak, gdy pastor nastawił przed nim obraz uroczego stworzenia tak, że patrzyło nań prosto w twarz wymownemi cudnemi oczami, uświęcone bólem, jakiego był sprawcą i pokrewne przez miłość dla niego, wydało mu się, że przyplywa ku niemu biały łabędź w koronie na głowie i ciągnie za sobą czółno, w którym kwitnie raj.

A popędliwy, ilekroć ocknął się z rozmarzenia, zażądał niezwłocznie, by młoda dziewczyna udała się z nim na samotną przechadzkę do Okienka.

Żądanie to wywołało przykre zakłopotanie, sprzeciw i spór. Pastor zgodził się, ale jego małżonka odrzuciła propozycję stanowczo. Z takich przesadnych, niedojrzałych dziecinnych pomysłów nic dobrego nie wynika; jeżeli Gustaw ma coś ważnego do powiedzenia Idzie, może jej to oznajmić w salonie albo niechaj będzie i w ogrodzie. Wkońcu gniewnym ruchem wskazała młyn.

— Niech sobie wreszcie pójdzie do lasku na wzgórzu, jeżeli już koniecznie musi mieć zielone kulisy! Tam na górze nikt mu nie przeszkodzi!

Ten układ został przyjęty, poczem Gustaw z Idą i Mineli, która przyłączyła się dla przyzwoitości, ruszył w drogę parowem.

\*            \*            \*

Szli wszystko troje z ciężkiem sercem, w pojedynkę, dziewczęta z tyłu, Gustaw na przedzie, tworząc wędrowny trójkąt. Liście szeleściły pod ich stopami, które od czasu do czasu napotykały na drodze kasztan albo orzech; nad polami unosiły się roje brzęczących komarów, od łąk dochodził śpiewny odgłos dzwonek pasących się krów.

Tuż przed młynem siedział chłopczyna na pniu ściętego drzewa, gryząc orzechy. Ida pogłaskała kędzierzawą czuprynę, w części dlatego, że wogóle lubiła dzieci, przeważnie zaś dlatego, żeby pokryć zakłopotanie.

— Jak ci na imię? — spytała.

Ale skoro tylko dawno niesłyszany miły ton jej głosu dobiegł ucha Gustawa, głębokim, z duszy idącym dźwiękiem potęgując wielokrotnie piękno jej oblicza, opadły go odrazu tysiączne rozkoszne wspomnienia, które w ciągu lata nagromadziły się dookoła postaci Idy. Na chwilę ujrzał przez kryształowe szkło leż jej kibić w zamglonych zarysach, poczem obraz rozplynał się; wszystko krę-

ciło się dokoła niego i z niewyraźnym okrzykiem padł przed nią na kolana.

Chłopczyna ze strachu popędził jak piłka ze wzgórza; Mineli znikła, sama nie wiedziała jak i dlaczego, za najbliższym płotem i rzuciła się na łąkę, bijąc stopą w ziemię i parasolką odgrzebując gorączkowo trawę, jak gdyby chciała wyłapywać krety.

Tymczasem — Gustaw, w porywie niepohamowanej namiętności, wyliczył z zapartym oddechem cały słownik boskich nazw i gorących zaklęć, poczem błyskawicznie zerwał się na równe nogi, nazywał Idę to kochanką swoją, to narzeczoną i sposobił się, nie starając się nawet o jej zezwolenie, do zainkasowania zaręczynowego pocałunku.

Ida, raczej umarła niż żywa, chybiła swemi ustami jego usta; z poza płotu dobiegał ją żaloszny płacz i szlochanie Mineli, więc zdjęta przerażeniem z powodu takich brutalnych oświadczeń, zaczęła uciekać, zrazu ukradkiem przyśpieszając kroku, a następnie w wielkim pośpiechu zbiegając wraz z Mineli ze wzgórza.

Zaś bezwiednie dążącego za nią Gustawa wziął teraz na kieł pies młynarza, który wszystko widział i nic nie rozumiał, i w którym wezbrała niepohamowana wściekłość na sprawcę tego pomieszania pojęć.

On zaś zapytywał siebie bezradnie, czy po takiej scenie miłosnej, godnej pióra powieściopisarza, może teraz właściwie uważać się czy nie za narzeczonego — i błąkał się aż do zmierzchu po polach i łąkach w nadziei, że wkońcu jednak wyciśnie kropelkę rozsądku z tego zajścia.

\* \* \*

W domu blacharzowa powitała go odświętnem obliczem.

— No, no — odezwała się z przymileniem — zdaje się, że zaszło u ciebie coś nowego. Pójdź tylko do sklepu, jest pan pastor.

— Tam do licha! U ciebie to tak wszystko ekstrapocztą, co? — przywitał go ojciec tonem pochwały z odcieniem szacunku. — Zresztą nie mógłbyś zrobić lepszego wyboru; winszuję, winszuję, winszuję!

Pastor ukrył lewą źrenicę gdzieś wysoko pod powieką, skąd od czasu do czasu migotała w nieprzewidzianem miejscu.

— Poszło to wprawdzie nieco prędko! przekłęcie prędko! — zauważył. Gusti jest już taki nieobliczalny i taki prawdopodobnie zostanie, zawsze wszystko inaczej jak inni. Zresztą w gruncie rzeczy nie wszystko na świecie musi być na jedno kopyto. Ta cała przesadna romantyczność

niewiele jest według niego warta, więc, przy najlepszej chęci, daleko mniej ważny wydaje mu się sposób, w jaki łączy się dwoje ludzi, byle tylko byli dobrani. Później, w małżeństwie, patrzymy na wszystko, co się działo przed weselem, jak na dzieciństwo. — I cóż, Gustawie? Wszak pójdziesz ze mną na wieczerzę? Twoja narzeczona już od wieków wypatruje sobie oczy przy bramie ogrodowej, czy też nie ujrzy nareszcie twego upragnionego oblicza. A właśnie przychodzi mi na myśl, że nie zaszkodzi ci wcale, jeżeli w przyszłą niedzielę ukazesz się znów raz na nabożeństwie. Mógłbyś może to lub owo wziąć do siebie.

„A więc jednak jestem narzeczonym!” pomyślał Gustaw, dążąc ze starym Rebenachem na plebanję. Niebardzo wiedział, jak się ma wobec tego zachować, albowiem zdawało mu się, że domy patrzą na niego, jako na narzeczonego, dziwnie trzeźwo i obojętnie; a warsztat tkacki Bas Barbary dysząc wyrzuca nieustannie ramiona: „Czy to człowiek żeni się w taki sposób? Czy to tak odbywają się dzisiaj zaręczyny? My, nieboszczyk Andresli i ja, zachowaliśmy się inaczej. Tak mi jest, jak gdyby to było dzisiaj! A stało się na łące nad potokiem; podarował mi niezapominajczkę i patrzył przytem tak czule na mnie i nic nie mówił, i ja też patrzyłam na niego i nic nie mówiłam.

A teraz Andresli leży za kościołem, o Jezu! Jezu! A Gusti, ten mały smyk, już też myśli o małżeństwie! O Jezu, Jezu!“ Tak że w końcu Gustaw był jak błędny i wyobraził sobie, że popełnił coś okropnego i że ta okropność weźmie w swoje szpony biedną Idę i jego samego i do końca doczesnego życia głos wewnętrzny nie przestanie wołać: „Dobrze ci tak! Dlaczegożes nie zastanowił się przedtem! Przecież nikt cię nie zmuszał, żebyś w ciągu dwóch sekund decydował o całym swoim życiu.”

Ale gdy na plebanji ujrzał rozpromienione twarze, a piękna Ida przytuliła się do niego tkliwie, a każde jej spojrzenie było podzięką, a każdy ruch obietnicą, gdy ta słodka istota stanęła przed nim w blasku miłości, jawnej i szczerzej, pełna podziwu, oddana i uległa, nie obawiając się ludzi — zrozumiał, że więcej warte jest zdobycie uczciwym niedwuznacznym słowem cennej duszy człowieczej, niż ostrożne kochanie solo pół tuzina dziewcząt.

A nocą w łóżku, gdy w sercu rozbrzmiewały bez ustanku symfonje radosne, odczuł, jako pewność to, czegoby przedtem nie uwierzył nikomu: mianowicie po pierwsze, że niema większego szczęścia nad to, które z cudzego serca odbija się promiennie w naszym; po drugie, że talent wówczas

najbujniej rozkwita, gdy dobre postanowienie  
oczyści duszę.

\* \* \*

Następnego poniedziałku rano siedział w jedno-  
konce; za nim widniała cała góra kufrów, przed  
nim na koźle Kaffireli jako woźnica.

Dokoła, niby mała aureola, otaczała go gro-  
madka życzliwych, wśród których czarodziej dreptał  
nieustannie, w obawie, że może zapomniał jeszcze  
o jakiej przestrodze. Blacharzowa stała w głębi  
i co sekundę spoglądała kilkakrotnie z poza mokrej  
chusteczki na syna. Pastora nie było. Leżał jeszcze  
w łóżku i kazał przeprosić, że nie przyjdzie się po-  
żegnać. Zresztą powiedział przecież wczoraj w ko-  
ściele Gustawowi wszystko, co miał mu powiedzieć.  
Na facjatce na plebanji Ida i Mina powiewały bia-  
łymi chusteczkami, to lewą, to prawą ręką, a nie-  
kiedy jedna podpierając rękę drugiej.

Kaffireli śmiała się z uciechy na całe gardło.

— Skończyliście nareszcie? — upominała i  
chwyciła za bat.

Ale gospodarz z „Pod gwiazdy” rozkazującym  
tonem zażądał zwłoki.

— A teraz jeszcze jedno, Gustawie — zawołał  
groźnie — nie stań się aby genjuszem i nie zostań  
jakim szubrawcem! Tylko wracaj takim uczciwym,  
dzielnym chłopcem, jakim byłeś dotąd.

Kaffareli powiodła dokoła małemi, błyszczą-  
cermi oczętami, które przez chwileczkę spoczęły  
na blacharzowej.

— Wio-oo — zawołała cichym łagodnym to-  
nem, i, wśród chmury ukłonów i łkań, pojazd ruszył  
z miejsca i potoczył się ku obczyźnie.

Gustaw miał wrażenie, że unosi się balonem  
na nieznane szczyty. Ale balon był siedmiu zło-  
temi drutami przymocowany do ojczyzny.

KONIEC.







WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAŃ

LWÓW

ULICA ZWIERZYŃIECKA L. 6 | ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15

PROSPEKT

BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

**P**O RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nieznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmienictwu ojezystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
- II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
  - III. MAURZYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
  - IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON SYNNOVE SOLBAKKEN —  
[MARSZ WESELYN]
  - V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
  - VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ
  - VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ
  - VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI-  
[GNARDA]
  - IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-  
[SZY — ZBLĄKANE PTAKI]
  - X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS
  - XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA
  - XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
  - XIII. MAURZYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW
  - XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS
  - XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI
  - „ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI  
[BENGALU.]
  - „ XVII. MAURZYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
  - „ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
  - „ XIX. RUDYARD KIPLING — STAŁKY I SP. — POWIEŚĆ.
  - „ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.
  - „ XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.

- Tom XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA —  
POWIEŚĆ.
- „ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS  
POETYCZNY.
- „ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — TOMASZ RENDAŁEN —  
POWIEŚĆ.
- „ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I.  
ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.
- „ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS —  
POWIEŚĆ.
- „ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II.  
LATO — POWIEŚĆ.
- „ XXVIII. PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI — NOWELE  
WŁOSKIE.
- „ XXIX. SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.
- „ XXX. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — PĘKNIĘTY DZWON.
- „ XXXI. GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC — POWIEŚĆ.
- „ XXXII. MAURZYCY MAETERLINCK — GOŚĆ NIEZNANY.
- „ XXXIII. KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK —  
POWIEŚĆ.

W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

KNUT HAMSUN — KOBIEТЫ U STUDNI.

ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — POWIEŚĆ.

MAURZYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE.

RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE.

JACINTO BENAVENTE — ŻŁE KOCHANA.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAŃ

LWÓW

ULICA ZWIERZYŃIECKA L. 6. | ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15.

PROSPEKT

# ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD

POD REDAKCJĄ  
CZESŁAWA KĘDZIERSKIEGO

W każdym człowieku żyje niewątpliwie świadomy czy podświadomy, mniej lub więcej rozwinięty pęd ku przeżywaniu silniejszych wzruszeń. Spekulacja wyzyskuje pęd ten, przeliczując się w kierunku niezdrowej sensacji, operującej środkami możliwie najjaskrawszymi, czego dowodem kinoteatry i tak wielkiem powodzeniem ciesząca się i coraz więcej rozpowszechniająca się t. zw. „literatura skandaliczna“, tj. kryminalistyczna i pornograficzna. Brak natomiast u nas w tej dziedzinie dzieł typu szlachetnego. I dlatego właśnie celem wypełnienia tej luki przystąpiliśmy do wydawania takich wysoce zajmujących, awanturniczych a na wysokim poziomie utrzymanych dzieł pod ogólnym tytułem: *ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD*.

Pod pojęciem powieści *awanturniczej* rozumiemy pierwiastek znaczenia najszlachetniejszego, jaki w tem określeniu się ukrywa. A więc odwagę, rzutkość, przedsiębiorczość, tężyznę życiową, junacki entuzjazm i gotowość do poświęceń, słowem — czynny romantyzm życiowy, tudzież wyrastające na tem tle osobliwe zdarzenia i przygody. „Młodzieńczy entuzjazm nie obywa się

bez awanturniczości“ — powiedział nlegdys Bałucki. Niechże więc w dzisiejszym nadwątlonym okresie powieści te budzą ów młodzieńczy entuzjazm i szlachetną awanturniczość, niechaj budzą fantazję i żądzę dużego czynu. A ponieważ większość powieści tego cyklu rozgrywać się będzie na morzu, niechaj budzą zamiłowanie do morza i chęć przemierzania świata na fali morskiej. Wszakże mamy dziś morze polskie i polską marynarkę.

\* \* \*

Cykl nasz obejmie wybór dzieł pisarzy *pierwszorzędnych*, posiadających sławę ustaloną. Literaturę interesujących przygód podróźniczych reprezentują głównie pisarze angielscy, częściowo zaś francuscy, skandynawscy, niemieccy itd. Piśmiennictwo polskie jest w tym dziale dotychczas niesłychanie ubogie czego przyczyny szukać należy w niedawnym jeszcze położeniu Polski. Ale i z tego ubożego skarbczyka wydobędziemy dla naszego cyklu kilka cenniejszych utworów. Zbyteczne dodawać, że utwory pisarzy obcych podamy tu w przekładach wzorowych. A ponieważ do cyklu naszego włączać będziemy utwory, stojące na poziomie artystycznym i etycznym, przeto dzieła z cyklu *ŚWIAT PODRÓŻY I PRYŻÓD* znaleźć się mogą bez najmniejszych obaw w rękę każdego, a więc także i w rękę starszej młodzieży.

\* \* \*

Cykl nasz rozpoczynamy *WYSPĄ SKARBÓW*. Autor jej Robert Ludwik Stevenson należy do najwybitniejszych przedstawicieli renesansu romantycznego angielskiej nowelistyki, powieści awarturnicznej i historycznej. *WYSPĄ SKARBÓW* właśnie zdobył sobie szturmem serca swych ziomków, ona też ustaliła jego sławę i na świat cały rozszerzyła. Literat amerykański Henry James powiedział w swych studjach literackich, że *TREASUR ISLAND* („Wyspa skarbów“) stanie się w swoim rodzaju dziełem klasycznym. Już takiem jest i pozostanie takiem dzięki niezwykłemu splecaniu rzeczy zagadkowych z działaniem człowieka, dzięki mozaice niespodzianych zdarzeń i świetnych

nastrojów; język jego, odpowiadający świetnie całej skali tych nastrojów, wprowadza w ruch wszelkie sympatyczne struny w duszy czytelnika.

Zwartość kompozycji, prostota i jasność i szalone tempo akcji, tudzież mocne postawienie charakterów — oto znakomite cechy *WYSPY SKARBÓW*. To też bez obawy wypuszczamy ten pierwszy tom w wzorowym przekładzie Józefa Birkenmajera, za którym niebawem nastąpią dalsze tegoż autora i innych, które mamy w przygotowaniu.

„*ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD*“ wychodzi w odczętach mniejwięcej dwumiesięcznych i każdy tom obejmuje od 15—25 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

*WYDAWNICTWO POLSKIE*

*Sp. z ogr. por.*

*w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.*





S-96

S. C.



36.376

          
I

35102

20.5, 8

30-

✓





POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA



l. inw. 29554

Kdn. 524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231566